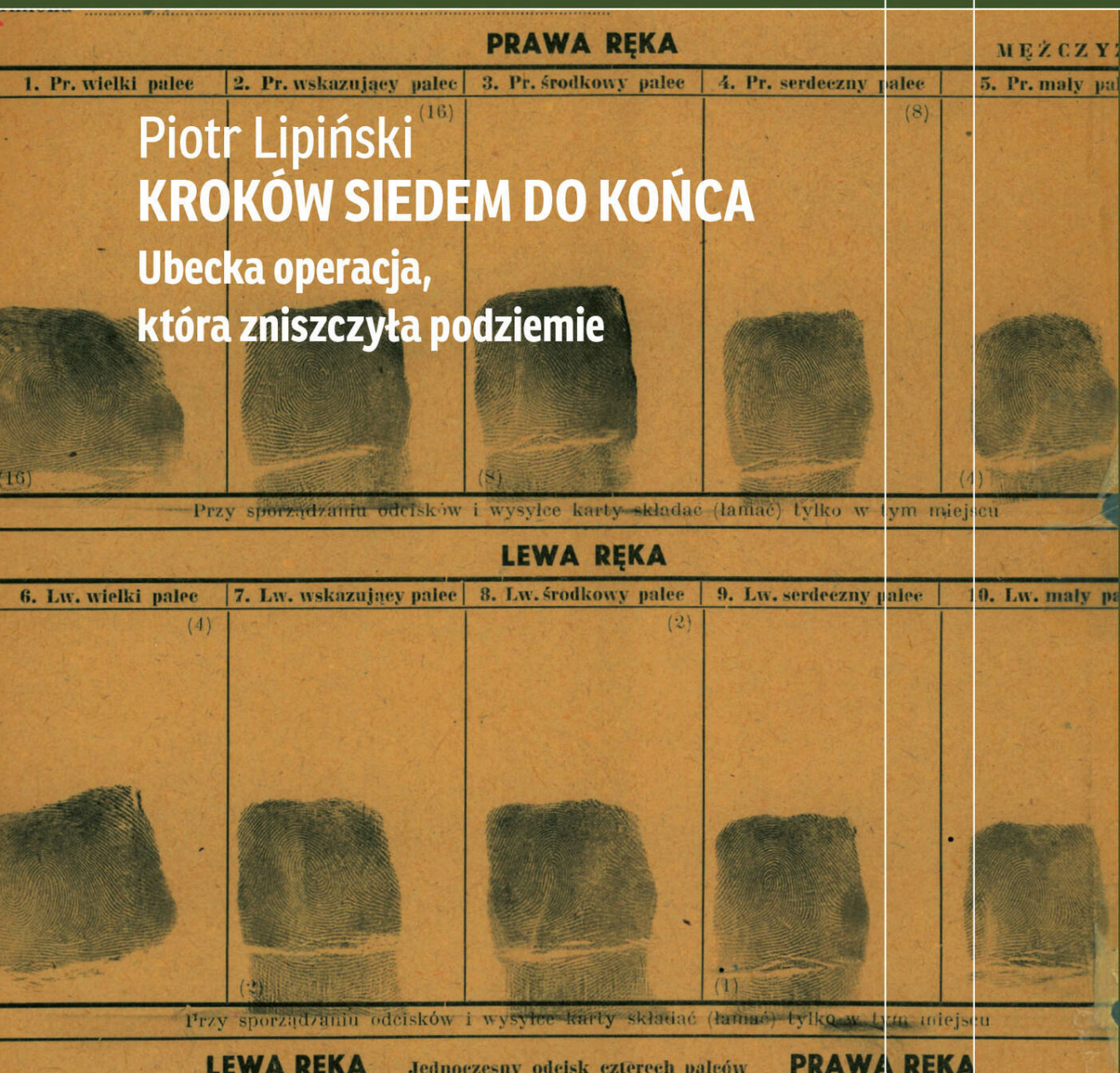

Piotr Lipiński
KROKÓW SIEDEM DO KOŃCA
Ubecka operacja, która zniszczyła podziemie

W serii ukazały się ostatnio:
Grzegorz Szymanik, Julia Wizowska *Długi taniec za kurtyną. Pół wieku Armii Radzieckiej w Polsce*
Barbara Demick *W oblężeniu. Życie pod ostrzałem na sarajewskiej ulicy* (wyd. 2)
Paweł Smoleński *Wnuki Jozuego*
Dariusz Rosiak *Żar. Oddech Afryki* (wyd. 3)
Dionisios Sturis, Ewa Winnicka *Głosy. Co się zdarzyło na wyspie Jersey*
Marta Madejska *Aleja Włókniarek* (wyd. 2)
Grzegorz Stern *Borderline. Dwanaście podróży do Birmy*
Karolina Bednarz *Kwiaty w pudełku. Japonia oczami kobiet* (wyd. 2)
Jacek Hugo-Bader *Biała gorączka* (wyd. 4)
Kate Brown *Czarnobyl. Instrukcje przetrwania*
Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 3 zmienione)
Liao Yiwu *Prowadzący umarłych. Opowieści prawdziwe. Chiny z perspektywy nizin społecznych* (wyd. 2)
Renata Radłowska *Nowohucka telenowela* (wyd. 2 zmienione)
Aleksandra Boćkowska *Można wybierać. 4 czerwca 1989*
Agnieszka Rybak, Anna Smółka *Wieża Eiffla nad Piną. Kresowe marzenia II RP* (wyd. 2)
Jacek Hugo-Bader *W rajskiej dolinie wśród zielska* (wyd. 3)
Marta Sapała *Na marne*
Piotr Lipiński *Gomułka. Władzy nie oddamy*
Marcin Kącki *Białystok. Biała siła, czarna pamięć* (wyd. 3)
Lars Berge *Dobry wilk. Tragedia w szwedzkim zoo*
Ojczyzna dobrej jakości. Reportaże z Białorusi, pod red. Małgorzaty Nocuń
Jelena Kostiuczenko *Przyszło nam tu żyć. Reportaże z Rosji*
Jacek Hołub *Niegrzeczne. Historie dzieci z ADHD, autyzmem i zespołem Aspergera*
Lene Wold *Honor. Opowieść ojca, który zabił własną córkę*
Małgorzata Sidz *Kocie chrzciny Lato i zima w Finlandii*
Wolfgang Bauer *Nocą drony są szczególnie głośne. Reportaże ze stref kryzysu*
Filip Skrońc *Nie róbcie mu krzywdy*
Maciej Czarnecki *Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym* (wyd. 2)
Karolina Baca-Pogorzelska, Michał Potocki *Czarne złoto. Wojny o węgiel z Donbasu*
Maciej Wasielewski *Jutro przypłynie królowa* (wyd. 2)
Anna Sulińska *Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u* (wyd. 2)
Anna Sulińska *Olimpijki*
Wojciech Górecki, Bartosz Józefiak *Łódź. Miasto po przejściach*
Albert Jawłowski *Miasto biesów. Czekając na powrót cara*
Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja* (wyd. 2)
Ilona Wiśniewska *Hen. Na północy Norwegii* (wyd. 2)
Patrick Radden Keefe *Cokolwiek powiesz, nic nie mów. Zbrodnia i pamięć w Irlandii Północnej*
Karolina Przewrocka-Aderet *Polanim. Z Polski do Izraela* (wyd. 2 zmienione)

W serii ukażą się m.in.:
Katarzyna Surmiak-Domańska *Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość* (wyd. 2 zmienione)
Ludwika Włodek *Gorsze dzieci republiki. O Algierczykach we Francji*

Piotr Lipiński

Kroków siedem do końca

Ubecka operacja, która zniszczyła podziemie

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2020

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Na okładce: Karta daktyloskopijna Mariana Strużyńskiego sporządzona 22.11.1948, Archiwum IPN (IPN BU 00170/275/1)

Copyright © by Piotr Lipiński, 2020

Opieka redakcyjna Tomasz Zając
Redakcja Wojciech Adamski
Korekta Patrycja Pączek, Magdalena Kędzierska-Zaporowska
Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8191-119-1

Prolog

W tej historii nie ma nic pewnego. Prawie każdy okazuje się kimś innym. Lis udaje tygrysa, a być może jest kameleonem.

Ludzie, którzy znali prawdę, nie żyją. Albo w ogóle nie ma już prawdy. Stała się gąszczem fałszu, którego nikt nie rozwikła.

Wielu bohaterom tej opowieści tworzono fałszywe życiorysy. W końcu pewnie sami w nie uwierzyli.

Inni nigdy nie dowiedzieli się, jakie role im pisano. Zmarli nieświadomi, że wszystko wyglądało inaczej, niż mogło się zdawać.

W archiwach – dziś przechowywanych w Londynie – pozostało pudło z szyframi.

„E” – źródło informacji udzielanych nieświadomie.

„Kokos” – zrzut.

„Mrówki” – Delegatura Zagraniczna Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (WiN), największej powojennej organizacji niepodległościowej walczącej z komunizmem.

„Słonie” – Stany Zjednoczone Ameryki.

„Środki lecznicze” – pieniądze.

„Tan” – dywersja.

„Mrówki” z wywiadem „Słoni” podpisały umowę za „środki lecznicze”. Celem był „Tan”.

To nie powieść szpiegowska. To życie.

Tak mógł wtedy pomyśleć. Biegł, żeby przeżyć. I uratować Polskę, zagarniętą przez Stalina.

„Artur” panował nad strachem. Ryzykował wiele razy. Teraz nie mniej niż wtedy, gdy służył w Armii Krajowej.

Ale wojna się skończyła. Tyle że nastała nowa okupacja, sowiecka.

Kilka lat wcześniej mógł zginąć od kul hitlerowców. Dziś, w listopadzie 1951 roku, mogły dosięgnąć go pociski wschodnioniemieckich milicjantów.

Przedzierał się przez granicę na Nysie Łużyckiej. Kurierskim szlakiem, od dawna używanym w powojennej konspiracji. Po polskiej stronie mógł jeszcze liczyć na wsparcie. Po niemieckiej musiał radzić sobie sam.

Czy skłonność do ryzyka odziedziczył po swoim przodku, który podczas wyprawy wiedeńskiej Jana III Sobieskiego stracił nogę, lecz za odwagę otrzymał tytuł szlachecki? A miłość do wolnej Polski po ojcu endeku?

„Artur” miał już trzydzieści lat. Pełna roztropności wyobraźnia powoli zastępowała u niego młodzieńczą brawurę. Kiedy decydował się podjąć misję, rozumiał, że może zginąć.

Zmierzał do miejsca, które powinno odmienić losy Polski. Była to mieszcząca się w zachodnich Niemczech, na terenie okupowanym przez Stany Zjednoczone, komórka polskiego antykomunistycznego podziemia. Zwano ją Delegaturą Zagraniczną WiN.

„Artur” trochę był szczęściarzem, a trochę ciążyła nad nim klątwa. Wiele razy wpadali wokół niego ludzie z konspiracji, on jednak długo pozostawał na wolności. Siedział tylko raz, jeszcze w 1947 roku. Wtedy milicja zgarnęła go za – jak wzorem ówczesnej propagandy napisano w dokumentach – „bandycką działalność”.

Nad „Arturem” złowieszczo zawisł nie tylko życiorys „zaplutego karła reakcji”. W Polsce takich jak on określano wówczas pogardliwym mianem „syn kułaka”. Jego ojciec gospodarował na kilkuset hektarach.

Ale przecież teraz nie myślał o propagandowych obelgach. Nie było na to czasu.

„Artur” przepłynął rzekę w miejscu oddalonym o trzy kilometry na południe od Zgorzelca. Na niemieckim brzegu najpierw musiał pokonać dwukilometrową łąkę. W nocnych ciemnościach zaplątał się w druty. W pierwszej chwili zamarło mu serce – te kable mogły służyć sygnalizowaniu, że ktoś przekrada się przez zieloną granicę. Po chwili jednak zauważył, że trafił po prostu na ogrodzenie rozgraniczające pastwiska. Strach ma wielkie oczy, jak mogli mu powtarzać ojciec i matka; przypominano mu również ten banał na kurierskim szkoleniu. Ale gdy buzowała adrenalina, gdy po pokonaniu rzeki znalazł się sam wśród obcych, rozum przegrywał z emocjami.

Jego ciemną sylwetkę otulał mrok, chroniąc przed solidnymi niemieckimi lornetkami pograniczników. Ale ciemność była też wrogiem. Poruszał się w niej tak, jakby stracił wzrok.

Niemal po omacku dotarł do szosy. Co jakiś czas pojawiały się na niej samochody. Kiedy jeden z nich przejechał, a czerwony ślad tylnych lamp utonął w mroku, „Artur”, upewniwszy się, że nie zbliża się kolejny pojazd, przebiegł szybko na drugą stronę.

Tam zgodnie z planem skręcił w lewo.

Skradał się pod górę, co chwilę zadzierając głowę. Szukał linii wysokiego napięcia. Według zapamiętanej mapy to ona miała stać się jego przewodnikiem.

Mżyło. Deszcz przymarzał do ubrania. „Artur” ślizgał się po błotnistej mazi.

Nagle usłyszał wroga, który zdradził niejednego kuriera i szpiega.

Psy. Przekleństwo pragnących pozostać niezauważonymi. Wiejskie burki ujadające, gdy tylko wyczują kogoś obcego, spowodowały panikę u wielu konspiratorów.

Głos tego bezmyślnego nieprzyjaciela potrafi nieść się daleko. Dlatego „Artur” ominął zabudowania. Wiedział, że są w nich psy, które szczekaniem zwrócą na niego uwagę.

Znalazł pierwszy słup. Noc była jednak tak ciemna, że zadarłszy głowę, z najwyższym trudem dostrzegał druty. Kolejne słupy całkowicie gubiły się w mroku.

Co chwila wpadał w jakieś doły, zsuwał się ze skarpy. Błotniste zbocze to wybrzuszało się, to zapadało, jakby chciało go z siebie zrzucić. Skradał się tak cztery godziny, aż nastał świt.

Ta misja nobilitowała „Artura”, choć nikomu nie mógł się nią pochwalić. Obowiązywała ścisła konspiracja. W drogę wysłali go ludzie, których znał tylko z pseudonimów. Do Niemiec skierował go ważny oficer rezydujący w Warszawie. „Artur” trafił do niego na rozkaz innej prominentnej osoby, działającej w Krakowie.

Konspiracja była jeszcze głębsza niż za czasów AK-owskich. Musiała taka być. Urząd Bezpieczeństwa, wspierany przez sowieckie NKWD, okazał się przeciwnikiem trudniejszym niż hitlerowcy. Kolejne aresztowania i akcje ujawnieniowe dały komunistycznym tajnym służbom nieocenioną wiedzę. Ubecy skrupulatnie notowali, kto był czyim podwładnym w AK podczas wojny, i na podstawie tego wnioskowali, jak mogą wyglądać powiązania w antykomunistycznym podziemiu po wojnie.

Polscy emigranci, do których „Artur” zmierzał – a nie brakowało wśród nich uciekinierów z kraju – wierzyli, że niedługo sowiecka niewola się skończy. Że wybuchnie III wojna światowa. A Polacy, którzy kryli się po lasach w partyzanckich oddziałach czy melinowali w miastach na tajnych kwaterach, chwycą za broń i wspomogą zachodnie desanty. Delegatura Zagraniczna WiN podpisała więc umowę z amerykańskim wywiadem, który zapewnił środki na szkolenia sabotażystów.

Ale żeby to wszystko się ziściło, żeby wreszcie zaczęła się wojna, która przyniesienie wyzwolenie, „Artur” musiał najpierw dotrzeć do zachodnich Niemiec. A potem przerzucić do kraju dokument szczegółowo opisujący dywersyjne cele.

To od tego planu zależała wolność Polski.

Ostatni akt tej historii to propagandowa wystawa *Oto Ameryka*.

Jest koniec 1952 roku. Za kilka miesięcy umrze Stalin. W warszawskim Arsenale otwarto ekspozycję, którą Marek Hłasko opisze w *Pięknych dwudziestoletnich*: „Nazbierano do cholery i trochę eksponatów: pistolety dla szpiegów, bomby napalmowe, komiksy zrobione z *Braci Karamazow* i trupy jakichś Murzynów. Skutki wystawy były straszliwe; godzinami czekało się w kolejce na wejście, gdyż ludzie chcieli zobaczyć cokolwiek amerykańskiego”[1].

Wystawę pokazała Polska Kronika Filmowa. Na początku ekran wypełniała Statua Wolności, której cień przypominał policjanta z uniesioną w prawej ręce pałką. Kto nie pojął tego wizualnego przekazu, temu Andrzej Łapicki czytający komentarz Karola Małcużyńskiego wyjaśniał: „W kraju wolności miliony ludzi poza prawem”. Tu pojawiała się czarnoskóra twarz. Lektor cedził: „Co czeka tego obywatela wolnego kraju? Widmo Ku Klux Klanu. Stryczek założony ręką amerykańskich faszystów. Jest wolność w tym kraju dla samosądów i linczów. Jest wolność w tym kraju dla fabrykantów i łamistrajków. Państwo i policja bronią do upadłego wolności trustów i koncernów, prawa do wyzysku, wnoszą amerykański styl życia. Malarstwo. Gołe dziwki na bikiniarskich krawatach i na kolorowych gatkach. Literatura. Zdziczenie, sadyzm, pornografia”.

Jednak w spętanej stalinizmem Polsce butelki coca-coli wydawały się symbolami wolności, a nie zwyrodnienia, jak chciała propaganda. Polacy pożądali wszelkich materialnych dowodów zachodniej zgnilizny.

Gdy ludzie tłumnie zwiedzali wystawę *Oto Ameryka*, 28 grudnia 1952 roku Polska Agencja Prasowa doniosła o ujawnieniu się V Komendy – z czasem takim właśnie mianem ochrzczonej przez historyków – Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość.

Ową ostateczną kapitulację żołnierzy wyklętych – to też późniejsza nazwa – podpisali J. J. Kowalski „Kos”, komendant WiN, i Stefan Sieńko „Wiktor”, jego zastępca. Przekazali władzom bezpieczeństwa broń, radiostacje, szyfry oraz ponad milion dolarów. Te ostatnie – jak skrupulatnie zaznaczyła prasa – otrzymali od wywiadu USA.

Gazety podały treść oświadczenia „Kosa” i „Wiktora”: „Kierowaliśmy organizacją wtedy, kiedy na naszych oczach w Warszawie rosły nowe dzielnice mieszkaniowe, dziesiątki nowych fabryk, kiedy zaczęto wznosić Nową Hutę, kiedy odbudowywał się stary Gdańsk”.

Pisali o powodach, dla których porzucają konspirację: „Z przerażeniem stwierdzaliśmy, że odchodzili od nas ludzie przedstawiający jakąś wartość, pozostawały natomiast przy nas typy sienkiewiczowskich Kiemliczów, o ptasim mózgu i rękach przywykłych do »mokrej roboty«, o wartości moralnej równej

zeru. Przybyli do nas z zagranicy emisariusze stanowili również typ awanturników, cynicznych kondotierów, obojętnych na losy narodu, dbałych przede wszystkim o własną bezpośrednią korzyść. […]

Wywiad amerykański wierzył, że kupił nas za judaszowe dolary, że znalazł w kraju polskich najmitów dla antypolskiej roboty".

Wszystkie te sformułowania tak ściśle współbrzmiały z oficjalną komunistyczną propagandą, jakby dowódców WiN złamało UB. Do Polaków przez kolejne powojenne lata coraz to dochodziły głosy o przerażających torturach, jakimi ubecy dręczą swoich więźniów.

Po opublikowaniu oświadczenia o ujawnieniu się V Komendy WiN Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) zbadało nastroje społeczne – oczywiście tylko na potrzeby władzy, bo nikt wówczas nawet nie myślał o tym, żeby takie sondaże publikować w gazetach. Według MBP robotnicy kopalni stwierdzali: „Naród polski widzi swoje osiągnięcia, nawet małe dzieci rozmawiają o tym, jak było dawniej, a jak jest dzisiaj. Nasyłanie szpiegów przez imperializm amerykański z dnia na dzień ukraca się". Następnie postulowali: „Takich, którzy do trzeciej wojny dążą, należy bezwzględnie niszczyć, gdyż wbrew sumieniu klasy robotniczej służą klice podżegaczy wojennych. Każdy robotnik winien być czujny, aby w porę likwidować takie czy inne zamiary wroga".

Pracownicy Polskich Kolei Państwowych w Poznaniu: „Ludzie, którzy się jeszcze ukrywają i liczą na nową wojnę, to chyba ludzie bez zdrowego rozsądku".

Robotnicy z Łodzi i Lublina: „Koniec z amerykańskimi dolarami, czas najwyższy, aby wszyscy wrogowie obecnego ustroju ujawnili się i nie przeszkadzali nam w budownictwie socjalizmu. Władza jest silna, nie ma sensu prowadzić działalności konspiracyjnej".

Średnio i małorolni chłopi z województwa krakowskiego: „Obecnie nie udaje się tak, jak udawało się przed wojną, gdy rządzili się w Polsce jak szara gęś. Każde wrogie zamiary są likwidowane przez Organa B. P. Polski Ludowej. Coraz mniej spotykać się będzie zdrajców, którzy zamierzali wyprzedawać swoją ojczyznę za dolary".

MBP odnotowało także: „Silne poruszenie wywołało »oświadczenie« wśród b. członków wrogich organizacji – AK, WiN, NSZ, UPA, w środowiskach klerykalnych, prywatnej inicjatywy itp.".

W tych kręgach zaobserwowano masowe wykupowanie gazet i uruchamianie uszkodzonych radioodbiorników. Owe środowiska najbardziej absorbowały pytania, czy kierownicy WiN zgłosili się dobrowolnie, dlaczego, dysponując milionem dolarów, nie uciekli za granicę, czy nie zostaną aresztowani, a nawet

otruci. Przecież wkrótce po wojnie ludzie podziemia ujawniali się, mając gwarancję amnestii, a potem i tak trafiali do więzień.

W komunizmie zawsze realizują się czarne scenariusze. Obawy ludzi znalazły potwierdzenie. Zaczęły się procesy.

Wystawa *Oto Ameryka* wzbogaciła się o nowe eksponaty: hełmy, pasy z kieszonkami na pieniądze i rewolwery, ampułki z trucizną i tak zwany beacon, czyli przyrząd do naprowadzania samolotów na miejsca zrzutów. To wyposażenie szpiegowskie. Odebrano je Stefanowi Skrzyszowskiemu i Dionizemu Sosnowskiemu. Obu ponad rok wcześniej oficerowie V Komendy wysłali na Zachód. Jako emisariusze trafili do Delegatury Zagranicznej WiN, przedzierając się przez niemiecką granicę, jak „Artur". Na Zachodzie przeszkolono ich – wraz z grupą innych emigrantów – a potem zrzucono na terytorium Polski z amerykańskiego samolotu. Mieli wspierać krajową konspirację.

„Najemnicy imperializmu wpadli w ręce polskich władz bezpieczeństwa" – tak o nich mówiono w Polskiej Kronice Filmowej z 1953 roku. Kamera sunęła po twarzach dwóch mężczyzn zasiadających na ławie oskarżonych. Sądzono ich dwa miesiące po ujawnieniu się V Komendy WiN.

Urządzono im proces pokazowy, nagłośniony jako ostateczna rozprawa z WiN-owskimi dywersantami. „Trybuna Ludu" piórem Zygmunta Broniarka pytała: „Kim są ci podrzędni giermkowie amerykańskiego wywiadu?", po czym odpowiadała sama sobie: „Szumowiny wywabiane na wierzch przez amerykańskie dolary".

Cała rozprawa trwała zaledwie jeden dzień – 18 lutego 1953 roku. Tyle wystarczyło, aby obu skazano na śmierć. Pod wyrokiem podpisali się sędziowie pułkownik Mieczysław Widaj – podczas wojny żołnierz Armii Krajowej – oraz porucznicy Jan Paramonow i Stanisław Kozłowski. Stefana Skrzyszowskiego i Dionizego Sosnowskiego stracono 15 maja 1953 roku.

Po ujawnieniu się V Komendy swoje śledztwo wdrożyła Delegatura. Emigranci sami byli zaskoczeni, dlaczego dowódcy WiN w kraju podjęli decyzję o porzuceniu podziemia. Nie konsultowali jej wcześniej ze swoimi zagranicznymi emisariuszami. Kierujący Delegaturą Józef Maciołek zanotował 4 stycznia 1953 roku: „Na podstawie przeprowadzonej analizy stwierdziliśmy, że wpadło archiwum w kraju, i to, co dotychczas można stwierdzić na podstawie wypowiedzi, UB posiada materiały do początków września 1952 r. Jest to niewątpliwie wielka szkoda i strata, ale jeżeli weźmiemy to pod uwagę, a poza tym jeszcze szereg innych danych, uważamy, że »zgłoszenie się dobrowolne« do UB Kosa i Wiktora jest wykluczone. Jesteśmy raczej przekonani, że są oni obydwaj aresztowani, chociaż mając archiwum, samo UB

mogło takie oświadczenie bardzo łatwo skonstruować. Bierzemy pod uwagę i to, że ta ostatnia możliwość byłaby nieco ryzykowna, bo nie mogliby ich później pokazać”.

Pułkownik Maciołek wysnuł wniosek, że to nowa taktyka UB. Procesy pokazowe najwyraźniej przestały przynosić propagandowe korzyści. Dlatego Polakom nigdy nie ujawniono twarzy „Wiktora” i „Kosa”.

Czy wszystko mogło potoczyć się inaczej? Czy żołnierze WiN mogli stanąć u boku amerykańskich skoczków po wybuchu III wojny światowej?

To powinni wiedzieć ci, którzy – może z rozpaczy – ujawnili V Komendę.

Oraz kurier „Artur”, przekradający się przez niemiecką granicę.

Historia V Komendy to opowieść szkatułkowa. Kiedy zagląda się do pudełka kryjącego czyjś los, w jego głębi odkrywa się historię kolejnego człowieka. Ta saga nigdy nie ma końca. Wciąż można ruszać tropem nowych postaci, a nawet trzeba uchylać następne wieczka, żeby zrozumieć całość.

Pierwszy raz o V Komendzie usłyszałem ćwierć wieku temu. Mimo że w Polsce upadł już komunizm, wciąż rzadko o niej wspominano. Nadal otaczała ją tajemnica.

To zdumiewające. Przecież działała aż pięć lat. Dwa razy dłużej niż cztery poprzednie komendy WiN. Dlaczego więc jej historia gdzieś się zagubiła?

Wtedy, próbując rozwikłać jej dzieje, często słyszałem:

– Pan jest za młody, żeby o tym pisać.

Z czasem przynajmniej ten problem się rozwiązał. Dziś nikt już mi tego nie powie.

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych poznawałem dzieje V Komendy, losami skazywanych i mordowanych żołnierzy podziemia antykomunistycznego zajmowała się Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytut Pamięci Narodowej (IPN). To była dla niej nowość. Wcześniej, w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej (PRL), tropiła tylko zbrodniarzy hitlerowskich. Długo po II wojnie światowej prowadziła już niewiele śledztw. W Warszawie zatrudniała mniej prokuratorów, niż miała liter w nazwie – dziesięciu.

Mieczysław Sosiński, naczelnik wydziału w Komisji, powiedział mi, że w sprawie ubeckich działań związanych z V Komendą wszczęto śledztwo. Jednak, choć było mu przykro, żadnych innych informacji nie mógł mi udzielić.

– Akta sprawy przekazał nam Urząd Ochrony Państwa, ale odtajnił je tylko na potrzeby śledztwa – wyjaśnił. – Nie możemy ich udostępniać.

Nikomu w Komisji nie wolno więc było zdradzić mi nowych nazwisk „Wiktora” i „Kosa”. Ani nawet powiedzieć, czy żyją.

To wszystko, co teraz wydaje się oczywiste, wówczas jeszcze takie nie było. „Białe plamy” – tak nazywano te wydarzenia w historii, o których nie wspominała jej komunistyczna wersja. Mord w Katyniu, pakt Ribbentrop–Mołotow, proces szesnastu… Zeskrobywaniem tych plam, odsłanianiem tego, co się pod nimi kryło, zajęli się nie tylko zawodowi historycy. Książki pisali też często pasjonaci, którzy nie odróżniali prawdy od kłamstwa. „Białe plamy” szybko stały się „czarnymi plamami”. Papierowa historia pozostała papierowa – pozbawiona odcieni szarości, które dominują w życiu.

Wtedy nie poznałem więc zbyt wielu materiałów dotyczących V Komendy. Nieco ponad setkę stron zdobyłem z prywatnych źródeł, związanych z komunistycznymi tajnymi służbami. Do archiwów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MSW) i Urzędu Ochrony Państwa (UOP), prawnych następców komunistycznego aparatu represji, w zasadzie nie miałem żadnego dostępu. Wszystko nadal pozostawało tajne. Albo zagrzebane w jakimś kącie. Archiwiści sami nie do końca wiedzieli, nad czym trzymają pieczę. W MSW i UOP pojawili się nowi ludzie z pokolenia Solidarności, którzy nagle znaleźli się na nieznanym terytorium. Z trudem orientowali się, gdzie czego szukać.

Ale wtedy żyli jeszcze tacy, których można było zapytać o wydarzenia sprzed lat. Ci związani w latach stalinizmu z Urzędem Bezpieczeństwa rzadko zgadzali się na rozmowę. Byłem reporterem „Gazety Wyborczej” – dla nich wcieleniem wszystkiego, co przeklęte. Pozwalali nagrywać nasze rozmowy, bo zwykle zastrzegałem, że magnetofon to tylko rodzaj notatnika. Że ich głosy nie pojawią się w radiu ani w telewizji, a pozostaną jak słowa zapisane w zeszycie. Jeśli już godzili się na spotkanie, to miałem wrażenie, że chcą nie tyle opowiedzieć mi swoją historię, ile wybadać, czego sam już się o nich dowiedziałem. Toczyli swoją grę, którą zaczęli kilkadziesiąt lat wcześniej. Może już nie potrafili inaczej. W ich życiu nastąpił nagły zwrot. Zaczynano rozliczenia ze stalinizmem. Każdy ubek obawiał się ławy oskarżonych.

Z czasem dokumenty stawały się bardziej dostępne. Nagle jakiś archiwista znajdował dla mnie kilka stron, które otwierały kolejną historię. Wracałem więc do tych samych ludzi z nowymi pytaniami. Odkryłem bowiem, że muszę ich przyciskać faktami. Sami z siebie ujawniali mi niewiele.

Aż wreszcie zalała mnie powódź dokumentów. Kiedy archiwalne papiery trafiły do Instytutu Pamięci Narodowej, zorientowałem się, że ubecy poświęcili V Komendzie dziesiątki tysięcy stron swoich raportów, protokołów przesłuchań, opracowań. Po przeczytaniu ich mógłbym wielu bohaterom i antybohaterom tej

historii zadać mnóstwo szczegółowych pytań, ale tymczasem niemal wszyscy zmarli.

Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku pierwszy raz pisałem w „Gazecie Wyborczej” o V Komendzie, odtwarzałem wydarzenia, czerpiąc wiedzę głównie z tego, co powiedzieli mi pamiętający je ludzie.

W tym dzienniku opublikowałem trzy reportaże o V Komendzie – znalazły się w książkowym zbiorze moich tekstów *Ofiary Niejasnego* (Prószyński i S-ka, Warszawa 2004). Po jakimś czasie zorientowałem się, że tom został „spiratowany”. Ktoś go zeskanował i wrzucił do sieci. Ten przejaw nowoczesności zwrócił mi uwagę na fakt, że żadnej z moich książek nie można legalnie przeczytać w wersji elektronicznej. Postanowiłem więc wydać własnego e-booka – połączyłem w nim te teksty o V Komendzie, które ukazały się w „Gazecie Wyborczej” i *Ofiarach Niejasnego*. Ukazał się w 2012 roku pod tytułem *Piąta Komenda*. O tym eksperymencie też zresztą napisałem w „Gazecie Wyborczej”, bo były to czasy rodzenia się rynku książki elektronicznej w Polsce.

Dziś mogę dodać do tej opowieści wszystko to, czego dowiedziałem się w ostatnich latach ze stosów dokumentów. Jedne z nich poznałem podczas przygotowywania artykułów dla „Newsweeka Historia”, drugie studiowałem na potrzeby tej książki. Zaskakujące jest to, że te wystukane na maszynach albo napisane odręcznie kartki pozwoliły mi zrozumieć więcej z opowieści ludzi, których nagrywałem w latach dziewięćdziesiątych. Całość więc nagle rozrosła się wydatnie. Obecna wersja tekstu jest przynajmniej cztery razy obszerniejsza niż mój e-book. Zaskoczyło mnie, jak mało wiedziałem – albo że wręcz nie miałem pojęcia – o niektórych niesamowitych wątkach związanych z V Komendą. Kiedy znowu odsłuchiwałem magnetofonowe taśmy, słyszałem w pewnym sensie więcej niż wówczas, gdy przeprowadzałem wywiady. Dwie połówki historii – mówiona i pisana – złożyły się wreszcie w całość.

1

Człowiek, który na emigracji trzymał w rękach wszystkie nici polskiej konspiracji antykomunistycznej, wsiadł do wojskowego samolotu z emblematami Stanów Zjednoczonych.

Pułkownik Józef Maciołek – jego losy to jedna z najważniejszych szkatułek tej opowieści – regularnie latał pomiędzy Wielką Brytanią a amerykańską strefą okupacyjną w Niemczech. Tym razem zmierzał po budujące wieści, które wkrótce spodziewał się usłyszeć od przedzierającego się z Polski emisariusza „Artura”.

Podkomendni podziwiali u pięćdziesięciodwuletniego pułkownika Maciołka dziarski krok przedwojennego oficera i niespożytą energię. Wieczorami zamykał się w swoim gabinecie w monachijskiej tajnej kwaterze. Tonął w chmurach dymu z wypalanych cameli. Całkowicie poświęcił się walce z komunistami. Jego osobisty majątek mieścił się w torbie podróżnej.

– Zasiać zdrowe ziarno, nie łudząc się, że doczeka się plonu – powiadał patetycznie o swojej pracy dla niepodległości Polski. – Ale licząc, że kiedyś plon będzie obfity.

Pułkownika stać było na marzenia. Jak na polskiego wojskowego emigranta Józef Maciołek miał dużo szczęścia. Mógł się utrzymać z miłości do ojczyzny.

Żył na Zachodzie z żołnierskiego fachu, co odróżniało go od wielu innych emigrantów, którzy po demobilizacji z trudem znajdowali pracę. Przez dziesiątki lat opowiadano o pewnym generale, który znalazł zatrudnienie u swego podkomendnego jako odźwierny w hotelu.

Józef Maciołek był urodzonym żołnierzem. Kropka. W mundurze spędził niemal całe dorosłe życie. Poza okresem, gdy uczył rolników.

Urodził się 28 lutego 1900 roku w Futomie w powiecie rzeszowskim jako syn Jakuba i Tekli. Podczas służby nazbierało mu się pseudonimów i fałszywych nazwisk: „Dominik”, „Kazimierz”, „Marek”, „Marian”, „Nowak”, „Roch”, „Roman”, „Tommy”, „Żuraw”; także Józef Wolny, Józef Podgórny, Józef Nowak czy Józef Ziemba.

Uczył się w Szkole Ludowej w Futomie (1908–1912) i dwuklasowej szkole wydziałowej w Błażowej (1913–1915). Potem przez dwa lata uczęszczał do gimnazjum w Rzeszowie, ale na dalsze kształcenie zabrakło pieniędzy, więc wrócił do domu, na gospodarkę.

Pierwszy raz walczył zaraz po osiągnięciu dojrzałości – jako osiemnastolatek. Jeszcze w styczniu 1918 roku ukrywał się, dostał bowiem powołanie do wojska austriackiego. Ale już pod koniec tego roku, 10 grudnia, wstąpił ochotniczo do polskiej armii. W Rzeszowie tworzył się właśnie 17 Pułk Piechoty Wojska Polskiego.

Pod koniec stycznia następnego roku wysłano go na front ukraiński. Raniony w marcu w bitwie nad rzeką Złotą Lipą, trafił do niewoli.

W maju Polacy odbili ukraiński szpital, w którym leżał Maciołek. Po kuracji we Lwowie wrócił do macierzystej jednostki.

5 marca 1920 roku walczył z bolszewikami w okolicach Borysowa nad Berezyną. Wycofywał się aż do Warszawy. Potem był Cud nad Wisłą i od 15 sierpnia 1920 roku – już jako dowódca plutonu – nacierał na Sowietów. Gonił ich aż do Starokonstantynowa na Ukrainie.

Życiorysy wojskowych w latach pokoju zwykle trącą nudą. Wypełniają je numery i nazwy pułków, do których bywają przydzielani. Czasami pojawiają się nazwy szkół i kursów, które kończą. W takich czasach wojskowym trudno zabłysnąć czymś szczególnym. Maciołek nie należał do oficerów, którzy po pijanemu wjeżdżali na koniu do restauracji.

Przeniesiono go do kwatermistrzostwa szpitala wojskowego w Nowym Sączu, bo między marcem a majem 1921 roku zaliczył w Krakowie kurs dla podoficerów gospodarczych. Wreszcie udało mu się też ukończyć gimnazjum matematyczno-przyrodnicze i zdać maturę (czerwiec 1923 roku).

Po Szkole Podchorążych dla Podoficerów w Bydgoszczy 15 lipca 1925 roku awansowano go do stopnia podporucznika piechoty i przydzielono do 7 Pułku Piechoty Legionów w Chełmie.

Podczas przewrotu majowego 1926 roku opowiedział się po stronie Józefa Piłsudskiego. Rok później został porucznikiem. Dowodził kompanią ckm-ów, był oficerem mobilizacyjnym, wreszcie w październiku 1936 roku przydzielono go do Korpusu Ochrony Pogranicza.

Niestety tymczasem mocno podupadł na zdrowiu. Powierzono mu stanowisko kierownika kasyna wojskowego, a w grudniu 1936 roku komisja lekarska uznała go za trwale niezdolnego do służby i został przeniesiony w stan spoczynku.

Spróbował polityki, wstąpił do Stronnictwa Ludowego. Organizował kółka i szkolenia rolnicze. Wciąż jednak czuł się związany z armią. Prowadził kursy przysposobienia wojskowego w założonym przez siebie kole Związku Strzeleckiego.

Zmobilizowano go 15 maja 1939 roku. Służył w 2 Pułku Piechoty Legionów w Sandomierzu.

Organizował kompanię karabinów maszynowych, która miała bronić mostu, zakładów przemysłowych i dworca kolejowego w Sandomierzu. Dowodził nią we wrześniu 1939 roku, bił się pod Baranowem, Zwierzyńcem i Krasnopolem. Trafił do niemieckiej niewoli. Uciekł z punktu zbornego dla jeńców. Na początku października 1939 roku powrócił do domu.

Pracował jako księgowy w spółdzielni. Doniesiono na niego – zrobił to jeden z podwładnych, którego zwolnił za nadużycia. Aresztowany przez Niemców, Maciołek trafił do więzienia 20 kwietnia 1940 roku. Dzięki łapówce 12 września tegoż roku odzyskał wolność. Już trzy dni później złożył przysięgę w podziemnym Związku Walki Zbrojnej (ZWZ).

Budował konspirację w Dynowie i Błażowej. W tej ostatniej 10 grudnia 1942 roku mianowano go dowódcą placówki.

Awansował na kapitana, a w ślad za tym powierzono mu funkcję komendanta Podobwodu Rzeszów-Południe Armii Krajowej. Za udział w Akcji „Burza”, podczas której sprawdził się jako dowódca, uzyskał stopień majora.

Kiedy w sierpniu 1944 roku na tereny Polski wkroczyły wojska radzieckie, pozostał w konspiracji. Poszukiwało go NKWD.

Wpadł 21 lutego 1945 roku. Aresztował go Urząd Bezpieczeństwa. Ale podczas zatrzymania posłużył się fałszywymi personaliami: Józef Wolny. Podawał się za łącznika inspektora… Maciołka. Uniknął wywózki do Związku Radzieckiego.

Rzeszowski sąd wojskowy skazał go na trzy lata więzienia. Trafił do celi w Zamku Lubomirskich w Rzeszowie.

I wtedy rozegrały się sceny jak z filmu sensacyjnego. Podziemie dostarczyło mu – za pośrednictwem strażnika – środek, który powodował podwyższenie temperatury i objawy przypominające tyfus. Maciołka przewieziono do szpitala w Rzeszowie przy ulicy Chopina. Stamtąd odbił go oddział podziemia. Uciekł najpierw do Krakowa, a potem do Katowic. Ukrywał się pod nazwiskiem Józef Podgórski.

Tymczasem powojenna konspiracja okrzepła w nowej organizacji – Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Józef Maciołek został szefem wywiadu i zastępcą prezesa obszaru południowego.

WiN był spadkobiercą rozwiązanej w styczniu 1945 roku Armii Krajowej. Przejął po niej żołnierzy, którzy uważali, że zakończyła się niemiecka okupacja, ale zaczęła sowiecka. Wielu z nich szukało w organizacji wsparcia w walce przeciwko komunistycznym represjom.

Organizacja powstała, gdy Polskie Państwo Podziemne chyliło się ku upadkowi. Cywilna Delegatura Rządu na Kraj oraz Rada Jedności Narodowej

(RJN) rozwiązały się 1 lipca 1945 roku. RJN obwieściła przy tym Testament Polski Walczącej. Wprowadzenie do niego stwierdzało: „Naród polski przyjął Armię Czerwoną jako wyswobodzicielkę Polski od jarzma hitlerowskiego. Wkrótce jednak nastąpiło rozczarowanie. Najszersze masy ludowe przekonały się, że demokracja jest w obozie Polski Podziemnej, zaś Komitet Lubelski to dyktatura, oparta o obce siły, a nie o wolę i zaufanie narodu".

Testament brzmiał: „Koniec wojny z Niemcami zastał Polskę w sytuacji niesłychanie trudnej, a nawet tragicznej. Gdy inne narody, zwłaszcza zachodnie, po zlikwidowaniu okupacji niemieckiej odzyskały rzeczywistą wolność i mogły przystąpić samodzielnie do urządzania sobie życia, Polska w wyniku wojny, w której poniosła największe ofiary, znalazła się pod okupacją, z rządem narzuconym przez ościenne państwo i bez wyraźnych widoków na pomoc swych sojuszników zachodnich".

Podsumowywano: „Nowa wojna zadałaby tak straszne rany narodowi polskiemu, że pragnieniem wszystkich Polaków jest porozumienie polsko-rosyjskie oraz między Anglią, Ameryką i Rosją na drodze pokojowej".

W testamencie postulowano opuszczenie Polski przez wojska sowieckie i rosyjską policję polityczną, zaprzestanie prześladowań, amnestię, powrót Polaków wywiezionych w głąb Rosji.

24 lipca 1945 roku Delegat Sił Zbrojnych pułkownik Jan Rzepecki napisał do żołnierzy byłej Armii Krajowej: „Jeżeli tylko pozwala na to Wasze osobiste położenie, jeśli bezmyślne prześladowanie przez tzw. bezpieczeństwo nie zamyka Wam tej drogi – przystępujcie do jawnej pracy na wszystkich polach nad odbudową Polski, pozostając wiernymi drogim każdemu żołnierzowi byłej AK demokratycznym hasłom: Wolność obywatela – niezawisłość narodu".

6 sierpnia oficjalnie zaprzestała działalności wojskowa Delegatura Sił Zbrojnych. W jej miejsce we wrześniu 1945 roku powstało Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość. Pierwszym jego dowódcą był właśnie pułkownik Jan Rzepecki.

W szczególnej konspiracji niedługo działała też organizacja „NIE", którą powołano na wypadek wkroczenia Sowietów do Polski. O takiej supertajnej komórce myślano już jesienią 1943 roku, po kwietniowym zerwaniu przez Stalina stosunków dyplomatycznych z polskim rządem na uchodźstwie. Wiosną 1944 roku zadanie stworzenia organizacji otrzymał pułkownik August Emil Fieldorf „Nil", który wcześniej dowodził Kedywem AK. Dowódcy AK przewidywali, że po wejściu wojsk ZSRR do Polski i realizowanej jednocześnie Akcji „Burza" zdekonspirowana zostanie znaczna część AK-owców.

Kryła się w tym jednak pewna sprzeczność. „NIE", aby pozostać jak najbardziej odporną na rozpoznanie przez Sowietów, powinna być nieliczna, wręcz elitarna. Nigdy nie rozwinęła szerszej działalności.

Na początku marca wpadł „Nil” – nie rozpoznano go pod fałszywym nazwiskiem, ale i tak został zesłany w głąb ZSRR. Jego następca pułkownik Antoni Sanojca proponował rozwiązanie organizacji, co nastąpiło w maju 1945 roku. Tymczasem do konspiracji garnęły się też masy AK-owskie, które potrzebowały wsparcia w obliczu radzieckiego terroru. Ci ludzie znaleźli swojego sprzymierzeńca w WiN.

Pomysł na WiN był karkołomny. Pułkownik Jan Rzepecki powołał organizację cywilną – co podkreślała sama nazwa zrzeszenie. Tworzyli ją jednak byli żołnierze Armii Krajowej. Kolejne dowództwa formalnie nazywano zarządami, na których czele stali prezesi, ale niżej w hierarchii w naturalny sposób pojawiały się komendy i komendanci.

WiN nie zamierzał prowadzić działalności zbrojnej, miał raczej dopomóc byłym AK-owcom w powrocie do normalnego życia. Tak przynajmniej zakładano w teorii. Szybko jednak okazało się, że trudno powstrzymywać się od używania broni, kiedy komuniści sieją terror. WiN nabrał wojskowego charakteru. A raczej: nie stracił go – bo przecież jego członkami byli żołnierze.

Zrzeszenie stało się głównym celem komunistycznej propagandy i bezpieki. UB dość szybko rozpracowywało kolejne komendy, aresztowało dowództwa. Tragiczne wyliczenie można sprowadzić do czterech wierszy:

I Komenda WiN, prezes pułkownik Jan Rzepecki, wrzesień 1945–listopad 1945.

II Komenda WiN, prezes pułkownik Franciszek Niepokólczycki, listopad 1945–październik 1946.

III Komenda WiN, prezes podpułkownik Wincenty Kwieciński, październik 1946–styczeń 1947.

IV Komenda WiN, prezes podpułkownik Łukasz Ciepliński, styczeń 1947–listopad 1947.

IV Komendę postawiono przed sądem w 1950 roku. Komendanta Łukasza Cieplińskiego skazano na pięciokrotną karę śmierci i trzydzieści lat więzienia. Adama Lazarowicza, zastępcę komendanta, na czterokrotną karę śmierci i trzydzieści trzy lata więzienia. Jednego dnia, 1 marca 1951 roku, stracono na Mokotowie prawie całą IV Komendę WiN: siedem osób. Dziś rocznicę tego wydarzenia obchodzimy jako Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Członek podziemia Maciej Jeleń wspominał ostatnie chwile dowódców IV Komendy:

„Znalazłem się w Mokotowie w celi śmierci i po pewnym czasie do celi wprowadzili więźniów po procesie całej czwartej komendy WiN. Wśród nich byli Łukasz Ciepliński, Lazarowicz, Błażej, Rzepka, Kawalec, Batory, cała siódemka. Jeden z nich, Rzepka, był praktycznie rzecz biorąc wskutek

strasznego śledztwa ciężko chory, to była schizofrenia w całym tego słowa znaczeniu. Do niego nic nie docierało, co koledzy mówili.

Pierwszego marca 1953 roku w godzinach popołudniowych zaczęli wywoływać więźniów grupkami. I jak się zorientowaliśmy, wywołali w tych grupkach całą czwartą komendę WiN. Myśmy mieli możliwość przez taki kawałeczek szyby obserwować podwórzec więzienny. Widzieliśmy mniej więcej koło stu, stu pięćdziesięciu metrów drogi, którą byli ci więźniowie prowadzeni. Pojedynczo ich wyprowadzali. Dwóch strażników trzymało takiego więźnia pod ręce, z tyłu szedł też prawdopodobnie ubezpieczający.

Egzekucja odbywała się w garażu samochodowym. I tak trochę po bolszewicku był włączany motor samochodu, żeby zagłuszyć ewentualne dźwięki. Strzał padał jeden.

Przy trzecim czy czwartym wyprowadzeniu słyszeliśmy, że jeden z więźniów zaczął krzyczeć: mordują! Przypuszczam, że to był Chmiel, który usiłował w ten sposób dać współwięźniom znać, co się z nimi dzieje.

Łukasz Ciepliński zwrócił się do mnie, aby powiadomić ewentualnie jego rodzinę, bo bardzo był do niej przywiązany, że w momencie, kiedy zorientuje się, że to już jest egzekucja, to medalik, który nosił na szyi, włoży do ust, przed egzekucją, aby ewentualnie rodzina miała możliwość rozpoznania jego ciała wśród tych grobów, wśród tych zwłok, które były potajemnie grzebane przez władze bezpieczeństwa w różnych miejscach Warszawy”.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku żył jeszcze ostatni członek IV Komendy WiN – Ludwik Kubik. Rozmawiałem z nim, ale nie chciał wracać do tamtych wydarzeń; mówił mi, że ciągle przeżywa śmierć kolegów.

Kolejne komendy WiN słały na Zachód swoich emisariuszy. Pierwsza wyekspediowała pułkownika Janusza Bokszczanina. Potem Franciszek Niepokólczycki skierował tam Kazimierza Rolewicza i Wacława Bnińskiego. Wreszcie – Józefa Maciołka i Stefana Mariana Rostworowskiego „Ignacego”. Ci dwaj wyruszyli do Wielkiej Brytanii 1 września 1946 roku. Z Polski wymknęli się statkiem belgijskim transportującym węgiel do Szwecji. Do Wielkiej Brytanii dotarli 23 września 1946 roku.

Emisariusze z kraju powołali Delegaturę Zagraniczną WiN. Był to więc twór krajowych konspiratorów, a nie emigrantów. Działał w pewnym sensie obok polskiego Londynu. Każdy z wysłanników WiN ruszał, aby nawiązać kontakt z polskimi władzami emigracyjnymi, choć – co istotne – nie z zadaniem podporządkowania się im. Jednak dzięki Maciołkowi WiN uzyskał pełne uznanie urzędującego na uchodźstwie prezydenta RP.

Józef Maciołek był szefem Delegatury i jednym z jej najważniejszych organizatorów. Rozwinął współpracę z Departamentem Obrony USA i z CIA. W 1950 roku podpisał umowę z wywiadem amerykańskim, co umocniło stabilność finansową polskiego podziemia. Amerykanie dostarczali również sprzęt szpiegowski i dywersyjny. W zamian oczekiwali zaangażowania polskiego podziemia po wybuchu III wojny światowej. Dzięki niespożytej energii Józefa Maciołka powstały ekspozytury podziemia w Monachium, Paryżu, Sztokholmie, Brukseli, a także w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych.

Pułkownik Maciołek tym samym stał się najważniejszym przebywającym poza krajem człowiekiem związanym z ruchem oporu w Polsce.

Ale zanim do tego doszło, WiN w Polsce zagroził paraliż. Kiedy pod koniec 1947 roku wpadła IV Komenda, organizacja wydawała się niemal całkowicie zniszczona.

Sytuację uratował człowiek, do którego Maciołek miał bezgraniczne zaufanie. Łączyły ich nie tylko więzy organizacyjne, ale też przyjacielskie i rodzinne. Chodzi o Stefana Sieńkę. Kolejną szkatułkę w tej opowieści.

Matka Józefa Maciołka to Tekla z domu Sieńko. Stefan był podkomendnym Józefa od czasów Armii Krajowej. Maciołek, opuszczając kraj we wrześniu 1946 roku, powierzył Sieńce ważne zadanie – szefa siatki informacyjnej „Iskra”.

Stefan Sieńko „Wiktor” tak jak Józef Maciołek działał w WiN od początku. Długo unikał aresztowania, aż wreszcie pod koniec 1947 roku wpadł. Mógł skończyć tak jak inni, zastrzelony w więziennej piwnicy po wyroku sądu kapturowego, zwanego „kiblowym”, bo aresztowanych prowadzono na rozprawę do toalety, a przed sądem zasiadali na kiblu. Albo – jeśli tak wolałaby władza – po procesie pokazowym, szeroko opisywanym w komunistycznej prasie, która piętnowała ludzi podziemia, przypisując im wojenną współpracę z hitlerowcami, a po wojnie mordowanie komunistów.

Ale do Maciołka dotarła wiadomość, że Sieńce szczęśliwie udało się uciec, choć podczas pościgu został ranny. Najbliższym współpracownikom – tym, z którymi zdruzgotany odbudowywał WiN – „Wiktor” pokazywał nobilitującą bliznę. Od Wielkanocy 1948 roku ścigała go niemal cała bezpieka. WiN-owca szukały Wojewódzkie Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie, Rzeszowie, Katowicach, Warszawie. W rozsyłanych listach gończych jawił się niemal jako wróg publiczny numer jeden.

Stefan Sieńko pisał do Józefa Maciołka w przekazanej tajnym kanałem korespondencji: „Pomimo naprawdę ciężkich czasów, jakie ostatnio przeżyłem ja osobiście i wielu naszych znajomych, trzymamy się dobrze”. Czekał na

wiadomość z Delegatury, bo każda informacja stamtąd napawała wiarą na lepsze następne dni. Kończył: „Ażeby zaspokoić wzajemną ciekawość wypadałoby się nam spotkać wkrótce, ale bądźmy pełni wzajemnego zaufania, w przyszłości na wszystko będzie czas”.

Stefan Sieńko powoli ożywiał organizację. Z Polski płynął do Delegatury kolejny pokrzepiający meldunek: „W wytworzonej sytuacji postanowiliśmy przeprowadzić pewne przegrupowania w pozostałym zespole kierowniczym i przystąpić do normalnej pracy nad zmontowaniem nowego ośrodka kierowniczego”.

Doniesienia te coraz bardziej cieszyły Maciołka. Organizacja, zniszczona aresztowaniami, odradzała się jak Polska w 1918 roku.

Wreszcie i sam Sieńko ustabilizował swoją sytuację nie tylko organizacyjną, ale też prywatną. Ożenił się i spodziewali się z żoną dziecka. Józef Maciołek pisał żartobliwie do niego: „Dziękuję za pamięć i branie mię pod uwagę na chrzestnego. Miejmy nadzieję, że w przyszłości to mię nie ominie, jeżeli nie przy drugim, to powiedzmy przy piątym. Zależy to oczywiście od rozwoju sytuacji światowej z jednej strony, a z drugiej od tempa, jakie zastosujecie. Sądzę, że i w tej dziedzinie istnieją »normy i szlachetne współzawodnictwo«”.

Z kraju docierały kolejne krzepiące informacje, a Józef Maciołek nie bez dumy przekazywał je amerykańskim sojusznikom: WiN w Polsce dysponuje sześciuset ludźmi z doświadczeniem w walce partyzanckiej; z tego dwustu to oficerowie. Szczególnie ważne dla organizacji były osoby, które nigdy nie ujawniły komunistom, że działały w podziemiu. Ani podczas wojny, ani już po niej. Dla nowej władzy byli więc ludźmi, którzy na drabinie podejrzeń ukryli się na najniższym szczeblu.

W kraju rodziła się V Komenda. Nadano jej wówczas miano „Uniwersytetu”. Dwa równie ważne działy oznaczono kryptonimami związanymi także ze szkolnictwem wyższym. Obszar Centralny nazwano „Akademią”, a Białostocki – „Bursą”. Jakby ze studencką młodością wiązano nadzieje na pomyślną przyszłość.

WiN informował Maciołka, że ewidencjonuje dostępną broń i remontuje dwanaście radiostacji. W pięciu województwach dysponuje bunkrami. W trzech miejscach, w których w przyszłości planowano koncentrację, gromadzi w magazynach medykamenty i środki opatrunkowe.

Najważniejszym osiągnięciem było jednak wtopienie się w środowisko komunistów. Ludzie podziemia, nawet kosztem posądzeń o zaprzaństwo, pracowali na opinię oddanych ideologicznie nowej władzy i otrzymywali stanowiska w istotnych miejscach. Takich Konradów Wallenrodów przybywało z dnia na dzień.

Stefan Sieńko pisał znowu do Józefa Maciołka: „Podświadomie wyczuwam, że nasza praca zaczyna się finalizować, i to staje się dla mnie, jak i mojego najbliższego otoczenia poważnym bodźcem do dalszego wysiłku.

Marzę już o tej chwili, kiedy Bóg pozwoli nam się spotkać w wolnej ojczystej ziemi. Wam przede wszystkim życzę z całego serca doczekania się jak najszybciej tego momentu, bo zdaję sobie sprawę, że wśród obcych zaznajecie mniej chwili zadowolenia niż my tutaj – nazwijmy to – na pierwszej »linii frontu«”.

Wszystko toczyło się po myśli Stefana Sieńki. Pod rozkazy V Komendy udawało się wciągać kolejne oddziały partyzanckie, działające do tej pory w samotności. Trafił do nich emisariusz, który skutecznie nakłaniał dowódców, aby podporządkowali się nowemu szefostwu WiN. Tym łącznikiem był „Artur”, który odegrał też inną ważną rolę – kuriera do Delegatury WiN.

2

„Artur” fatalnie się pomylił. Przez ciemność potęgowaną deszczem nie zorientował się, że choć idzie wzdłuż linii elektrycznej, to w przeciwną stronę.

Na cały dzień zaszył się w jakiejś rozpadlinie.

W nocy, która tym razem była jaśniejsza, znowu ruszył w drogę wzdłuż słupów trakcji elektrycznej, tym razem już we właściwym kierunku, w stronę miasteczka Ostritz.

Dotarł tam koło drugiej w nocy. Do rana przeczekał w zaroślach. Potem znowu według instrukcji: w miasteczku przeskoczyć strumyk i polną drogą dojść do sklepu z szyldem „Eduard Bach”. To był jego pierwszy punkt kontaktowy.

Musiał się bać. Kurier zdany jest na obcych ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkał. To oni przerzucają go z miejsca na miejsce, to oni organizują kwatery podczas tajnej operacji. Kurier ufa im tylko dlatego, że ktoś inny za nich ręczy. Jego życie wisi na tej cienkiej nici zaufania. Przyjaciel, gdy nocą schwyta go bezpieka, rano może już być wrogim agentem.

Po dwóch dniach skradania się opłotkami „Artur” wszedł do niemieckiego sklepu w owej niewielkiej miejscowości Ostritz. Zrobił to jednak dopiero wtedy, gdy jakiś klient skończył zakupy. Przyjrzał się stojącemu za ladą szczupłemu, ciemnemu blondynowi o szarych oczach – nad lewym przebiegała blizna. Wszystko zgadzało się z opisem, który przed misją otrzymał od oficera V Komendy. Mężczyzną tym był Gerhard Wagner „Bach”, zwany przez „Artura” Eduardem Bachem, szef punktu kontaktowego.

„Artur” wypowiedział po niemiecku hasło. Usłyszał odzew.

Bach od razu zabrał go do niewielkiego magazynu za sklepem, a potem zaprowadził do swojego mieszkania kilkadziesiąt metrów dalej.

Lecz „Artur” nie odetchnął, nie zeszło z niego napięcie. A przecież po tych wszystkich przeżyciach krew w żyłach powinna zwolnić. Czuł jednak, że Bach jest nieufny. Wypytywał, dlaczego spóźnił się aż całą dobę.

Potem „Artur” zorientował się, że dokładnie skontrolowano drogę, którą przebył, wszystkie kryjówki, którymi się posłużył. Znaleziono nawet butelkę po wypitej dla rozgrzewki wiśniówce. Mówiono mu, że chodzi o zatarcie śladów. „Artur” jednak nabrał przekonania, że po prostu go sprawdzali. Obawiali się

pewnie, że mogła go złapać milicja i dotarł do punktu kontaktowego już po przewerbowaniu. Tu nikt nikomu nie ufał.

Dzień później po „Artura” przyjechała ładna, wysoka brunetka. Studentka medycyny w Berlinie Wschodnim, a przy tym łączniczka podziemia.

– Jestem Rita – przedstawiła się i dodała, że rozkazano jej przeszmuglować „Artura” do Berlina Zachodniego, do mężczyzny zwanego „Beno”. Komórka przerzutowa posługiwała się dwiema łączniczkami mieszkającymi w Berlinie Wschodnim: „Uschi” i „Inge”. Obie należały do komunistycznej organizacji Wolna Młodzież Niemiecka – FDJ.

„Artur” wcielił się w nową rolę. Stał się Niemcem. Dostał wschodnioniemiecki dokument na nazwisko Erich Heinrich Bigalke, szewc urodzony w Lipsku.

Ale „Artur” słabo znał niemiecki. Tymczasem komunistyczna milicja często kontrolowała pociągi do Berlina Wschodniego, gdzie mieli dotrzeć najpierw. Szukała zbiegów z Polski, którzy przedarli się przez zieloną granicę i zmierzali dalej na Zachód. Ludzi takich jak on.

Na noc „Artura” zawieziono motocyklem do sąsiedniej miejscowości i zamelinowano u mężczyzny nazywanego Waltherem. Ten o czwartej nad ranem podrzucił kuriera na dworzec kolejowy, na którym oczekiwała łączniczka Rita. Przywiozła ze sobą znakomity dokument – zaświadczenie, że „Artur” choruje na raka gardła. Nie może się więc odzywać. A Rita jest jego kuzynką i wiezie go do szpitala onkologicznego. Owinęła mu szyję opatrunkiem. Kiedy potem w pociągu trzykrotnie kontrolowała ich milicja, Rita pokazywała dokumenty, a „Artur” niezrozumiale charczał.

Gdy już dotarli do Berlina, przedostanie się do amerykańskiej strefy okupacyjnej okazało się łatwe. Po przesiadkach kolejowych znaleźli się w dzielnicy Steglitz już w Berlinie Zachodnim. Łączniczka Rita przekazała „Artura” szefowi kanału przerzutowego. To był właśnie „Beno”.

„Artura” zakwaterowano u starszej pani, wdowy po lekarzu Wehrmachtu, który zginął na froncie wschodnim. Od tej pory „Artur” udawał Francuza, bo trochę znał język francuski. Zakazano mu odzywać się na ulicy po polsku z obawy przed komunistycznymi agentami, którzy mogliby na niego zwrócić uwagę. Bez przerwy towarzyszył mu George Sowa, który kwaterował w tym samym domu niemieckiej wdowy. Potem „Artur” dowiedział się, że ten kanał przerzutowy nosił kryptonim „Étoile”, co po francusku znaczy między innymi „Zbieg”. Niedługo przed „Arturem”, który zmierzał na Zachód w listopadzie 1951 roku, wykorzystał tę trasę również inny kurier V Komendy Tomasz Gołąb „Wacław” – on przedzierał się do Delegatury pod koniec lipca.

Takich szlaków WiN miał zaledwie kilka. Używano ich wiele razy, co było ryzykowne, ale niezbędne. Przerzucanie ludzi przez granicę wymaga ustalenia wielu szczegółów – przede wszystkim u kogo kurierzy będą mieszkać na swojej trasie i w jaki sposób najbezpieczniej przewozić ich z miasta do miasta. Nikt nie zdołałby tej logistyki zmieniać na potrzeby każdego przerzutu, to zbyt wiele pracy. Kanały więc pełniły taką właśnie funkcję, jaka wynikała z ich nazwy: spływali nimi kolejni emisariusze.

Ale wygoda podyktowana koniecznością oznaczała też poważne niebezpieczeństwo – gdy przeciwnik poznał trasę przerzutową, mógł ją niepostrzeżenie obserwować i poznawać krążących nią kurierów.

Były też inne szlaki.

„Frania" – trasa przez Frankfurt nad Odrą. Kryptonim być może pochodził od Frau Anny Seelig, starszej pani mieszkającej w domu przy Luisenstrasse 2, na drugim piętrze, drzwi po prawej stronie. Przy drzwiach znajdował się dzwonek z rączką do podnoszenia. Po uruchomieniu go – tylko raz – na powitanie należało wypowiedzieć hasło: „*Ist Irene zu Hause?*". Prawidłowy odzew brzmiał: „*Meine Sie, meine Schwester*?". Ale nie powinno było nikogo zdziwić, jeśli właścicielce mieszkania pomylą się odpowiedzi. Ze względu na podeszły wiek należało ją nazywać babcią i szukać dwu przewodniczek. Pierwsza to dwudziestoletnia Uschi, wnuczka Frau Anny, pracowała w S-Bahn, a druga, dwudziestopięcioletnia Iza, była Polką, która kilka lat wcześniej wyszła za Niemca.

Z kolei punkt w Cedyni nazywano „Schultz". Główną rolę odgrywał tu rybak Herman Korbe, który wypływał na niemieckie wody, a do polskiego brzegu zbliżał się, gdy usłyszał umówiony sygnał: rzucone do wody kolejno trzy kamienie – przynajmniej na siedemdziesiąt metrów od brzegu, aby marynarz wychwycił uchem ich plusk. Kamienie zalecano owinąć szmatą przymocowaną do kija, to pozwalało miotać je jak najdalej. Rybak, gdy dostrzegał kogoś podejrzanego w okolicy, głośno kaszlał. Przerzucane osoby – najwyżej dwie naraz – kładły się na dnie łodzi. Dalej jechały na rowerach razem z robotnikami zmierzającymi do pracy. Dlatego ubrane były tak jak pracownicy rano – dbano o wszelkie szczegóły.

Innego kanału używano do ekspediowania tajnych przesyłek przy pomocy kolejarzy. Jednym z nich był maszynista pociągu towarowego, który z Frankfurtu nad Odrą jeździł aż do Brześcia przez Poznań i Warszawę. Obsługę rewidowano na trasie, ale w Kutnie pociąg zatrzymywał się i przez kilka godzin uzupełniał węgiel i wodę. Maszynista wówczas wychodził do miasta po jedzenie i mógł zabrać niewielką paczkę ze szpiegowską zawartością. Potem ukrywał ją w węglu.

Delegatura próbowała też wykorzystać konduktorów wagonów sypialnych, bo ci i tak z reguły szmuglowali przez granice nielegalne towary i pieniądze.

„Artur” to już trzecia ważna szkatułka V Komendy.

Pierwszy raz milicja aresztowała go w 1947 roku. Zarzucono mu, zgodnie z ówczesną linią propagandy, „bandycką działalność”.

14 października 1947 roku major Trzepiński, komendant Milicji Obywatelskiej (MO) w Krakowie, zanotował, że „Artur” był jednym z członków „zlikwidowanej ubiegłego roku bandy rabunkowo-terrorystycznej N.S.Z. »Targonia«, którzy na podstawie amnestii zostali zwolnieni, przystępując ponownie do organizowania bandy, z którą dokonali już powyższych napadów planując szeregu innych”. Wspomniane napaści to między innymi napad na kasjerkę firmy futrzarskiej. W sądzie jednak „Arturowi” niczego nie udowodniono. Odzyskał wolność.

Przyczaił się. Poszukał legalnej pracy. Etat gwarantował dokumenty, które odsuwały podejrzenia, że jest „wrogim elementem”. Zatrudnił się na sztandarowej budowie Polski Ludowej – w Nowej Hucie. Ale nie jako robotnik, lecz instruktor. Opisywano go nawet w gazetach.

21 września 1951 roku tygodnik „Budujemy Socjalizm” przedstawiał zakończenie kursu szkolenia zawodowego, fetowane uroczyście w dużej świetlicy na placu budowy Nowej Huty. Podczas akademii absolwentom wręczono świadectwa i nagrody. Gazeta zacytowała „Artura”, który był kierownikiem oddziału szkolenia zawodowego: „Tworząc w ciężkim trudzie gigantyczne zakłady przemysłowe, nie wystarczy nam entuzjazm, ale musimy połączyć go z entuzjazmem opanowania budownictwa, które powstaje w ramach planów budownictwa podstaw socjalizmu w Polsce. Dlatego na plan pierwszy wysunęło się u nas zagadnienie kadr, zdolnych do wykonania poważnych zadań produkcyjnych. Zagadnienie to stało się tym bardziej ważne, że ogromna większość robotników Nowej Huty składała się z okolicznych chłopów oraz młodzieży wiejskiej, która niejednokrotnie po raz pierwszy zetknęła się z podobna robotą”.

„Artur” ciągnął: „Spójrzmy na sylwetki tych ludzi […], którym dziś szkolenie zawodowe dało w rękę twórczy zawód, a którzy przyszli do nas ze wsi, wszelkiej nędzy czy też z gospodarstwa karłowatego. Do takich należy m.in. Anna Nawracaj, córka małorolnego chłopa, która przybywszy do Nowej Huty, pracowała jako sprzątaczka w dziale produkcji. Dziś, po ukończeniu kursu, pracuje jako pełnokwalifikowany pomocnik maszynisty. Kol. Bolesław Płaszczak – po skończeniu kursu pracuje na parowozie. Jest również członkiem

młodzieżowej drużyny, która podjęła zobowiązanie przejechania 80 tysięcy km parowozem bez remontu”.

I zakończył: „Dzień dzisiejszy […], w którym ponad 100 pełnokwalifikowanych absolwentów kursów otrzymuje świadectwa ukończenia nauki, jest za tym dniem dla nas szczególnie ważnym i uroczystym. Wierzymy, że osiągnięte przez was przodujące wyniki w nauce poprzecie obecnie przodującymi wynikami w pracy”.

Ale już niedługo „Artura” uznano za szkodnika.

Wtedy właśnie konspiracyjny szef – jego prawdziwe nazwisko i wojenne dzieje w Armii Krajowej „Artur” poznał dopiero kilka lat później, już po całej operacji – powierzył mu trudne zadanie: wyjazd kurierski na Zachód. Poinformowanie Delegatury Zagranicznej WiN i Amerykanów o sytuacji w kraju oraz nastrojach w podziemiu. I tu zaczęła się historia misji w Niemczech.

„Artur” zniknął. Jakiś pracownik działu kadr wystukiwał na maszynie do pisania kolejne monity. W Krakowie i Nowej Hucie podejrzewano, że uciekł z obawy przed aresztowaniem. Wreszcie 18 grudnia 1951 roku wysłano mu wypowiedzenie z pracy.

„Artur” nie pojawiał się też w domu, na którego adres kierowano wszystkie upomnienia. Żonie – zakochali się w sobie, pracując w Nowej Hucie – ludzie pewnie współczuli. Kiedy ktoś pytał, co się stało z mężem, odpowiadała, że chyba uciekł do innej kobiety. Tak jej polecono przed misją – gdyby ktokolwiek go szukał: zakład pracy, znajomi, milicja, niech mówi, że ją porzucił.

Z mieszkania wdowy Seelig „Artura” zawieziono na lotnisko Tempelhof. Tam czekał na niego mężczyzna posługujący się tylko językiem angielskim: Bill Piter. Pracował w amerykańskim wywiadzie, imię i nazwisko było więc pewnie zmyślone. Spotkali się przed głównym gmachem, tuż przy pomniku amerykańskich lotników, którzy zginęli podczas blokady Berlina. Piter zaprowadził „Artura” do amerykańskiego samolotu wojskowego z samymi Amerykanami na pokładzie. Polecieli do Frankfurtu nad Menem.

Po wylądowaniu nikt ich nie kontrolował. „Artura” zapakowano do cadillaca, który pojechał autostradą do Monachium. Amerykański kierowca próbował z nim rozmawiać, ale nie znał ani polskiego, ani francuskiego, więc jego wysiłki spełzły na niczym.

W Monachium krążyli bez celu po mieście pół godziny. Kierowca najwyraźniej oczekiwał na ustaloną przez kogoś porę. Wreszcie zajechali pod Café Stadt Wien.

Tu wreszcie pierwszy Polak! W kawiarni na „Artura” czekał Edward Kuligowski, zastępca Józefa Maciołka w Delegaturze. Niestety kurier nie poczuł polskiej wylewności. Przeciwnie. Cały czas zdawało mu się, że pracownicy Delegatury na razie badają go, nie ufają mu w pełni. Przez kolejne dni „Artur” spotykał się z Kuligowskim tylko w kawiarniach albo w niewielkiej willi, w której mieszkała rodzina folksdojcza zbiegłego z Polski.

Na razie nie było nawet mowy o spotkaniu z Józefem Maciołkiem.

A przecież na tym polegało jego najważniejsze zadanie. Miał opowiedzieć mu o sile WiN w Polsce i przyjąć od niego wskazówki Delegatury.

Wreszcie Kuligowski polecił „Arturowi” przyjść późnym popołudniem do kawiarni Mack w centrum Monachium. Gdy się ściemniło, pojechali taksówką na przedmieścia. Zatrzymali się obok dworca kolejowego. Kuligowski ukrywał przed kierowcą właściwy cel. Kiedy auto odjechało, przeszli spory kawałek pod dom przy Heilmanstrasse 23. Kuligowski wspomniał, że to tajna siedziba Delegatury.

Pałacyk otoczony był wysokim murem i chroniony potężną bramą. Z zewnątrz niczego nie było widać. Dla pełnej konspiracji minęli budynek i po kilku minutach spaceru doszli do rzeki Izary. Odnaleźli zarośniętą dzikim winem furtkę i weszli do ogrodu. Ruszyli krętą ścieżką między skałami na spadzistym, zakrzewionym stoku. Dotarli do tylnego wejścia budynku.

„Artur” zapewne z ciekawością słuchał opowieści Kuligowskiego o kompletowaniu personelu Delegatury. To zastępca Maciołka wynajdywał chętnych, ale Amerykanie byli tak podejrzliwi, że każdego kandydata sprawdzali wykrywaczem kłamstw.

Na drugim piętrze pałacyku urządzono laboratorium, w którym fałszowano dokumenty. Kilka dni później kierujący tym działem Michał Sulima przepytał „Artura” w kwestii przeróżnych polskich papierów, na przykład o to, jak wpisuje się do książeczek wojskowych nowe adresy meldunkowe czy jak często należy podstemplowywać legitymację Zarządu Energetyki – co miesiąc, co kwartał czy co rok. Każdy spreparowany dokument opatrywano legendą. Spisywano nazwiska kierowników w instytucjach, których dokumenty podrabiano. Notowano, ile zarabia osoba, na którą wystawiano sfałszowany dokument, a nawet, czy pobory otrzymuje z góry czy z dołu. Ustalano, czy osoba z takim dokumentem może jeździć na krajowe delegacje służbowe, czy korzysta z darmowych biletów kolejowych albo czy instytucja, w której jest zatrudniona, dysponuje swoimi ośrodkami wczasowymi. „Artura” pytano o ceny w restauracjach w Nowej Hucie i adresy stołówek pracowniczych.

To wszystko jednak później, gdy dopuszczono go do szerszego składu Delegatury.

Teraz celem „Artura” było pierwsze piętro. Tutaj pracowało kierownictwo Delegatury. Kurier miał wreszcie zobaczyć Józefa Maciołka, który właśnie wrócił z podróży do Londynu.

Główne polecenie przekazane „Arturowi” przed wyjazdem brzmiało: ruszasz tam jako emisariusz polskiego kierownictwa WiN, musisz zatem dokładnie powiedzieć, jak sytuację w kraju widzi podziemie, najważniejsze, to przedstawić Delegaturze i amerykańskiemu wywiadowi krajowy punkt widzenia.

„Artur”, który wkuł przed wyjazdem wszystkie szczegóły, tłumaczył więc, że WiN to spadkobierca Armii Krajowej. Ale powstał oddolnie, a nie w rezultacie odgórnego rozkazu – i to już jest ważna różnica, którą nie każdy od razu dostrzega. To właśnie powinien zaakcentować: WiN zjednoczył tych AK-owców, którzy nie chcieli zaprzestać działalności po wejściu Sowietów. WiN dla Polaków stał się synonimem walki z ustrojem, jedyną dużą organizacją cieszącą się zaufaniem. Dorównał pod tym względem Armii Krajowej. Z WiN wiązali się ludzie o różnych przekonaniach – od skrajnej prawicy po byłych komunistów. Łączyła ich nienawiść do nowych, wschodnich okupantów.

To wszystko było oczywiste dla pułkownika Maciołka. Pamiętał przecież, jak i dlaczego powstała organizacja. Ale należało to jasno powtórzyć, aby wyeliminować ewentualne wątpliwości Delegatury, że WiN w kraju zmienił swoje oblicze. Po tym wstępie pojawiały się coraz ważniejsze informacje, związane z aktualną sytuacją.

Wielu wyższych rangą WiN-owców rozpracował Urząd Bezpieczeństwa. Ich miejsce zajmowali nowi ludzie, z których niektórzy byli nawet zbyt młodzi, aby służyć w AK.

„Artur” przypomniał największy cios, jaki WiN otrzymał niedługo po wyjeździe Józefa Maciołka, na przełomie 1947 i 1948 roku. Wówczas aresztowano komendanta Łukasza Cieplińskiego wraz z dowództwem i celnie uderzono w oddziały w terenie. Bez strat wyszły z tego tylko dwa na czternaście okręgów. W więzieniach znalazło się ponad dwa tysiące ludzi. Piątą część skazano na kary śmierci, resztę na dożywocia i długoletnie więzienia, z reguły przekraczające osiem lat.

Zdawało się, że WiN ostatecznie rozbito.

Pozostali WiN-owcy jednak tylko przyczaili się na kilka miesięcy. Po tym czasie odbudowywali organizację, lecz już w inny sposób. Poszczególne grupy nie nawiązywały bliskich kontaktów, bo nikt nie miał pewności, czy UB nie pozostawiło niektórych ludzi jako przynętę.

W 1948 roku utworzono nowe kierownictwo WiN, czyli V Komendę. W dalszym ciągu rezygnowano z bliskich kontaktów między różnymi grupami, z obawy przed ubecką infiltracją. Głębsza niż wcześniej konspiracja miała chronić żołnierzy w razie wpadek. Mimo że w ubiegłym roku UB aresztowało kilkuset WiN-owców, tym razem nie naruszyło to trzonu zrzeszenia.

„Artur" opowiadał, że zasadniczy cel organizacji jest zgodny z jej nazwą: walka o wolność człowieka i niezawisłość państwa. Wbrew kolejności to drugi cel był priorytetowy.

Krajowa konspiracja popierała utrzymanie zachodniej granicy na Odrze i Nysie. Nie powoływała się jednak – tak jak komuniści – na propagandowe hasła o powrocie tych ziem do polskiej macierzy, ale uważała je za część rekompensaty za zbrodnie hitlerowskie i politykę międzynarodową wobec Polski po wojnie. Ponieważ ziemie te zasiedlali i zagospodarowywali polscy repatrianci ze Wschodu, powinny pozostać w polskich granicach. Z punktu widzenia polskiego podziemia dające się słyszeć w zachodnich Niemczech głosy kwestionujące powojenny przebieg granic były wysoce niekorzystne. WiN musi przecież zdobywać poparcie również wśród osadników na zachodzie Polski i żołnierzy Rokossowskiego. Zlekceważenie kwestii zachodniej granicy oznaczałoby propagandowe oddanie pola komunistom.

Ludzie powinni wiedzieć, o co walczą. WiN opierał się na przekonaniu, że sprawy ekonomiczne i społeczno-wychowawcze w wolnej Polsce będą w pełni zgodne z zasadami chrześcijańskimi. Uznawał też, że znaczna część przeprowadzonych przez komunistów reform jest nieodwracalna. Jednak państwo powinno zagwarantować własność prywatną, zapewniać obywatelom równy start życiowy, prawo do nauki, pracy i opieki społecznej. Wszystkie te pryncypia Polacy mogliby odrzucić, ale tylko w drodze powszechnego głosowania.

„Artur" przypominał, że podziemie musi walczyć o dusze rodaków. O wyrwanie ich z trujących doktryn komunizmu. Ale na razie, ze względu na szczupłość środków, udawało się prowadzić wojnę psychologiczną, tylko broniąc się, a nie odpowiadając atakami.

W polityce personalnej kolejność pożądanych cech była taka: morale i charakter, dotychczasowe osiągnięcia, przygotowanie teoretyczne i praktyczne, szczególne uzdolnienia.

Podziemie zamierzało być dla Polaków nie władzą zwierzchnią, a jedynie pomocnikiem w czasie walki. W 1947 roku, mimo że Polskie Stronnictwo Ludowe miało minimalne szanse na wygraną, to zostało wsparte potencjałem podziemia, jako jedyne stronnictwo stało bowiem na prawdziwie polskim gruncie.

WiN za swojego największego sojusznika w walce z komunizmem uważał Kościół katolicki. Komuniści zdawali sobie z tego sprawę, co było widać podczas procesów politycznych.

„Artur” meldował, że podziemie pracowało nad przyszłymi miejscami zrzutów, gromadziło broń i medykamenty w magazynach. Przygotowywało specjalistów do pracy przy radiostacjach oraz w zakresie dywersji i rozpoznania.

Każdy nowy członek konspiracji, zanim został do niej przyjęty, był rozpracowywany. Jako przykrywki do kontaktów używano instytucji i organizacji reżimowych. Niektóre komórki były dublowane – w razie zagrożenia zamrażało się jedną i uruchamiało drugą.

Odzyskanie niepodległości zależało oczywiście głównie od sytuacji międzynarodowej. Od zachodnich aliantów, a przede wszystkim od Stanów Zjednoczonych.

Polacy w miarę swoich możliwości chcieli wziąć udział w przyszłej wojnie. Ale już teraz trzeba było pilnować polityki zagranicznej. Hamować zapędy zachodnich polityków, składających zachodnim Niemcom niebezpieczne dla Polski obietnice oparte na sugestiach, że sprawa granicy nie została ostatecznie przesądzona. Na takich wypowiedziach żerowała potem komunistyczna propaganda.

„Artur” zauważał też, że pod pewnymi względami warunki dla działania podziemia były trudniejsze niż podczas niemieckiej okupacji. To, co wówczas było formalnością, dziś stawało się problemem. Podczas wojny na przykład sprawy mieszkań nie uważano za jakiś kłopot. Teraz każdy lokal objęty był kwaterunkiem i przydziałem, dogodny bardzo trudno było kupić nawet za największe pieniądze. Wielu ludzi podziemia musiało gdzieś pracować na etacie, żeby zdobyć prawo do kwatery potrzebnej w działalności WiN-owskiej. Na wsi ludzie donosili na każdego obcego, który pojawiał się w okolicy. Wszechobecna agentura napawała strachem.

Kraj oplotła sieć konfidentów. Obezwładniła ludzi kontrolowanych na każdym kroku: w pracy, w domu, na spacerze, w podróży. Ubecja stosowała prowokację. Wciągała ludzi do podziemia, aby potem ich aresztować. Stwarzała atmosferę psychozy, tak żeby ojciec bał się syna, a brat – brata.

Po wysłuchaniu relacji „Artura” pułkownik Maciołek opowiedział o oczekiwaniach Amerykanów, którzy nalegali, aby antykomunistyczną działalność Polacy prowadzili wspólnie w jednej organizacji. Przeszkadzały temu jednak wewnętrzne waśnie polskich emigrantów. Choćby rywalizacja Mikołajczyka wspieranego przez chłopów z generałem Andersem popieranym

przez wojskowych. A pęknięcia sięgały jeszcze głębiej – Anders rywalizował ze sztabem generalnym.

Skłóceni emigranci czasami – a niektórzy nawet często – topili smutki w alkoholu. Na swoje spotkania zapraszali też „Artura”, bo przecież niedawno dotarł z kraju i potrafił powiedzieć, jak teraz pachną ulice, w co ubierają się dziewczyny. Przy takich okazjach zdarzało mu się rozluźniać konspiracyjny rygor – ale nie tylko przy takich. Raz nawet, wbrew wyraźnym zakazom, wysłał do Polski kartkę pocztową, żeby się o niego nie martwili.

Trzy tygodnie po tym, jak „Artur” dotarł do Monachium, Józef Maciołek zaprosił go na Wigilię. Znowu w ścisłej tajemnicy.

Zgodnie z rozkazem kurier poszedł wieczorem pod dom towarowy na Karlsplatz. O dziewiętnastej zajechał tam czarny ford, z którego wysiadł „Ryszard”, znany mu już kierownik kursu dywersyjnego. Wewnątrz czekał Józef Maciołek. Zaciągnęli firanki w oknach auta, aby „Artur” stracił orientację, gdzie się znajdują. Po dziesięciu minutach zatrzymali się pod dwupiętrową willą, ogrodzoną pomalowanymi na zielono drewnianymi sztachetami. Budynek porośnięty był chmielem, otoczenie tonęło w mroku. „Artur”, dobrze wyszkolony konspirator, odruchowo zapamiętywał szczegóły: przy drodze brzoza i dwa świerki. Przy wejściu brak tabliczki z adresem.

Czuł, że wciąż nie ufają mu w pełni. Nadal starają się ukrywać niektóre sprawy. Choć zaprosili go na Wigilię, to zadbali o to, aby nie potrafił odtworzyć położenia willi. To było inne miejsce niż rezydencja, w której „Artur” rozmawiał z pułkownikiem Maciołkiem.

Przy stole na parterze czekali już pracownicy Delegatury. Maciołek krótko przemówił, a potem łamał się opłatkiem z innymi. Wieczerzali dwie godziny.

„Artur” pomyślał, że pewnie spotkali się w siedzibie szkoły dywersji. Czterej młodzi ludzie siedzący przy stole byli prawdopodobnie kursantami, których zamierzano zrzucić na terytorium Polski. Ale oczywiście nie pytał o żadne szczegóły.

Kilka dni później do tej samej siedziby kursu zawiózł go jeden z instruktorów, „Wojtek” – ale już bez zgody zwierzchników. Co wywołało mały skandal. A wszystko znowu przez alkohol.

„Artur” zaprzyjaźnił się z „Wojtkiem”. Wieczorami często wypijali butelkę whisky, którą stawiał ten drugi. W sylwestra „Artur” poszedł do „Wojtka” i przyniósł swój alkohol. Kiedy w obu butelkach pokazało się dno, „Artur” pożalił się, że ogarnia go chandra. Niedługo miał wracać do Polski. W razie wpadki groziło mu wahadło, czyli śmierć przez powieszenie. Albo dożywocie. Tu w Monachium nie miał nikogo bliskiego. Żadnej rodziny. Tylko cztery

ściany. Plątały się zmieszane z wódką słowa. Na koniec „Artur” powiedział, że wraca do siebie i będzie dalej pił do lustra. Już zmierzał chwiejnie do wyjścia, kiedy „Wojtek” chwycił go za ubranie, po czym zaciągnął na dół do taksówki. Razem pojechali na noworoczną imprezę w tajnym ośrodku. „Artur” właściwie nie powinien tam znowu trafić, bo wszystkich obowiązywała tajemnica. Ale tym razem polskie uczucia zwyciężyły nad amerykańskim rozumem. Chłodnym i beznamiętnym Amerykanom bardzo nie spodobała się polska przyjacielskość. Polakom – przeciwnie. „Artur” wzbudził podziw tych, którzy przygotowywali się do kursu szpiegowskiego. Jednym z nich był Stefan Skrzyszowski, który wcześniej przedostał się z Polski do Niemiec na polecenie oficera WiN – podobnie jak „Artur”.

„Artur” już wtedy objawiał gawędziarskie talenty, które rozwinęły się w pełni wiele lat później. Za sprawą narracyjnych umiejętności bywał duszą towarzystwa. Barwnie, ze szczegółami opowiadał ludziom z Delegatury o tym, jak wysłano go z misją właśnie do nich, na Zachód.

Pierwsze latarnie zapalały się nad Marszałkowską, podejmując nierówną walkę z mrokiem zapadającym na głównej ulicy w Warszawie. Chodnikiem do domów spływały tłumy ludzi. Wypluci przez fabryki i urzędy, popychani wskazówkami zegara, który obwieścił koniec dniówki, beznamiętnie mijali „Artura”.

A on w tej ulewie ludzi wypatrywał jednej kropli. Z myślą o tym nieznanym człowieku wyciągnął z kieszenie umówiony znak: gazetę z naderwanym rogiem.

Dwie minuty później zobaczył zmierzającego w jego stronę mężczyznę, którego zdecydowany krok zdawał się demonstrować, że właśnie zauważył kogoś znajomego, choć dawno nie widzianego.

– Skąd ja pana znam? – zapytał, gdy podszedł do „Artura”.

– Z pensjonatu Albion w Zakopanem – odpowiedział „Artur”.

– Rzeczywiście, graliśmy tam wielkiego szlema – odpowiedział mężczyzna, który jeszcze chwilę wcześniej był tylko nieznajomym, a teraz już wspólnikiem z konspiracji o pseudonimie „Jot”.

Złapali taksówkę, która zawiozła ich do Burakowa.

Mężczyzna zasypał „Artura” pytaniami: Dlaczego się ukrywa, jak dotarł do łącznika? Od kiedy i jak walczy z komunistami? Jakby badał, czy można mu zaufać. Dopiero po tym sondowaniu powiedział:

– III wojna światowa jest bliska. Ameryka uderzy na Związek Radziecki. Musimy działać ofensywnie.

„Artur” usłyszał, że wytypowano go jako kuriera, który przez zieloną granicę dostanie się do zachodnich Niemiec z materiałami podziemia, a potem wróci do

Polski z instrukcjami na przyszłość.

– Ale ja przecież jestem tylko pionkiem w organizacji – zdziwił się „Artur”. – Niewiele o niej wiem, a w Niemczech będą mnie wypytywać o szczegóły.

„Jot” jednak w tym braku świadomości „Artura” upatrywał jego szczególną wartość. Mało kogo z konspiracji znał, więc w razie wpadki nikogo nie mógł wydać. Na misję w Niemczech miał zabrać ze sobą trochę mikrofilmów, a najważniejszych rzeczy nauczyć się na pamięć.

Spotykali się później wieczorami zawsze w tym samym mieszkaniu i do północy „Artur” wkuwał hasła, kontakty, punkty przerzutowe.

„Jot” zabronił mu sporządzania notatek, a sam palił nad popielniczką zwinięte w rulon materiały, które już przerobili.

Dziesięć dni później „Artur” był gotowy. Mieszkanie, w którym spotykał się z „Jotem”, miało pozostać puste do czasu, kiedy „Artur” zamelduje z Niemiec, że szczęśliwie dotarł do celu.

Koledzy z Delegatury Zagranicznej mogli podejrzewać, że „Arturowi” coś mrocznego leży na duszy. Często spotykali się prywatnie i w rozmowach sprawiał wrażenie kryjącego jakąś tajemnicę. Wreszcie jeden z WiN-owców namówił go, aby poszedł do spowiedzi.

„Artur” klęknął przed konfesjonałem w małym, drewnianym polskim kościele na przedmieściach Monachium. Powiedział księdzu, że w kraju zabił dwóch komunistów.

Ksiądz często wygłaszał antykomunistyczne kazania, a pracownicy Delegatury szukali wśród wychodzących ze mszy Polaków chętnych do współpracy. Potrzebowali ludzi, których po przeszkoleniu przerzucono by do Polski – najlepiej takich, którzy niedawno uciekli na Zachód, bo ci szczególnie dobrze znali współczesną rodzimą rzeczywistość, najłatwiej więc byłoby im prowadzić działalność konspiracyjną w kraju. Jeszcze lepsi wydawali się tacy, których WiN w Polsce wyekspediowałby na Zachód po to, aby przeszli szkolenie i wrócili.

Przysposobieniu poddano też „Artura”. Nauczono go między innymi potajemnej łączności. Przekazano mu instrukcję dotyczącą „serwet”, czyli tajnopisów używanych w korespondencji z WiN w Polsce. „Artur” zapamiętał punkty, które miał potem powtórzyć w kraju:

> Używać do pisania tajnym atramentem papieru dobrej jakości, nieprzezroczystego i nieprzepuszczającego tuszu.
>
> Rozłożyć papier na gładkiej, twardej powierzchni, takiej jak szyba, lustro, marmur.

Tekst tajny zanotować tylko na jednej stronie. Przed zrobieniem notatki najlepiej zaznaczyć na marginesie szerokość linijek; potem należy te znaki delikatnie usunąć.

Starać się, aby pismo zwykłe nie pokryło skrytego. Najlepiej tekst tajny sporządzić prostopadle do jawnego.

Pamiętać, aby nie odcisnąć na papierze wgłębień po tajnopisie. Można go sporządzić bardzo cienkim pędzelkiem. Ale lepiej delikatnie wiecznym piórem.

Tajnopis sporządzać drukowanymi literami.

Po spisaniu tajnej wersji trzymać papier przez dwie minuty nad parą wodną.

Potem położyć go na czystej bibule, nakryć drugą i wyprasować żelazkiem, aż znikną jakiekolwiek ślady tajnopisu.

Na tak przygotowanej kartce zanotować dowolny tekst jawnym pismem.

W korespondencji wypróbowano też inną, prymitywną metodę sporządzania tajnopisu. Pióro maczano w wodzie z rozpuszczonymi tabletkami od bólu głowy. Wpisywać należało pomiędzy wierszami jawnego tekstu. Po przetarciu nadmanganianem potasu ukazywały się ukryte zdania. Taką metodę zademonstrował Tomaszowi Gołąbowi „Wacławowi”, innemu kurierowi z Polski do Delegatury, Stefan Sieńko.

Po szkoleniu „Arturowi” przekazano szczegółowy spis spraw, które powinien rozpoznać WiN w kraju. Te zadania wywiadowcze miały pomóc w chwili wybuchu wojny.

Pytania ciągnęły się długimi rzędami:

Warszawa, rejon Sielce wzdłuż ulicy Podchorążych:

Jaka jest numeracja polskich i sowieckich jednostek wojska?

Odkąd te jednostki tam stacjonują?

Jaki jest kolor mundurów tych wojsk, jakie odznaki mają na czapkach i ramionach?

Jaki ekwipunek nosi wojsko w tym rejonie?

Jaki typ pojazdów wojskowych zaobserwowano?

W jakim stanie są te pojazdy?

Czy są czołgi w tym rejonie?

Jak nazywają się dowódcy jednostek?

Ministerstwo Obrony Narodowej:

Jaki jest rozmiar budynku?

Czy pomieszczenia były powiększane w ciągu ubiegłego roku?

Czy Sowieci uczęszczają do tego ministerstwa? Ilu? W jakim stopniu? Czy są oni regularnymi gośćmi? Ilu z nich jest tam na stałe zakwaterowanych?

Nowa Huta:

Kiedy stalownia będzie gotowa do produkcji?

Jaka będzie jej wydajność?

Jakie gatunki stali będzie produkować?
Ile ma być szeregów pieców koksowych?
Jakimi środkami wyprodukowany koks będzie transportowany z pieców?
Ile ma być wysokich pieców?
Jaka jest odległość od pieców koksowych do pieców wysokich?

Narodowy Instytut Higieny:
Czy budynki i urządzenia używane przez ten instytut są stare?
Czy są dostosowane do przeprowadzenia doświadczeń z bronią bakteriologiczną?
W jaki sposób Rosja kontroluje ten instytut?
Czy instytut jest odpowiedzialny za prowadzenie statystki chorób?

WiN w kraju potrzebował olbrzymiej armii konspiratorów, aby odpowiedzieć na wszystkie te pytania. Postawienie ich świadczyło o wierze, jaką na Zachodzie pokładano w możliwościach polskiego podziemia.

Na początku 1952 roku „Artur" wrócił do Polski.

Przełożeni byli zadowoleni z jego misji. Przywiózł do Polski plan „Wulkan". Dokument potwierdzał, że Amerykanie gotowi są na starcie ze Związkiem Radzieckim i liczą na pomoc WiN.

„Arturowi" tymczasem zlecono inne zadanie, a V Komenda sformułowała swoje uwagi związane z planem, który powinien przyczynić się do upadku komunizmu.

3

– Za komunizmu odtajnili akta, a za demokracji znowu utajnili? – dopytywałem się ze zdziwieniem w Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytucie Pamięci Narodowej, gdy dowiedziałem się, że wiele materiałów związanych z V Komendą odtajnił u schyłku PRL, w latach osiemdziesiątych, generał Władysław Pożoga, komunistyczny szef wywiadu i kontrwywiadu. Tych, które potem Urząd Ochrony Państwa pozwolił używać na potrzeby śledztwa, ale zakazał udostępniać komukolwiek poza organami ścigania. Sytuacja stała się absurdalna: po upadku PRL na nowo utajniono to, co ujawniono przed 1989 rokiem.

Władysław Pożoga osobiście łamał pieczęcie tajności na tych dokumentach – z miłości własnej. Posłużyły Henrykowi Piecuchowi do napisania *Siedmiu rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu*, propagandowej laurki, która ukazała się w latach osiemdziesiątych, u schyłku PRL, pełnej jednak zaskakujących i prawdziwych informacji. Bohaterami jej byli oczywiście dzielni ubecy, a antybohaterami „bandyci” z WiN czy Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). Generał Pożoga nalegał, aby WiN-owców i NSZ-owców nazywać „żołnierzami”. Piecuch przekonywał go, że dla oddania klimatu epoki należy mówić o „bandytach”.

Naczelnik Mieczysław Sosiński obiecał sprawdzić, czy nie dałoby się jednak pokazać mi dokumentów. Miał zbadać rzecz w katowickim oddziale Komisji, który prowadził śledztwo związane z V Komendą.

Napisałem do szefa Urzędu Ochrony Państwa, by udostępnił mi dwa dokumenty, w których ubecy opisali ludzi odpowiedzialnych za ujawnienie V Komendy. Powiedział mi o tych dokumentach właśnie Henryk Piecuch.

Stefana Sieńkę „Wiktora” i J. J. Kowalskiego „Kosa” powinni byli znać najważniejsi ludzie z UB. Skoro Sieńko i Kowalski ujawnili V Komendę, to musieli zostać przynajmniej przesłuchani. Jeśli ich oświadczenie o rozwiązaniu podziemia ukazało się na pierwszej stronie „Trybuny Ludu”, to wcześniej tekst z pewnością akceptowały najważniejsze władze stalinowskiej Polski.

W latach dziewięćdziesiątych wciąż żyło dwóch wiceministrów bezpieczeństwa publicznego z lat stalinizmu. Ale wymiar sprawiedliwości o nich zapomniał – mniej lub bardziej świadomie. Po 1989 roku nigdy ich nawet nie przesłuchano. To największa według mnie klęska rozliczeń ze stalinizmem. Najwyższy rangą urzędnik bezpieki, jakiego osądzono w latach dziewięćdziesiątych, to zaledwie wicedyrektor Departamentu Śledczego pułkownik Adam Humer. Reszta to niżsi rangą ubecy, których oskarżano o torturowanie więźniów. Poza Humerem przed sądem nie stanął nikt, kto wydawał polecenia. III Rzeczpospolita karała rękę, zapominając o mózgu.

Owymi dwoma wiceministrami, żyjącymi wówczas w dziwnym zapomnieniu, byli Konrad Świetlik i Jan Ptasiński.

Wiceminister numer jeden – generał Konrad Świetlik. Przed wojną ogrodnik.

Zastępcą szefa bezpieki był między styczniem 1949 roku a listopadem 1954 roku. Musiał znać dzieje V Komendy. Mówił o niej na posiedzeniu tajnej partyjnej komisji w 1956 roku.

– Nie chcę się spotykać, nie chcę rozmawiać, bo nie mam o niczym zielonego pojęcia – odpowiedział zdecydowanie na moją propozycję rozmowy.

– Nadzorował pan III Departament? – zapytałem, bo to właśnie ta komórka Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zajmowała się V Komendą.

– Może i nadzorowałem, nie pamiętam – odpowiedział. – Ja mam osiemdziesiąt trzy lata, jestem po wylewie.

– Pan przecież referował sprawę przed komisją partyjną.

– Nic, absolutnie nic. Nawet gdybym wiedział, tobym nie podjął się dociekać, bo nie jestem zdolny fizycznie.

– Kto był „Kosem”? Jak nazywał się człowiek, który wcielał się w niego? – zapytałem, bo wówczas jeszcze nie wiedziałem, kto się za tą postacią kryje.

Nie uzyskałem żadnej odpowiedzi.

Wiceminister numer dwa – Jan Ptasiński. Przed wojną murarz.

On z kolei urzędował pomiędzy grudniem 1952 roku a grudniem 1954 roku. Twierdził, że nie znał żadnych szczegółów.

– Nie ciekawiły mnie losy WiN-owców – powiedział mi. – Interesowałem się tylko planem „Wulkan”.

Rozwinąć tej myśli nie chciał.

Jan Ptasiński nie wspomniał mi, że o planie „Wulkan” napisał – a właściwie próbował napisać – książkę. Kilka egzemplarzy jej maszynopisu odnalazłem po latach w archiwum IPN. Przejęto je ze zbiorów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zapewne w latach osiemdziesiątych uznano, że tekst byłego

wiceministra należy otoczyć tajemnicą, dopóki nie zapadnie decyzja o publikacji.

Książka nigdy nie ukazała się drukiem, choć Krajowa Agencja Wydawnicza w grudniu 1986 roku wysłała maszynopis do zaopiniowania docentowi doktorowi Ryszardowi Halabie, towarzyszowi dyrektorowi Instytutu Historii i Archiwistyki. Po przeczytaniu maszynopisu brak zainteresowania publikacją przestał mnie dziwić. Oprócz kilku dość interesujących rozdziałów dotyczących tytułowego planu „Wulkan" reszta to propagandowe banały dotyczące AK i WiN.

Jan Ptasiński dość nieporadnym językiem pisał: „Ogólny zarys tego planu narodził się w ośrodkach podległych CIA (Central Intelligence Agency czy Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych), był opiniowany przez grono osób przynależnych w czasie wojny do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, nazywających siebie jeszcze w tym czasie Sztabem Generalnym, oraz przez zagraniczną delegaturę WiN, w której zasiadali wysokiej rangi oficerowie, zajmujący w latach okupacji hitlerowskiej eksponowane stanowiska w Komendzie Głównej Armii Krajowej, a przed opuszczeniem kraju zdążyli jeszcze organizować kontrrewolucyjne podziemie w powstającej do życia Polsce Ludowej".

I dalej: „Moje pokolenie, które czynnie było zaangażowane w walce po obu stronach barykady, może dlatego, że pomni są owych gorzkich doświadczeń, stara się, już z pewnego dystansu, bez emocji (choć jakże trudno się jej wyzbyć) spojrzeć na etapy przebytej drogi, zwłaszcza tej najbardziej wyboistej".

O samym planie „Wulkan" pisano dużo w gazetach po ujawnieniu się V Komendy. Używano go jako propagandowego dowodu, że Zachód pragnie znowu wykorzystywać Polaków. Ale szybko o tym planie zapomniano. Być może komunistycznej władzy nie zależało, aby nawet partyjni historycy drążyli ów temat.

Plan „Wulkan" miał zmienić dzieje Polski. Przyczynić się do odzyskania niepodległości.

Jego historia zaczęła się w listopadzie 1950 roku, kiedy Józef Maciołek w imieniu Delegatury Zagranicznej WiN podpisał umowę z szefem wywiadu amerykańskiego na Europę.

WiN zobowiązał się do zbierania informacji szpiegowskich oraz przygotowywania dywersji i sabotażu. Wywiad amerykański finansował tę działalność i dostarczał sprzęt.

Plan „Wulkan", datowany na 11 sierpnia 1951 roku, to fragment amerykańskiego projektu opóźniania wojsk bloku wschodniego po wybuchu

III wojny światowej. Amerykanie niemal wprost stwierdzili: albo trzy główne linie kolejowe biegnące przez Polskę zniszczą sami Polacy, albo trzeba będzie je zbombardować, być może używając nawet bomb atomowych.

Przez Polskę przebiegały strategiczne szlaki: nadbałtycki, środkowy i południowy. W tych wąskich gardłach zbiegały się gęsto trasy kolejowe i drogowe ze wschodnich Niemiec i z Czechosłowacji. Dywersja na polskich torach kolejowych oznaczała olbrzymie utrudnienia w zaopatrywaniu Armii Czerwonej podbijającej Zachód. A nawet amerykańscy wojskowi spodziewali się, że w pierwszej fazie konfliktu wojska państw demokratycznych zmuszone będą się wycofywać. Stąd ogólnoeuropejski *retardation plan*, plan powstrzymywania wojsk sowieckich. „Wulkan" był jego częścią.

Dywersantami na polskich szlakach zaopatrzeniowych mieli być WiN-owcy, a w razie potrzeby oddziały amerykańskich komandosów zrzucane z samolotów.

„Podstawą planu – pisała kierowana przez Józefa Maciołka Delegatura Zagraniczna WiN – jest założenie, że Naród Polski powinien wziąć udział w ogólnym wysiłku wolnych narodów w walce z komunizmem w czasie konfliktu. Przyjaciele wysuwają propozycje wzięcia udziału w tym wysiłku przez Kraj już w pierwszej fazie działań, co, według oceny kierownictwa wojskowego, może mieć poważne znaczenie".

Plan zastrzegał jednak: „Wysiłek własny Kraju siłą rzeczy będzie ograniczony warunkami i możliwościami wynikającymi z sytuacji i w żadnym wypadku działania bojowe nie mogą mieć charakteru akcji samobójczej".

WiN w kraju powinien osiągnąć stan gotowości bojowej do czerwca 1952 roku. Józef Maciołek informował Amerykanów, że na razie należy finansować działalność pięciuset osób w kraju, a w sześć miesięcy po rozpoczęciu konfliktu zbrojnego WiN wystawi w Polsce stutysięczną armię.

Do Polski docierały kolejne wersje planu „Wulkan" do konsultacji w V Komendzie. Jedną z nich przywiózł emisariusz „Artur".

Ponad trzy tygodnie czekałem na odpowiedź z Urzędu Ochrony Państwa, czy uzyskam oficjalny dostęp do dokumentów. UOP się nie odezwał. Jedno z tajnych opracowań podarował mi Henryk Piecuch. Zamierzał opublikować je w aneksie do swojej nowej książki.

W latach dziewięćdziesiątych to była niemal norma. Zwalniani z pracy komunistyczni funkcjonariusze zwykle zabierali z archiwów przeróżne papiery, traktując je jako swoją polisę ubezpieczeniową. Dlatego właśnie ubeckie materiały łatwiej było zdobyć od ludzi związanych dawniej z tajnymi służbami niż z archiwów tych służb.

Dokument, który dostałem od Henryka Piecucha, choć kiedyś ściśle tajny, nie był suchą relacją o faktach. Wciąż mnie to zaskakiwało, że ubecy posługiwali się między sobą ideologicznymi zaklęciami. Wcześniej sądziłem, że ich materiały opisują tylko fakty. Tymczasem w otrzymanym omówieniu czytałem propagandowe stwierdzenia typu „antypolskie knowania wywiadu amerykańskiego". O Józefie Maciołku napisano: „Dla mentalności tego imperialistycznego agenta i awanturnika" charakterystyczne było to, że chciał „utrzymać się za wszelką cenę jako wpływowa osoba przy żłobie amerykańskim".

Henryk Piecuch dał mi nie tylko dokument, ale też numer telefonu do bohatera swojej książki, czyli Władysława Pożogi.

Zadzwoniłem:

– Panie generale, chciałbym pomówić o operacji związanej z V Komendą.

– Ja się już wyłączyłem. Skąd pan wie o operacji?

– Z książki.

– Wiele się zmieniło, ja się wyłączyłem.

– Dlaczego? Kto był „Kosem"?

Nie odpowiedział. Na emeryturze generałowi widocznie nie zależało już na rozgłosie.

Chociaż w wywiadzie do książki *Siedem rozmów…*, opowiadając o operacji przeciw WiN, używał zaimka „my", w rzeczywistości wydarzenia znał tylko z akt. Jego udział ograniczył się do aresztowania we Wrocławiu jednego WiN-owca. Pożoga był w jego willi sublokatorem.

Sieńki „Wiktora" nigdy nie spotkał. Podejrzewałem jednak, że zetknął się z Kowalskim „Kosem", choć nie chciał mi o tym powiedzieć. Może zależało mu właśnie na tym, abym się nie dowiedział, co stało się z tym człowiekiem.

4

Amerykański dwusilnikowy transportowiec o kolorze stalowym wleciał nad stalinowską Polskę na niespełna godzinę. Przekroczył granicę morską dokładnie o 22.53. Był 4 listopada 1952 roku.

Samolot unosił się w powietrzu już nieco ponad dwie godziny. Cały czas śledził go radar z zachodnich Niemiec, a akcją dowodził amerykański generał. Maszyna wystartowała z okolic Frankfurtu nad Menem.

Załoga składała się z sześciu Polaków w mundurach amerykańskich oficerów. Podczas lotu większość czasu przesiedzieli w kabinie razem z dwoma pilotami, odzianymi w podniszczone kombinezony. Jeden z członków załogi, najbardziej sympatyczny, zaciągał po lwowsku.

Jednak nie załoga była najważniejsza na pokładzie, ale pasażerowie, których transportowała: Dionizy Sosnowski i Stefan Skrzyszowski. Kolejne szkatułki V Komendy, do których trzeba zajrzeć. Obie ukryte w tej o nazwie Józef Maciołek.

Sosnowski i Skrzyszowski byli duchowymi następcami wojennych cichociemnych, szkolonych na Zachodzie polskich konspiratorów, których później zrzucano do okupowanego kraju.

V Komenda potajemnie wyekspediowała ich z Polski na Zachód, a tam w tajnym ośrodku Delegatury przeszkolili ich polscy i niemieccy instruktorzy. Teraz wracali do kraju kontynuować robotę. Lecieli, żeby przekonać Amerykanów o potędze polskiego podziemia.

Dionizy Sosnowski – wzrost 170 centymetrów, włosy ciemny blond, brwi ciemne, oczy piwne, nos długi, głowa mała, szyja długa. Brak blizn i znaków szczególnych. Przyzwyczajenia: pali papierosy. Kawaler. Przyszedł na świat 15 sierpnia 1929 roku.

Dwudziestotrzyletni Sosnowski studiował na warszawskiej Akademii Medycznej i pracował jako wychowawca. W 1951 roku wytypowano go na Zlot Młodzieży w Berlinie. Marzenia miał podobne jak wielu Polaków – chciał uciec na Zachód. Ktoś z V Komendy nawiązał z nim kontakt i zaproponował przerzucenie z Polski przez zieloną granicę do Delegatury Zagranicznej WiN.

Stefan Skrzyszowski – 166 centymetrów wzrostu, głowa okrągła, szyja krótka, włosy ciemny blond, oczy niebieskie, wschodni akcent, znaki szczególne: blizna na szyi z lewej strony. Urodził się 27 grudnia 1911 roku

w Złoczowie w województwie tarnopolskim. Jego też do Delegatury wysłał człowiek z V Komendy.

Skrzyszowski i Sosnowski poznali się w ośrodku szkoleniowym w Erzhausen koło Frankfurtu nad Menem.

Samolot, którym teraz wracali do Polski, skradał się pokrętną, długą trasą, więc w kabinie, oprócz pasażerów, były trzy wielkie zasobniki z paliwem, każdy po cztery metry długości. Przy nich siedział mechanik na oko czterdziestoletni, wysoki blondyn z pociągłą, szczupłą twarzą.

Przysypiali. Sosnowski dopiero drugi raz leciał samolotem. Wcześniej z Berlina do Frankfurtu nad Menem, niedługo po tym, jak przedostał się na Zachód. Wnętrze maszyny było puste – goła blacha. Bez żadnego uzbrojenia. Celowo, bo w przypadku wymuszenia lądowania przez myśliwce przechwytujące można by tłumaczyć, że samolot zabłąkał się w powietrzu.

Załoga proponowała skoczkom kanapki i herbatę. Nie mieli jednak apetytu.

Główną taktyką obrony samolotu była ucieczka. Dlatego właśnie zrzutowisko wyznaczono blisko wybrzeża. W razie zagrożenia samolot mógł salwować się odwrotem nad Bałtyk. Wcześniej ustalono, że gdyby maszynę odkryła komunistyczna obrona przeciwlotnicza, desantuje obu spadochroniarzy gdziekolwiek, choćby i na morze. W pogotowiu czekali ratownicy w Szwecji. Gotowe do startu były również myśliwce.

Na wypadek najgorszego – pochwycenia przez bezpiekę po lądowaniu w Polsce – skoczków wyposażono w ampułki z trucizną. Płyn „L”, czyli ciekły kwas pruski, znajdował się w małej szklanej fiolce. Należało wsunąć ją do ust i przegryźć, jednocześnie zaciskając wargi. Zatrzymać oddech na tak długo, jak się uda. Po trzydziestu sekundach człowiek powinien stracić przytomność. Wkrótce potem umrzeć. „Jest spodziewane, że bólu nie będzie” – przewidywano, choć nie gwarantowano.

Ostatnią noc przed lotem skoczkowie spędzili w Mannheim. Zakwaterowani zostali w czteropiętrowym domu z czerwonej cegły. Przywiózł ich mężczyzna używający imienia Józef – na oko dwudziestoparoletni blondyn o naturalnie kręconych włosach, szczupły, dobrze zbudowany. Nocował też z nimi Konrad, Amerykanin polskiego pochodzenia. Wysoki, również blondyn, opanowany. Jeździł wiśniowym chevroletem. To on był głównym opiekunem Skrzyszowskiego i Sosnowskiego.

4 listopada 1952 roku przyjechał po nich amerykański oficer wywiadu „Peter”. Przywiózł rozkaz przerzutu do Polski. Spakowali się i pojechali na amerykańskie lotnisko w Wiesbaden.

Po drodze dostali nowe ubrania, w które przebrali się na postoju. Drelichowe zielone spodnie, kurtki podobne do bluz wojskowych albo koszul noszonych

przez Amerykanów. Guziki z gwiazdką w środku, ciemnozielone – na każdym rękawie po dwa, tak, że można go było zapiąć luźno albo mocno wokół ręki. Czapki z cienkiego drelichu, również zielone. Przebierali się zapewne po to, aby strażnicy na lotnisku nie zorientowali się, że przyjeżdżają cywile. Całą misję otaczała ścisła tajemnica.

Na lotnisku w specjalnym magazynie wyekwipowano ich w rynsztunek na drogę. Dostali radiostacje, pistolety parabellum, pasy z zaszytą gotówką, fałszywe dokumenty. Stefan Skrzyszowski stał się Feliksem Zalewskim, Dionizy Sosnowski – Adamem Zagórskim, pracownikiem Ministerstwa Finansów. Obu przygotowano też karty urlopowe, zaświadczenia o zameldowaniu oraz świadectwa szczepienia przeciwko durowi brzusznemu.

Tuż przed godziną dziewiętnastą wsiedli do samolotu. Jeszcze przed startem dopytywali, czy mogą zabrać amerykańskie papierosy. Uznano to za niewłaściwe – porzucone na zrzutowisku okurki mogłyby ich zdekonspirować.

Zamierzano ich desantować już miesiąc wcześniej. Plany pokrzyżowały manewry floty bałtyckiej. Potem, 6 października 1952 roku, Skrzyszowski dotarł już samolotem nad Polskę, lotnicy jednak nie dostrzegli na ziemi sygnalizacji oznaczającej miejsce zrzutu.

Tym razem wszystko poszło gładko. O godzinie 23.25 Skrzyszowski zobaczył na ziemi cztery zielone światła, które układały się w literę „L”. Miarowo migotała też czerwona lampa.

Po chwili w pulsującym na pokładzie czerwonym świetle podszedł do skoczków jeden z członków załogi i nakazał założyć spadochrony – za dwadzieścia minut zbliżą się do lądu. Obaj z jego pomocą zarzucili na plecy sprzęt, a na głowy amerykańskie hełmy z wykonanym anilinowym ołówkiem napisem „Scott”. Górna część, pokrywająca włosy, była biała, a dolna, z dużymi nausznikami, czarna. Dziś mogą kojarzyć się z kaskami, jakich używają bokserzy amatorzy, lub przypominać okrycia głowy bohaterów serialu *Czterej pancerni i pies*.

Wyskoczyli z pokładu w okolicach Mzdowa i Podgór w województwie koszalińskim.

Skakali przez boczny luk z wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów. Sosnowski poślizgnął się na szmacie, choć położono ją po to, by dawała większe wsparcie, żeby nie fiknął kozła na pokładzie maszyny. Kiedy chwiał się na nogach przed otwartymi drzwiami, jego zasobnik ze sprzętem wyleciał na zewnątrz. Sosnowskiego wypchnął z samolotu – na jego zresztą prośbę – jeden z załogantów.

W sumie jednak pierwsza część akcji przebiegła pomyślnie – skoczkowie znaleźli się na ziemi. Ale teraz groziło im nie tylko komunistyczne wojsko.

Kiedy Dionizy Sosnowski wylądował ze swoim jasnozielonym spadochronem pokrytym ciemnozielonymi plamami maskującymi, z lasu wyszedł mu naprzeciwko mężczyzna w średnim wieku, o pociągłej twarzy, w czarnej jesionce i butach z cholewami. Skoczek przeżył chwilę wahania – nie wiedział, kim był ten człowiek. Komunistyczny Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW) rozpowiadał chłopom, że w workach ze zrzutów znajdują się pieniądze, złoto, a nawet, że same worki są cenne, bo zakopane w ziemi nie przypuszczają wilgoci. Chłopi więc wypatrywali amerykańskich samolotów i kradli dary niebios, kiedy tylko mogli.

Na szczęście jednak ci, którzy powitali skoczków na dole, nie byli złodziejami. Czekali na nich ludzie, którzy przygotowali lądowisko. Przyjmujący wręczył Sosnowskiemu dokumenty na następne fałszywe nazwisko Dionizy Gałecki (podczas kolejnych etapów operacji dla bezpieczeństwa stosowano nowe fikcyjne personalia), legitymację służbową pracownika Centralnego Urzędu Skupu i Kontraktacji w Warszawie, kartę meldunkową, zaświadczenie wojskowe i dokument z miejsca pracy. Dał mu też czterysta złotych. Podobny komplet dostał Skrzyszowski.

Po szczęśliwym lądowaniu odebrano od nich sprzęt: trzy radiostacje, broń, dolary. Brnęli lasem około godziny. Ich przewodnicy w sobie tylko znany sposób orientowali się co do kierunku, w jakim zmierzają. Sunęli bowiem chaszczami bez żadnej ścieżki czy drogi. Na skraju czekał kolejny mężczyzna, który Dionizego i Stefana zabrał na stację kolejową. Pojechali do Warszawy jednym pociągiem, ale w różnych wagonach. Rozlokowano ich też w dwóch oddzielnych melinach: w Radości i w Warszawie.

W Warszawie Stefana Skrzyszowskiego podjął w imieniu V Komendy „Tadeusz”. Stefan opowiadał mu o pobycie na kursie. Ale niezbyt dokładnie. Potem usłyszał, że musi to wszystko powtórzyć jeszcze jednej osobie. Przypuszczał, że w Polsce na razie tylko go sprawdzają i obserwują. Od momentu lądowania cały czas czuł niepokój. Obawiał się, iż w każdej chwili może zostać aresztowany. W Monachium na szkoleniu powtarzano mu, że w Polsce co trzeci człowiek to współpracownik bezpieki, że Warszawa jest niezwykle groźna.

Stefan więc niemal nie wychodził na ulice, czasami tylko po zakupy, a gotował sam w domu.

Siedział już kilka dni w czterech ścianach, pilnie nasłuchując. Bał się każdego szmeru. Każdy odgłos mógł wieszczyć nadejście ubeków.

Uświadomił sobie słabość przygotowanej w Monachium legendy. Gdyby go ktoś pytał, miał tłumaczyć, że przyjechał do pana Sodowskiego i szuka pracy w Warszawie.

Brakowało mu jednak dokumentów. Przywiózł ze sobą książeczkę wojskową, kartę meldunkową, legitymację związków zawodowych, wyrobioną jeszcze przed ucieczką z kraju, i zaświadczenie, że 12 września zwolniono go z pracy w Zakładach Ceramiki Czerwonej w Krakowie. Po lądowaniu dostał też inne papiery. Ale żadnych nie był już pewny. Wyobraźnia, żerując na samotności, podpowiadała, że mogą zawierać jakieś błędy, które wychwyci pierwszy z brzegu patrol milicji.

Monotonię życia w kryjówce ożywiały odwiedziny kolejnych ludzi, którzy wypytywali go o kurs w Niemczech. Ale nie rzucał się na nich z gradem słów, choć z radością otworzyłby się przed kimś i podzielił całą wiedzą. Był jednak nieufny. Jakby znalazł się w obcym kraju, a nie w swojej Polsce. Niby cały czas znajdował się pod opieką tych, którzy organizowali zrzutowisko i kwaterę, ale żadnego z nich wcześniej nie znał. Na wszystkie pytania odpowiadał więc zdawkowo.

Większość czasu tkwił samotnie w warszawskiej kryjówce. Tak samo bezczynnie przesiedział wcześniej wiele tygodni na Zachodzie. Zapamiętał, że życie zaledwie się wtedy sączyło, dni były szare, chłodne i dżdżyste, a co najgorsze podobne jeden do drugiego – nie przynosiły żadnych zmian.

A teraz znowu utknął w jakiejś monotonii. Właściwie większość jego kariery konspiratora to była pustka i samotność.

Wreszcie jednak odetchnął z ulgą, pojawił się bowiem ktoś znajomy, komu można ufać! Skrzyszowski ucałował „Artura” na powitanie.

To był pewnie dla Stefana najszczęśliwszy dzień po powrocie do Polski. Po wielkim napięciu nagle odnalazł spokój.

Spotkali się ponad rok wcześniej na przyjęciu wigilijnym w Monachium, w Delegaturze Zagranicznej WiN. Drugi raz zaś na sylwestrze w siedzibie kursu szpiegowskiego. Szeregowi podkomendni Delegatury powitali „Artura” z honorami jako emisariusza z Polski. A Stefan niedługo po tych spotkaniach rozpoczął swój kurs dywersyjny.

Gdyby nie „Artur”, Skrzyszowski nadal tonąłby w swoim otępieniu. Teraz jednak odżył. Kilka dni wcześniej zapowiedziano mu, że pojawi się nowy człowiek, któremu powinien dokładnie opowiedzieć o swojej misji. Skrzyszowski nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, gdy zobaczył „Artura”. Mało, że miał do czynienia z kimś mu znanym, to jeszcze otoczonym nimbem bohatera. Skrzyszowski był zwykłym żołnierzem, który pragnął walczyć z komunistami. Z *commies*, z komuchami, jak ich za granicą nazywano. A „Artur” to kurier najwyższego szczebla, pośredniczył pomiędzy szarżami –

dowódcami podziemia w Polsce i tymi, którzy kierowali organizacją na Zachodzie.

„Artur” zaczął niestety tak jak inni wcześniej. Polecił Skrzyszowskiemu opowiedzieć swój życiorys. Skrzyszowski spodziewał się, iż każdy jego kolejny krok zostanie sprawdzony, aby upewnić się, czy gdzieś nie pojawiają się luki wskazujące, że mogło go zwerbować UB. Opowiadał więc „Arturowi” o sobie. Ojciec Stefana Skrzyszowskiego był murarzem, a matka zajmowała się domem. Ojciec zmarł, gdy Stefan chodził jeszcze do szkoły powszechnej. Dlatego po jej ukończeniu Stefan od 1926 roku zarabiał na utrzymanie. Został pomocnikiem murarza, a potem maszynisty w elektrowni miejskiej. Rok później zapisał się do szkoły handlowej w Złoczowie. Po dwóch klasach, w 1931 roku, zapragnął pływać. Zgłosił się ochotniczo do Marynarki Wojennej. Ale marynarzem był tylko dwa tygodnie w jednostce w Świeciu, w którym stacjonowała Kadra Marynarki Wojennej. Z braku miejsc przeniesiono go do Lwowa, do 6 Batalionu Telegraficznego.

Zwrot w jego życiu nastąpił pod koniec wojny. Skrzyszowskiego wcielono do wojska w sierpniu 1944 roku. Już 8 lutego 1945 roku zdezerterował ze swojej jednostki w Katowicach i piechotą uciekł do Rzeszowa. Tam odnalazł swojego znajomego, Pawła Stefanowskiego, który pracował w Służbie Ochrony Kolei. Żeby uniknąć aresztowania, Skrzyszowski potrzebował fałszywych dokumentów.

Dzień później Stefanowski dał mu nowe papiery. Stefan Skrzyszowski stał się Janem Krukiem, mieszkańcem Rzeszowa. Na te personalia dostał odpis metryki oraz zaświadczenia z opieki społecznej i straży pożarnej. Za namową Stefanowskiego zgłosił się do pracy w Polskich Kolejach Państwowych. Zatrudniono go na stacji w Stargardzie.

W październiku 1945 roku odwiedziła go nieznana kobieta. Przyszła z polecenia Pawła Stefanowskiego. Powiedziała, że dalej nie może używać papierów wystawionych na Jana Kruka, i przyniosła mu nowe dokumenty. To niezbyt jasny epizod w jego życiu – Skrzyszowski sam nie bardzo wiedział, dlaczego znów musiał zmienić tożsamość. Został Januszem Paterą. Kobieta kazała mu też zmienić miejsce zamieszkania.

Stefan Skrzyszowski vel Janusz Patera wyjechał do Elbląga. Zatrudnił się w spółdzielni hodowlano-rolniczej jako szofer. Przepracował tu do końca lutego 1946 roku. Potem był zatrudniony w prywatnych warsztatach samochodowych. Później jeszcze w fabryce wyrobów metalowych w Elblągu i w Zakładzie Oczyszczania Miasta w Gdyni – za każdym razem jako szofer. Jeździł własną taksówką w Gdyni. We wrześniu 1948 roku wrócił do Elbląga i przyjął posadę kierowcy w Spółdzielni Wyrobów Drzewnych „Kuter Elbląski”.

Kiedy Skrzyszowski pracował jako mechanik na statku ratowniczym, pod koniec maja 1951 roku przyjechał do niego daleki kuzyn Marian Skrzyszowski. Zapowiedział swojego znajomego, który chciał poznać Stefana, czyli od dłuższego już czasu Janusza Paterę. We trzech spotkali się przy dworcu kolejowym. Ów mężczyzna zaproponował Stefanowi wstąpienie do podziemia, które miało być kontynuacją Armii Krajowej. Nie padła żadna nazwa. Bo chociaż po wojnie konspiratorzy zmieniali swoje organizacje, dla wielu i tak najważniejsze było, że wywodzą się z AK. Chyba że ktoś podczas wojny należał do NSZ, wtedy raczej garnął się do tych przeciwników komunizmu, którzy politycznie sytuowali się na prawo od przeciętnego AK-owca. O przynależności decydował też jednak przypadek, bo przecież to organizacje wybierały swych członków – ludzie nie zgłaszali się do punktów werbunkowych sami.

Stefan Skrzyszowski miał zostać łącznikiem poruszającym się pomiędzy Warszawą a Łodzią. Zgodził się, a mężczyzna z konspiracji najwyraźniej miał swoje wtyczki w kapitanacie portu, załatwił bowiem nowemu łącznikowi zwolnienie z pracy.

Pierwszy raz Stefan pojechał z misją do Warszawy po jakichś dwóch tygodniach. Wyznaczono mu spotkanie przy kolumnie Zygmunta. Trwało zaledwie kilka minut. Niczego na razie mu nie zlecono, najwyraźniej przełożeni chcieli się tylko zorientować, czy dotrzyma umowy i stawi się na miejscu.

Kolejny wyjazd odwołano telegraficznie. Wreszcie wezwano go na warszawski Mariensztat, a potem do Łodzi w okolice placu Wolności. Tu poznał następnego człowieka z organizacji, od którego miał w przyszłości otrzymywać informacje. Niczego więcej jednak mu nie przekazano. Na razie te tajne kontakty miały raczej charakter zapoznawczy, bez zlecania żadnych zadań. Kolejne tygodnie wyglądały nudniej niż najgorsza powieść szpiegowska. Skrzyszowski-Patera wsiadał do kolejnych pociągów, żeby dotrzeć na wyznaczone miejsca spotkań, na których nic się właściwie nie działo. Kolejni ludzie zapowiadali, komu posłuży za łącznika, i wypłacali mu zwrot za bilety kolejowe, co kwitował swoim organizacyjnym pseudonimem „Janusz”.

Pewnego razu jednak coś drgnęło. W Łodzi usłyszał, że organizacja wytypowała go na przerzut za granicę na kurs. Stefan chętnie przystał na propozycję. Sam już wcześniej myślał o ucieczce z Polski.

W październiku 1951 roku w Warszawie przekazał swoje dwa zdjęcia, potrzebne do dowodu umożliwiającego przejazd przez wschodnie Niemcy. Wystawiono mu papiery na personalia Wiktor Heggier. Podpisał je i pokwitował odbiór pięciuset złotych. Tym razem pogłębiono konspirację – potwierdzenie podpisał nowym pseudonimem „Bolek”.

Drogę na Zachód zaczął 30 października pod warszawskim Centralnym Domem Towarowym. Z mężczyzną, którego znał jako „Tadeusza”, wyjechali do Bielska. Tam w pensjonacie podczas odprawy dowiedział się o punktach przejścia Nysy. 3 listopada ruszył do Katowic, a potem przez Wrocław do Lubania, a stamtąd już w stronę granicy.

Stefanowi Skrzyszowskiemu towarzyszył przewodnik. Rzekę przepłynęli nocą. Opiekun zawrócił, gdy znaleźli się po niemieckiej stronie. Stefan zgodnie z rozkazem odnalazł gospodarstwo we wsi Ostritz. Stamtąd łącznik o nazwisku Wagner przewiózł go motocyklem do kolejnego mieszkania. Dalszy ciąg był podobny do tego, co przeszedł emisariusz „Artur”, który teraz słuchał opowieści Skrzyszowskiego.

W Ostritz Stefanowi przydzielono niemiecką łączniczkę, studentkę medycyny. Razem pojechali do Berlina, gdzie kolejką dostali się do zachodniej części miasta. Po drodze nie było żadnych kontroli.

Dotarli do Berlina Zachodniego. Tu przejął go wywiad USA. Następnego dnia amerykański samolot przewiózł Skrzyszowskiego z lotniska Tempelhof do Frankfurtu. Wkrótce trafił do Oberföhring, gdzie zbierali się uczestnicy planowanego kursu. Docierali z Paryża, Londynu, Monachium, Szwecji.

Pod koniec marca 1952 roku zakwaterowano ich we wsi Erzhausen pod Frankfurtem.

„Artur” uważał, że dowództwo postąpiło słusznie, wysyłając go do Skrzyszowskiego. Wiedział, jak trudno prowadzić tajną misję samotnie wśród nieznanych ludzi. Cierpliwie wysłuchiwał więc opowieści Skrzyszowskiego. Ten wręcz eksplodował energią. „Artur” wymyślił zajęcie, które pozwoliłoby Skrzyszowskiemu wypełnić pustkę kolejnych dni – wciąż przecież większość czasu spędzał w samotności w warszawskiej kryjówce.

„Artur” poradził, żeby zaczął spisywać informacje ze szkolenia na Zachodzie. Te materiały powinny potem przydać się na kursie dywersyjnym, który zostanie w Polsce zorganizowany dla WiN-owców. Może zapiski posłużą zresztą samemu Skrzyszowskiemu, bo pewnie za jakiś czas zostanie instruktorem.

„Artur” regularnie odwiedzał też Dionizego Sosnowskiego. Wiedział, że skoczkowie ukrywali się osobno, a Sosnowski trafił do podwarszawskiej Radości. Był mniej komunikatywny niż Skrzyszowski. Opowiadał chaotycznie, pamiętał mniej szczegółów.

Najchętniej mówił o materiałach wybuchowych, bo – jak stwierdził – miał do nich smykałkę. Z wielką uwagą słuchał też na kursie wykładów

o wywiadzie, dywersji i sabotażu. Czuł, że zna się na tym lepiej niż Skrzyszowski.

Jego „Artur” też namawiał do spisywania notatek, które potem przydałyby się podczas organizowania konspiracyjnych kursów w Polsce. Sosnowski i Skrzyszowski byli przecież jedynymi Polakami w kraju, którzy poznali od podszewki współczesne amerykańskie metody wywiadowcze, a także sprzęt nowej generacji. Razem z nimi na ziemię trafiły najnowocześniejsze urządzenia do odbierania zrzutów. Planowano ich użyć przy następnych desantach. Przywieźli ze sobą radiostacje szpiegowskie, jakimi dysponował amerykański wywiad, produkowane przez Motorolę RS-6. Jak na owe czasy były miniaturowe – jeden komplet składał się z czterech elementów, każdy wielkości dwóch paczek papierosów. Oddali też witającym ich przewodnikom radiowy aparat URC-4, tak zwany beacon, służący do naprowadzania samolotów na cel. Sosnowski w konspiracyjnym mieszkaniu sporządził polskojęzyczną instrukcję obsługi.

Dionizy Sosnowski marzył o spotkaniu z narzeczoną i ojcem, który prowadził gospodarstwo. Swój związek z dziewczyną jednak wyolbrzymiał. Poznał ją niedługo przed przerzutem za granicę. Była zaledwie jego sympatią, ale ciągła tęsknota podczas pobytu na Zachodzie uczyniła z niej osobę znacznie mu bliższą niż w rzeczywistości.

Najpierw padły proste pytania:

– Imię i nazwisko?

– Miejsce, data urodzenia?

– Stan rodzinny?

Zanim Stefana Skrzyszowskiego dopuszczono do odbycia kursu w zachodnim ośrodku Delegatury, Amerykanie zbadali go wykrywaczem kłamstw. Wariograf marki Clirins rysował krzywą linię na milimetrowej skali. Kreska załamywała się przy każdym pytaniu. Aparatura umieszczona na rękach mierzyła pocenie się przy kolejnych odpowiedziach. Gdy ktoś się zawahał, kreska unosiła się nierównomiernie. Wyskakiwała ostro do góry, kiedy delikwent zdenerwował się po zaskakującym pytaniu. Bo po tych łatwych nagle padały podchwytliwe:

– Od kiedy pracuje dla UB?

– Kto go wysłał za granicę?

– Czy jest szpiegiem?

– Kiedy miał ostatni stosunek z mężczyzną?

Pytania bywały absurdalne, niektóre zaskakujące, często zmieniał się temat. Potem zadawano te same w innej kolejności.

Na koniec Stefanowi pokazano rząd cyfr od jednego do dziesięciu. Polecono wybrać jedną. Następnie podczas badania pytano go o tę właśnie i kazano zaprzeczyć, że ją wybrał.

Amerykanie uczynili z wariografu swój fetysz. Szczycili się jego niezawodnością. Przeprowadzali doświadczenia na kryminalistach. Opowiadali o tym wszystkim badanemu, aby przekonać go, że metoda jest nieomylna i nie zdoła oszukać aparatu.

Stefana uznano za wiarygodnego. Kurs zaczął na początku stycznia 1952 roku, niedługo po powrocie do Polski emisariusza „Artura".

W grupie Skrzyszowskiego było dziewięć osób. Z Polski, Szwecji, Francji. Jednego z Londynu odrzucono po badaniu wykrywaczem kłamstw.

Szkolenie toczyło się ospale. Amerykanie wykładali po angielsku i tłumaczenie zajmowało mnóstwo czasu. Wolnego było niewiele – co dwa tygodnie od soboty po południu do poniedziałku rano. Grali wtedy w piłkę nożną, siatkówkę, ping-ponga, karty, szachy. Czasami wpadali Amerykanie z biletami do opery albo na mecze hokejowe. Jeździli też samochodami na wycieczki: w Alpy, na zakończenie karnawału w Wiesbaden, do zamku Frankenstein w Darmstadt. W te soboty, które mieli wolne, po południu wyruszali do Frankfurtu szukać rozrywki albo na zakupy.

Zabroniono im przyznawać się, że są Polakami. Skrzyszowski występował jako Bawarczyk. Pozostali udawali Łotyszy, Norwegów, Francuzów. Rozpuszczono plotkę, że to lotnicy szkolący się przed misją w Korei.

Uczono, że wzór agenta to człowiek o przeciętnej powierzchowności, nierzucający się w oczy. Cichy i skromny, ale bystry, z czujnym uchem i okiem. Doskonale znający się na ludziach, rejestrujący szczegóły. Przed tajnym spotkaniem z innym, nieznanym agentem powinien utrwalić sobie w pamięci jego dokładny rysopis: wzrost, powierzchowność, orientacyjną wagę, kolor oczu i włosów, stan uzębienia, kształt szyi, musi znać przybliżoną długość jego kroku, wiedzieć, czy jest energiczny, czy ociężały – i na tej podstawie go rozpoznać.

Stefan Skrzyszowski, pomny tych wszystkich wskazówek, zapamiętał kilku kolegów z kursu.

Najciekawszą historię miał do opowiedzenia Karol, którego przerzucono na Zachód w styczniu 1952 roku.

Nienawidził komunistów. Ucieczka na Zachód – ten cel stał się jego obsesją. Nie zamierzał wracać do Polski. Ale jak uchronić rodzinę, która pozostanie w kraju, przed represjami? A już z pewnością przed przesłuchaniami? Przed śledztwem? Upozorować swoją śmierć. Karol zimą wyszedł na wycieczkę w Tatry – i już z niej nie wrócił. Szukało go nawet pogotowie tatrzańskie.

W końcu uznano go za zaginionego. To chroniło rodzinę w Polsce przed szykanami. A on tymczasem szkolił się w amerykańskim ośrodku w zachodnich Niemczech. Palił się do powrotu, żeby walczyć z komunistami. Niestety okoliczności ucieczki przemawiały przeciw użyteczności Karola jako emisariusza do Polski. Gdyby go tam przerzucono, ktoś na ulicy mógłby nagle zobaczyć zmartwychwstałego znajomego.

Staszek – ten jeszcze bardziej niż Karol rwał się do powrotu, do misji w Polsce. Ale jego chęci nie szły w parze z umiejętnościami. Nadawał w niskim tempie – 85 na minutę. A właśnie prędkość miała szczególne znaczenie dla instruktorów. To wedle niej wyceniano wartość radiotelegrafisty.

George – o nim mówiono, że to niepoprawny „babiarz", z zawodu śpiewak. Tempo nadawania: 110. Mieszkał we Francji, rozwiódł się z żoną. Po alkoholu, do którego miał słabość jak do kobiet, zdradzał, niestety, nie tylko kolejne dziewczyny, ale też konspiracyjne tajemnice.

Olek miał zaledwie dwadzieścia lat i wielką chęć udania się na misję w Polsce. Ale pułkownik Józef Maciołek, szef Delegatury, który czuwał nad wszystkimi uczestnikami kursu, uznał, że brak mu na razie doświadczenia, i wysłał go do Szwecji.

Najwięcej czasu poświęcono na naukę radiotelegrafii. Skrzyszowski chłonął wiedzę: operator radiostacji nigdy nie powinien nosić ze sobą wykorzystanych materiałów – nadanych telegramów, planu sygnałowego. Z nikim nie powinien rozmawiać o swoich zadaniach, nawet z najbliższą rodziną. Nieobecność w domu winien usprawiedliwiać zajęciami w zakładzie pracy. Nadawać powinien nie dłużej niż trzydzieści minut jednorazowo. I zaczynać pracę tak, jakby siadał do niej pierwszy raz.

Można transmitować z miasta, ale trzeba wówczas używać akumulatora. Kontrwywiad zarządza bowiem wyłączenia prądu w kolejnych dzielnicach, aby sprawdzić, gdzie może ukrywać się radiotelegrafista.

Szukając miejsca na odludziu, należy unikać pierwszych z brzegu leśniczówek, gajówek i wszystkich innych miejsc, które na początku przyjdą do głowy. To najpierw w nich z pewnością pojawią się ścigające służby. Takie lokalizacje mają jedną zaletę – ukrywając się kilkaset metrów dalej, można obserwować, czy nie zbliża się do nich obława.

Od 1 lutego 1952 na kursie wprowadzono codzienny rygor. Pobudka o szóstej rano, od szóstej trzydzieści półgodzinna gimnastyka. O siódmej śniadanie, od ósmej sprzątanie sali wykładowej i operatorskiej – nikomu poza kursantami i instruktorami nie wolno było do nich wchodzić.

Do południa zajęcia z przerwami jak w szkole. Trzy bloki: odbiór słuchowy, elektrotechnika, samolot. Uczyli się nadawania alfabetem Morse'a, konserwacji

samochodu, procedury przy nawiązywaniu kontaktu. W południe obiad, a od trzynastej trzydzieści do siedemnastej drugi blok zajęć: broń, pierwsza pomoc, mapy. Po osiemnastej praktyczne zajęcia z uzbrojeniem, filmy naukowe. Koniec o dwudziestej pierwszej.

W kolejnym ośrodku, w Langen pod Frankfurtem, zmieniono wykładowców, zmniejszono liczbę zajęć z radiotechniki, a dodano inne: minerstwo, nocne wyszkolenie bojowe w terenie, szkolenia agenta, inwigilacja; trenowali też dżudo i dżiu-dżitsu.

Uczono podstawowej umiejętności szpiegów – wykrywania inwigilacji. Idąc na spotkanie, warto nagle zatrzymać się i poprawić sznurowadło. Choć to metoda prymitywna, wciąż skuteczna, bo dająca możliwość obejrzenia się i zlustrowania ulicy. Potem – przystanek przed wystawową szybą, pod warunkiem, że czysta. W odbiciu da się dostrzec śledzącego. Zgubić go można prosto – wskakując w ostatniej chwili do autobusu albo tramwaju. Najlepiej do ostatniego wagonu. Przejechać dwa, trzy przystanki. Potem złapać taksówkę. A jak ich czeka kilka na postoju, to dwie pierwsze opłacić i wysłać pod jakikolwiek adres, a trzecią ruszyć w miejsce, gdzie znowu uda się zmienić środek transportu.

Podczas zajęć z minowania kilku kursantów pod okiem amerykańskich instruktorów rozmieściło ładunki wzdłuż drogi, którą posuwała się kolumna samochodów. Potem spowodowano wybuch, aby słuchaczom pokazać skutki działania min.

Skrzyszowski uczył się rozniecania pożarów w fabrykach, zakładach pracy, gospodarstwach rolnych. W żarówce należy specjalnym pilnikiem wykonać niewielki otwór. Do środka wsypać cukier z chlorkiem potasu w taki sposób, aby pokryły druciki. Do klosza wiszącej pod sufitem lampy nalać benzyny. Kiedy ktoś wejdzie do pomieszczenia i włączy światło, nastąpi wybuch – benzyna rozpryśnie się, wzniecając pożar. Inny sposób to przywiązanie zapalonego papierosa do pudełka z zapałkami i pozostawienie całości w pomieszczeniu z łatwopalnymi materiałami.

Maszyny łatwo niszczyć, dosypując do oleju opiłki żelaza. Po pewnym czasie spowodują zatarcie elementów mechanizmu.

Skrzyszowski oglądał filmy pokazujące, jak przenosić materiały wybuchowe do fabryk przez strzeżone posterunki. Spłonki można ukryć w papierosach, trotyl i dynamit w wydrążonym bochenku chleba. Zalecano, aby przemycały je kobiety, bo są rzadziej kontrolowane.

Na zajęciach pokazywano kursantom plansze z materiałami wybuchowymi przedstawiające trotyl, plastik, dynamit, miny, *bangalore torpedo* (rura

wypełniona materiałem wybuchowym), lonty i spłonki. Uczono, jak obliczyć ilość materiału potrzebną do zniszczenia mostów i budynków.

Wreszcie zajęcia w terenie, niektóre trwające po dziesięć dni. Markowano, że samolot nocą zrzucał ich w nieznanym miejscu. Za pomocą mapy i kompasu musieli ustalić, gdzie się znaleźli. Uczono ich sposobów przeżycia w terenie. Budowania szałasów w lesie czy polowania na zwierzęta bez użycia broni, jedynie za pomocą samodzielnie zbudowanych pułapek. Po przygotowaniu leśnej kryjówki mieli skontaktować się radiowo z bazą i wyznaczyć miejsce zrzutu broni i żywności. Wysyłali niektórych po jedzenie do najbliższej wsi, a tam wyłapywał ich kontrwywiad i biciem próbował wydobyć informacje.

Ich samych też uczono przesłuchiwania. W pokoju do interrogacji nie powinno być niczego – poza aktami – na czym badany mógłby skupić swoją uwagę – żadnych map, obrazów na ścianach, żadnych figurek, czasopism na biurku.

Uczyli się prowadzenia samochodów i motocykli. Ale tylko teoretycznie. Skoki spadochronowe trenowali na sucho w ogrodzie, skacząc z półtorametrowego podwyższenia.

Pewnego dnia usłyszeli, że ktoś z Delegatury był u papieża i że ten pobłogosławił ich organizację. Innym razem podczas kursu odwiedził ich Zygmunt Zaremba, znany na emigracji działacz Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS).

Stefan Skrzyszowski zachwycał się pułkownikiem Józefem Maciołkiem. Nazywali go „ojcem” albo „starym”. A Skrzyszowski wierzył, że jeśli Maciołek kiedyś się w czymś pomyli, to nie przez złą wolę albo nieudolność, a za sprawą przepracowanego umysłu. Bo haruje jak mrówka, dzień i noc, nawet w święta. Brak mu jednak równie mądrych ludzi do pomocy. Ci, z którymi pracował, wręcz czekali z utęsknieniem na chwilę, gdy Maciołek wyjedzie, aby móc odpocząć i się wyspać.

Podczas jednego ze spotkań w warszawskiej kwaterze, Stefan Skrzyszowski powiedział „Arturowi”, że niepokoi się o szwagierkę, która poważnie chorowała. Chciał więc jechać do żony do Krakowa, żeby się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja w rodzinie.

Kiedy przedarł się na Zachód, kobieta opowiadała znajomym, że legalnie wyjechał za granicę na szkolenie zawodowe. Po desancie spadochronowym mógł więc pojawić się w domu, nie budząc podejrzeń otoczenia.

Pozwolono mu pojechać do Krakowa dwukrotnie, ale okazało się to błędem.

Przyczyny sięgały jeszcze Monachium, czyli okresu, kiedy dopiero wysłano go z Polski na Zachód. Wówczas wystąpił w audycji Głosu Ameryki.

Opowiadał o sytuacji robotników w komunistycznej Polsce. Dla bezpieczeństwa zmieniono mu głos, najwyraźniej jednak niewystarczająco. Jedna z krakowskich znajomych nabrała przekonania, że to właśnie Stefan Skrzyszowski. Kiedy znowu pojawił się w Polsce i pojechał w odwiedziny do żony, natknął się na tę kobietę. Wypierał się, przekonywał, że to pomyłka, że nigdy nie występował w Głosie Ameryki, ale znajoma mu nie uwierzyła.

Zaniepokojony powrócił do Warszawy. Był zdenerwowany, choć nie zdawał sobie w pełni sprawy, jakie wisi nad nim niebezpieczeństwo.

Kiedy Delegatura Zagraniczna WiN przerzucała go amerykańskim samolotem do Polski, zamierzała osiedlić go na powrót w Elblągu albo gdzieś na Wybrzeżu. Skrzyszowski miał kupić taksówkę bagażową i nią jeździć – w razie potrzeby umieszczałby w niej radiostację i nadawał z różnych miejsc. Tak się jednak nie stało.

6 grudnia 1952 roku do jego kryjówki wpadło UB. Trucizny nie zażył. Choć właściwie umarł już tego dnia, bo aresztowanie było jednoznaczne z wyrokiem śmierci.

Pochwycono też drugiego skoczka. Prasa nagłośniła oba zatrzymania. Pisano o wysłannikach imperialistów, którzy wysługują się obcym za zgniłe dolary.

Dionizemu Sosnowskiemu akt oskarżenia odczytał porucznik Mieczysław Kieferling. Sosnowskiego wezwano do wolnego pokoju w więzieniu Warszawa I. Kieferling sam poznał akt oskarżenia dopiero w owym pokoju. Wówczas zorientował się, że chodzi o słynną sprawę dwóch skoczków, o których od pewnego czasu pisała prasa i których sprzęt pokazano na wystawie *Oto Ameryka*.

Po odczytaniu aktu oskarżenia Sosnowski zaprzeczył, że miał być dywersantem. Upierał się, że jego specjalność to radiotelegrafia, a nie wysadzanie fabryk, minowanie dróg i mostów czy podpalanie stogów. Po zrzucie do Polski niczego nie robił. Czekał, aż organizacja wyznaczy mu jakieś cele. Spotykał się z ludźmi z podziemia i na prośbę „Artura” spisywał szczegóły szkolenia za granicą. Te dokumenty, w których niczego nie ukrywał, stały się koronnym dowodem na jego szpiegowską działalność.

Porucznik Mieczysław Kieferling zanotował 14 lutego 1953 roku: „Oskarżony, przeczytawszy protokół, szukał wzrokiem pióra, wówczas ja dałem mu swoje pióro »Parker«, powiedziałem: podpiszcie tym, to także amerykańskie”.

Język w komunizmie oddawał nie tyle to, co ludzie myśleli, ile raczej, co uważali, że myśleć powinni. Kolega Sosnowskiego, kadet Józef Ciszka, sporządził odręcznie jego charakterystykę. Koleżeńskie uczucia wyraził

w języku stalinowskiej propagandy: „Ja osobiście nie miałem pewności czy Sosnowski rzeczywiście poszedł na służbę dolara”.

W lutym 1953 roku Stefanowi Skrzyszowskiemu i Dionizemu Sosnowskiemu odczytano wyroki śmierci. Na obu wykonano je tego samego dnia – 15 maja 1953 roku.

Stefan Skrzyszowski zapewne nigdy nie zorientował się, że „Artur” – ten zaufany emisariusz, którego spotkał w Delegaturze, ten, który namówił go w Polsce do spisywania relacji o kursie dywersyjnym – to agent Urzędu Bezpieczeństwa.

5

Warszawa, połowa lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Jedna z knajp na Mokotowie niedaleko ulicy Rakowieckiej. To tu niegdyś spotykali się funkcjonariusze tajnych PRL-owskich służb. Tu wyskakiwali na wódkę z pobliskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

To tu również pierwszy raz zobaczyłem „Artura”. Ze względu na jego literackie zamiłowania dość łatwo go odnalazłem. Zgodził się na spotkanie, ale tylko w kawiarni.

– Dochowałem się maleńkiej wnuczki, więc rozgardiasz w domu – uzasadnił.

Ustaliliśmy znaki rozpoznawcze.

On:

– Mam charakterystyczną cechę, opadającą powiekę w prawym oku.

Ja tymczasem – jak zwykle ze względu na moje ówczesne miejsce pracy – powiedziałem, że będę miał wystającą z torby „Gazetę Wyborczą”.

Dziś z pewnym trudem udaje się odtworzyć ówczesną polityczną atmosferę, która bez wątpienia spowodowała, że „Artur” zgodził się na rozmowę. W latach dziewięćdziesiątych ludzie związani z poprzednią, komunistyczną władzą bardzo różnie reagowali na dziennikarzy „Gazety Wyborczej”. Jedni unikali mnie jak diabeł święconej wody, bo kojarzyłem im się z Solidarnością, czyli z wszystkimi plagami świata. Drudzy próbowali badać, co ewentualnie uda im się ugrać w nowym świecie.

Jak „Artur” stał się agentem UB (choć on sam wolał inne określenie – szpiegiem)? To opowieść w sam raz dla dziennikarza:

– Przypadek. Nigdy nie myślałem, że tak ułożą się moje losy. Studiowałem w moim rodzinnym Krakowie, byłem młodzieżowym aktywistą, przygotowywałem się do pracy w dziennikarstwie. W 1948 roku debiutowałem w „Dzienniku Polskim”. Któregoś wieczoru do moich drzwi zapukało dwóch nieznanych mi panów. Po długiej rozmowie zaproponowali mi pracę w kontrwywiadzie. Wtedy była to dla mnie bardzo ciekawa propozycja. Wywiad i kontrwywiad znałem jedynie z książek i filmów. Nie zdawałem sobie sprawy z charakteru mojej przyszłej pracy, ale zgodziłem się, nie wiem nawet dokładnie dlaczego, może ze względu na przyszłe przygody…

Kiedy indziej wspominał, że pociągał go romantyzm walki na cichym froncie – jak wówczas nazywano szpiegowanie.

Ale to wszystko opowieści z innej epoki i dla innych ludzi. Tak „Artur” mówił dziennikarzowi „Żołnierza Polskiego” w wywiadzie, który ukazał się mniej więcej dziesięć lat przed naszym spotkaniem, w połowie lat osiemdziesiątych, czyli jeszcze w PRL. Wytłumaczenie dobre dla dzieci albo żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego…

„Artur” to Marian Strużyński. Vel Marian Zbigniew Jarecki, vel Marian Reniak, vel Ryszard Czernik, vel Różyński. Pseudonimy: „Zielony”, „Roman”, „Rysiek”, „Irka”, „Teodor”, „Karol”, „Robert”, „Kazimierz”.

Albo jeszcze inaczej. Agent numer „7”. Bez dwóch zer z przodu.

Marian Strużyński siedział w kącie, przodem do sali – jakby nadal odgrywał rolę szpiega i chciał wszystko mieć na widoku. Uśmiechał się często. Zaczął:

– Nie szkolono mnie na agenta. Byłem zdany na własny zmysł orientacji i na pętlę, która by mi się zacisnęła na gardle, gdybym się pomylił. Teraz pętlę oddaję w pana ręce.

– Notuję, mam zajęte ręce – odpowiedziałem. – Nadal się pan czuje komunistą?

– Nigdy nim nie byłem. Pracowałem dla komunistów, ale postawiłem warunek, że nie będę działał przeciwko ludziom, którzy byli ze mną w partyzantce. Wysłano mnie więc na rozpracowanie do oddziału, który mordował wszystkich, nawet AK-owców.

Marian Strużyński, syn Witolda i Marii z domu Schwarzenberg (w podaniu o zezwolenie na posiadanie broni krótkiej z 1970 roku jej nazwisko brzmiało Czarny), urodził się w Sandomierzu w 1922 roku w rodzinie ziemiańskiej. Wśród krewnych miał i działacza PPS, i endeka, i profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jest krewnym Andrzeja Struga, pisarza, socjalisty, wielkiego mistrza Wielkiej Loży Narodowej Polskiej, który w masonerii osiągnął najwyższy 33. stopień wtajemniczenia.

Mówiąc innym językiem, pochodził z rodziny, którą w powojennych ankietach sam nazywał „obszarniczą”. Ojciec gospodarował na dwustu hektarach w Zielenicach w powiecie miechowskim.

Dwóch stryjów też miał zacnych. Rotmistrza ułanów jazłowieckich i adiutanta generała Juliusza Rómmla.

Młody Marian edukował się w Zakładach Wychowawczo-Naukowych ojców pijarów i ojców jezuitów. W jednej klasie z synem generała Franciszka Kleeberga – zaprzyjaźnił się zresztą z tym chłopakiem. Ukończył Gimnazjum imienia Króla Jana III Sobieskiego w Krakowie. Tam zdał maturę.

Walczył we wrześniu 1939 roku.

– Dali mi żołnierski płaszcz, ale broni nie było – opowiadał mi. Wspomniał, że brał udział we wrześniowych bitwach jako ochotnik wcielony do 27 Pułku Ułanów. Bił się o Chełm, Zamość, Kowel.

W Brześciu nad Bugiem trafił do niemieckiej niewoli, z której po kilkunastu dniach uciekł. Wrócił do Krakowa.

Zapisał się do Liceum Handlowo-Administracyjnego. Ukończył je w 1941 roku.

Wpadł podczas niemieckiej łapanki ulicznej. Wysłano go do budowy lotniska pod Krakowem. Uciekł i ukrył się na wsi. Wstąpił do pierwszego podziemnego oddziału, jaki pojawił się w okolicy.

Służył w dywersji Armii Krajowej. Konspirował w Samodzielnym Batalionie Partyzanckim „Skała", w którym potem był dowódcą pocztu batalionu. Skończył podchorążówkę. Od sierpnia 1944 roku służył w zwiadzie konnym krakowskiego oddziału „Żelbet".

Po wyzwoleniu porucznik Zbigniew Waruszyński „Dewajtis 2" – cichociemny, z którym służył w „Skale" – wysłał go na Ziemie Zachodnie, propagandowo ochrzczone Ziemiami Odzyskanymi. W Bytomiu został legalnie kierownikiem Referatu Osadnictwa. Ale jako człowiek podziemia osiedlał tu też ludzi z konspiracji, spalonych na innych terenach. Znajdował im domy i zatrudnienie. Załatwiał darmowe bilety kolejowe, aby uciekali jeszcze dalej na Zachód.

Jesienią 1945 roku stracił kontakt z „Dewajtisem 2". Przeprowadził się do Krakowa. Tu przez chorążego Franciszka Wójcika „Wiarusa" nawiązał pierwszy kontakt z WiN. W mieszkaniu Strużyńskiego przy ulicy Pędzichów 5/7 major Wojciech Szczepański „Bartosz" zakładał WiN na powiat olkuski.

Najpierw Strużyński zajmował się w nim wywiadem. Później był łącznikiem z „Radą XI" (kryptonim jednego z wydziałów WiN) pod komendą „Michała", a jeszcze później dowodził patrolem ochrony przy „Radzie XI". Kolportował nielegalne gazetki „Biały Orzeł" oraz „Wolność i Niepodległość". Przygotowywał się nawet do akcji odbicia więźniów w Kielcach, ale doszło do wsypy. Po kolejnych wpadkach w maju 1946 roku stracił kontakt z „Bartoszem".

Związał się z Janem Sikorą „Baryczem", który wcielił go do patrolu specjalnego – ten przyjął nazwę Ruchu Oporu Armii Krajowej. Pozostawali w kontaktach z WiN. Tworzyli specyficzną strukturę: piątki konspiracyjne. Każdy z członków budował swoją piątkę.

Przez „Barycza” Marian Strużyński poznał porucznika „Cichego”. Na jego polecenie w 1946 roku razem uczestniczyli w napadach na Bank PKO i „Społem” w Bytomiu. Zrabowane pieniądze przekazali podziemiu.

Po drugiej stronie znalazł się w 1947 roku.

W marcu 1947 roku ujawnił się jako konspirator WiN. W oświadczeniu z 3 marca napisał: „Przekonałem się teraz, że ostrze naszej podziemnej roboty było skierowane przeciwko Polsce, podsycane przez obcą nam »anglosaską« propagandę.

Znam wielu ludzi, którzy również pracowali jak i ja w ruchu podziemnym i obecnie z pewnością pojmują popełnione przez siebie błędy.

Zobowiązuję się więc dołożyć wszelkich starań, aby pomóc im wyjść z podziemia do twórczej pracy dla polskiej rzeczywistości. Ujawniając się, pragnę zerwać z przestępczą działalnością”.

Już od jakiegoś czasu nieformalnie współpracował z milicją. W budynku, w którym zamieszkał po wojnie, mieścił się jej posterunek. Strużyński przekazywał różne informacje kapitanowi Dominikowi z Wojewódzkiej Komendy MO.

28 czerwca 1947 roku w Krakowie skreślił odręcznie formalne zobowiązanie do współpracy z UB: „Ja, niżej podpisany, zobowiązuję się zachować całkowitą tajemnicę z przeprowadzonej rozmowy w M.B.P.

I jak również zobowiązuję się w miarę możności wykonać omówione zadanie. W pracy tej będę używał pseudonimu »Irka«.

Tajemnicę powyższą nie zdradzę nawet przed najbliższą rodziną.

Marian Strużyński”.

– Mieli coś na pana? – zapytałem.

– Nie było żadnego przymusu – odpowiedział Marian Strużyński.

– Jak to możliwe, że człowiek z AK stał się współpracownikiem UB?

– Wiąże się to z fragmentem życia już po wojnie; stanie się on puentą książki, którą piszę. Nie mogę na razie zdradzić puenty.

Tej puenty nigdy jednak nie poznałem, bo książki nikt nie opublikował.

Ale choć Strużyński zapewnił mnie, że nie werbowano go pod przymusem, to być może wówczas, w 1947 roku, mocno oberwał w skórę. Zobowiązanie do współpracy podpisał po tym, jak milicja zatrzymała go za napady rabunkowe. Potem podczas przesłuchania przed sądem – 10 listopada 1947 roku – mówił: „Nie przyznaję się do zeznań złożonych na milicji, gdyż zeznania te zostały ode mnie wymuszone. Jeden wywiadowca wysoki, a drugi niski stale namawiali mnie do tego, abym złożył takie zeznania, jakie oni chcą, ale ja tego uczynić nie chciałem i za to jeszcze przed przesłuchaniem byłem bity, przyczem jeden

z wywiadowców uderzył mnie rewolwerem w plecy i brzuch, a drugi powiedział mi, że gdy zepsuję im sprawę, wywiozą mnie za miasto, gdzie mnie zastrzelą pod pozorem mojej ucieczki”.

Te przesłuchania dotyczyły działalności rabunkowej. Przed 1947 rokiem Strużyński z jednej strony donosił milicji, a z drugiej parał się napadami. Znalazł się na pograniczu, w szarej strefie, którą dziś trudno ocenić – czy to jeszcze antykomunistyczna konspiracja zdobywająca pieniądze na swoją działalność, czy już zwykły bandytyzm.

Podczas procesu udawał psychicznie chorego. Zwolniono go z odpowiedzialności.

Ubecy szybko zorientowali się, że Strużyński nadaje się nie tylko do donoszenia na osoby, które do tej pory znał. W łatwy sposób zaskarbiał sobie sympatię nowych znajomych. Jako były żołnierz AK i WiN potrafił dobrze uwiarygodniać swoją konspiracyjną przeszłość i wzbogacać ją o potrzebne legendy. Zaczęto go wprowadzać do nieznanych mu wcześniej oddziałów. Stał się więc nie tylko donosicielem, ale też szpiegiem i prowokatorem.

Tak postąpiono z oddziałem „Wiarusów” w powiecie nowotarskim. Podczas tej akcji Strużyński posługiwał się pseudonimem agenta numer „7”. Prowadził go wówczas Franciszek Szlachcic, w epoce Edwarda Gierka minister spraw wewnętrznych oraz wicepremier. W swoich niepublikowanych wspomnieniach napisał o Strużyńskim: „W czasie jednej z takich rozmów poznałem inteligentnego i odważnego studenta. Namówiłem go do pracy w organach bezpieczeństwa. Zgodził się pracować w III wydziale. Ponieważ łaknął przygód, zaproponowałem mu udanie się w rejon działania bandy »Wiarusy«, nawiązanie kontaktu, rozpoznanie i doprowadzenie do likwidacji. Zgodził się i rolę zagrał znakomicie, a zadanie wykonał na piątkę. (W takich walkach najniebezpieczniejsze rozkazy otrzymują najdzielniejsi)”.

Agentowi numer „7” udało się podporządkować „Wiarusów” fikcyjnemu sztabowi. W oddziale zetknął się ze Stanisławem Ludzią „Harnasiem”, poprzednio adiutantem „Ognia”, a następnie podwładnym Józefa Świdra „Mściciela”, dowódcy „Wiarusów”. Po śmierci swoich przełożonych „Harnaś” sam stanął na czele grupy. Ale grunt palił mu się pod nogami, planował więc ucieczkę za granicę. Podczas przerzutu na Zachód 16 lipca 1949 roku – który za sprawą Strużyńskiego nadzorowało UB – partyzanci wpadli w zasadzkę. Kolejnych konspiratorów aresztowano w czasie rzekomego przekazania radiostacji, również zorganizowanego przez Mariana Strużyńskiego. Stanisława Ludzię „Harnasia” krakowski sąd skazał na śmierć.

Agent „7” coraz częściej udawał kogoś innego. Ubecy wysyłali go do kolejnych oddziałów – „Samoobrony Chłopskiej”, żołnierzy Józefa Miki

„Leszka”, gdzie grał wysłannika polskiego rządu w Londynie, a nawet do rzekomej organizacji monarchistycznej, w której mieli konspirować ziemianie w Krakowie i województwie kieleckim.

Wszystkich Strużyński łatwo sobie zjednywał, niekiedy korzystając z jakiegoś agenta UB, który wprowadzał go do grupy konspiratorów. Przełamywał początkową nieufność znakomitym obyciem w podziemiu.

Potem na jakiś czas – przez „lekkomyślność”, jak odnotowano w tajnym dokumencie – wyeliminowano Mariana Strużyńskiego z sieci agentów. To wtedy zatrudnił się jako kierownik oddziału szkolenia zawodowego w Nowej Hucie.

W Związku Młodzieży Polskiej poznał swoją przyszłą żonę Danutę Rymarz.

Przypomniano sobie o nim na początku lat pięćdziesiątych. Charakteryzujący go major Stanisław Wałach, naczelnik Wydziału III, stwierdził w dokumencie, że choć Strużyński pochodzi z rodziny obszarniczej, to „jest związany z nami szeregiem robót, który wykonał i w stu procentach sprawdzony.

Posiada on bardzo dużo własnej inicjatywy i zdolność szybkiego orientowania się i natychmiastowego reagowania w każdym jednym wypadku. Niezależnie od tego daje się zauważyć u ag. ps. »Robert« żadko [sic!] spotykane podejście do ludzi i sposób ich ujmowania i przywiązywania do siebie, patrząc z punktu widzenia rozpracowania wrogich środowisk”.

A właśnie takiego człowieka teraz UB potrzebowało. Planowano wtopić kogoś w V Komendę i wysłać do Delegatury Zagranicznej WiN na Zachodzie, aby rozpoznać jej kontakty z amerykańskim wywiadem oraz odkryć metody szkolenia. Ubecy zorientowali się bowiem, że Delegatura potrzebuje kuriera z kraju, który przedrze się do niej przez granicę, żeby przekazać te wszystkie informacje, jakich nie sposób pomieścić w tajnej korespondencji.

Marian Strużyński wydał się bezpiece najlepszym kandydatem do tego zadania. Znakomicie znał mentalność ludzi z antykomunistycznego podziemia. Można więc było znowu skierować go do środowiska WiN, licząc, że sprawy przybiorą korzystny dla UB obrót.

Operacja była delikatna i skomplikowana. Po nawiązaniu przez Strużyńskiego kontaktu z V Komendą – co okazało się stosunkowo łatwe, bo w końcu nieraz już zdobywał zaufanie partyzantów – przyszła pora na trudniejszą część zadania. Musiał manipulować tak, aby po jakimś czasie usłyszeć propozycję kurierowania.

Ubekom sprzyjał fakt, że Delegatura naciskała, aby WiN przysłał swojego kuriera z Polski. Chętnych do niebezpiecznej misji, wymagającej przedarcia się

przez pilnie strzeżoną granicę, nigdy nie było wielu. Do początku lat pięćdziesiątych WiN wysłał na Zachód tylko kilku emisariuszy z Polski. Jeden z nich, Karol Chmiel, który miał na Zachód wyruszyć z Józefem Maciołkiem, wycofał się w ostatniej chwili. Potem aresztowano go i skazano na śmierć. Kapitan Jerzy Seweryn Cichalewski również, mimo planów wyprawy z Maciołkiem, wówczas nie wyruszył. Później co prawda dotarł do Delegatury, ale skarżąc się na podeszły wiek, odmówił powrotu do Polski. Misja była więc tylko częściowo udana.

Marian Strużyński złapał pierwszy kontakt z V Komendą – sami ubecy wskazali mu odpowiedniego człowieka – i zaskarbił sobie tam pełne zaufanie, jak wcześniej w przypadku „Harnasia" czy „Leszka". Wezwano go na najważniejsze spotkanie w Warszawie z oficerem – po operacji opowiadał o nim, nazywając go „Jotem", choć w rzeczywistości nosił pseudonim „Zygmunt" – który zaproponował mu, aby w imieniu WiN przekradł się do Niemiec.

Chociaż Strużyński był świeżym nabytkiem konspiratorów, to przemawiała za nim cała podziemna przeszłość. Musiał tylko, jak każdy kurier, dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów o organizacji. Ów oficer wbijał mu więc do głowy wiadomości, które miał przedstawić po przerzucie na Zachód i na spotkaniu z pułkownikiem Józefem Maciołkiem.

Po odebraniu kolejnych instrukcji od „Zygmunta" Marian Strużyński wracał do prowadzących go funkcjonariuszy UB, a ci korygowali te zadania i informacje tak, aby odpowiadały potrzebom bezpieki.

Przerzut odbył się rozpoznanym i obserwowanym przez UB kanałem, którego WiN używał od dawna.

O tym, że „Artur" rusza z tajną misją, wiedziała tylko jego żona Danuta. Ślub wzięli w kwietniu 1950 roku.

Urodziła się w 1930 roku w Czechosłowacji, bo rodzice nie znaleźli mieszkania w Polsce, gdy ojciec był zatrudniony w kopalni węgla „Hubert" w Gruszowie koło Ostrawy. Jej dziadkowie byli chłopami, a ojciec Franciszek najpierw pracował jako pomocnik murarski. Czasami znajdował zajęcie tylko na dzień lub dwa w tygodniu. Los rodziny polepszył się, gdy w 1934 roku ukończył prywatną szkołę górniczą. Został technikiem górniczym, ale na stanowisko sztygara nie miał szans, bo je z reguły dziedziczono. W 1936 roku dzięki wsparciu jednego z inżynierów dostał się do państwowej szkoły górniczej w Ostrawie. Ale usunięto go z niej w 1938 roku, gdy Polacy wkroczyli na Zaolzie. Rodzina przeniosła się wówczas do Wierzbicy. Ojciec nadal jeździł do pracy w czechosłowackiej kopalni. Później udało mu się zdobyć posadę sztygara w powiecie cieszyńskim.

Po napaści Niemiec na Polskę rodzina uciekła do Rzeszowa. Tu przeczekali miesiąc i wrócili do domu. Ojciec zatrudnił się w niemieckiej firmie górniczo-wiertniczej.

W powiecie cieszyńskim zlikwidowano polskie szkoły. Rodzice najpierw nie chcieli posyłać Danuty do niemieckiej, ale w końcu okupant wymógł zapisanie jej na zajęcia. Byli jedną z niewielu polskich rodzin. Mieszkali wśród tych, którzy albo uważali się za Czechów, albo podpisali folkslistę.

W 1944 roku Danuta uzyskała świadectwo ukończenia niemieckiej szkoły. Udało jej się uniknąć nakazu pracy fizycznej, dzięki zamieszaniu związanemu z klęskami niemieckiej armii.

W maju 1945 roku ojciec został sztygarem w kopalni „Makoszowy”. Wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej, która potem połączyła się z Polską Partią Robotniczą, tworząc Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Pozostał członkiem PZPR.

Początkowo Danuta z matką i rodzeństwem nadal mieszkała w czechosłowackiej Dąbrowie, potem przeprowadzili się do Zabrza. Danuta ukończyła gimnazjum i liceum. Maturę zdała w 1949 roku i wykorzystując zdolności językowe, dostała się na studia na krakowskiej Akademii Handlowej, na wydział konsularny. Ale później szkołę przeorganizowano i Danuta trafiła na Wydział Planowania Przemysłu.

Wstąpiła do Związku Młodzieży Polskiej. Tam poznała swojego przyszłego męża. Ślub wzięli w kwietniu 1950 roku.

Urodziła dziecko i nadal studiowała. Przed wyjazdem męża, 19 listopada 1951 roku, podpisała oświadczenie: „W związku z zadaniem wykonywanym przez mojego męża Mariana Strużyńskiego zobowiązuję się wobec przedstawiciela Min. Bezpieczeństwa Publicznego do zachowania w absolutnej tajemnicy wiadomego mi faktu pobytu mego męża zagranicą.

Nie opowiem o tym nikomu w żadnych okolicznościach, ani rodzicom, ani innym bliskim, ani osobom, ani urzędowi, w którym mąż pracował, a nawet Władzom Bezpieczeństwa lub Milicji w wypadku, gdybym była zapytywana, względnie przesłuchiwana na okoliczność zniknięcia mego męża.

W wypadkach koniecznych przyjmę pozycję porzuconej przez męża, który widocznie odszedł do innej kobiety.

W chwilach trudnych i wymagających natychmiastowego porozumienia się z Organami Bezpieczeństwa porozumiem się telefonicznie z M.B.P., dzwoniąc na nr 806-91, wywołując do telefonu Pułkownika.

W wypadku, gdyby osoby postronne snuły przypuszczenia, że mąż mój uciekł ze względów politycznych, zamelduję o tym natychmiast, gdy stanie się mnie to wiadomym.

Jeśli zajdzie konieczność, godzę się na zmianę miejsca zamieszkania.

Życzeniem moim jednak jest umożliwienie mi ukończenia studiów na W.S.E.”.

W zachodnich Niemczech, w Delegaturze, szybko nabrano do Strużyńskiego zaufania. Zręcznie mieszał prawdę z fikcją.

Większość informacji zdobył w prosty sposób. Szczegóły działalności przekazywali mu sami ludzie z Delegatury, a co najważniejsze pułkownik Józef Maciołek. Przecież Strużyński był kurierem, który miał je dostarczyć dowództwu WiN w Polsce. Kiedy więc w pełni mu zawierzyli, starali się, aby zawiózł do kraju jak najwięcej wiadomości.

Czasami jednak nawet przed nim coś ukrywano ze względu na głęboką konspirację. Wtedy używał podstępu. Jego najlepszym sojusznikiem okazał się alkohol.

Pierwszy raz upił się z nowym kolegą z Delegatury, aby w drodze powrotnej do domu na chwilę się oddalić i niepostrzeżenie wysłać kartkę pocztową. Przesyłka, gdy dotarła pod adres obserwowany przez ubeków, upewniła ich, że akcja toczy się po ich myśli.

Większy problem stanowiło odkrycie drugiej tajnej siedziby Delegatury. Był tam tylko raz. W to miejsce zawiózł go na Wigilię pułkownik Józef Maciołek. Ale w taki sposób, że Strużyński nie mógł odtworzyć drogi. Postawił sobie za punkt honoru poznać ukrywany przed nim adres.

Po Wigilii przyszło mu do głowy, że pewnie tam również odbędzie się noworoczne spotkanie Delegatury. W sylwestra kupił płaską butelkę szkockiej whisky. Włożył ją do aktówki i w okolicach godziny osiemnastej pojechał do restauracji.

Zamówił golonkę, puszkę sardynek, chrzan i gorzką herbatę. Najpierw zjadł pięć dużych sardynek, potem wypił olej z puszki. Potem zabrał się za olbrzymią porcję golonki. Wszystko było bardzo tłuste. Do tego łyknął dwie tabletki aspiryny. Po to, żeby uodpornić się na działanie alkoholu.

Po uczcie pojechał do „Wojtka”, z którym już wiele razy wspólnie pili. Ten jak zwykle postawił flaszkę, a kiedy ją opróżnili – większość wypił „Wojtek” – Strużyński wyciągnął swoją whisky.

Wkrótce „Wojtek” był już mocno pijany. Strużyński począł zbierać się do wyjścia. I wylał swoje żale. Jak ogarnia go chandra na myśl o pustych czterech ścianach, do których zaraz wróci. Jak niewiele życia może mu już zostało, bo w Polsce ryzykuje wahadło.

Chwiejący się na nogach „Wojtek” chwycił go za klapy. Wszystko odbyło się tak, jak Strużyński zaplanował. Przyjaciel nie pozwolił mu samemu spędzać

sylwestra. Zabrał do tajnej kwatery, gdzie bawili się inni. Strużyński poznał wreszcie jej adres, co bardzo nie spodobało się podejrzliwym Amerykanom. Ale nie roztrząsali nadmiernie sprawy, uznając zapewne, że nie da się zapanować nad ułańską fantazją, która ogarnia Polaków po alkoholu.

„Artur" swoją misję zaczął w nocy z 29 na 30 listopada 1951 roku, a zakończył nocą z 5 na 6 stycznia 1952 roku.

Po powrocie sporządził dwa raporty – jeden dla WiN, drugi dla UB. Ten pierwszy był specjalnie spreparowany, ten drugi zawierał wszystkie spostrzeżenia i wnioski.

„Artur" zapełniał dziesiątki, setki stron swoimi opowieściami. Może stąd wzięła się jego myśl o kolejnej zawodowej profesji, jakiej odda się kilkanaście lat później.

Kiedy spotkałem się pierwszy raz z Marianem Strużyńskim, nie miałem jeszcze obszernej tajnej broszury, która znajdowała się w archiwach Urzędu Ochrony Państwa i opisywała jego akcję. Nie wiedziałem nawet, kto ją sporządził.

– Mógłby mi pan ją pożyczyć? – zapytałem Strużyńskiego.

– Nie mam jej – odpowiedział.

Postanowiłem blefować:

– Jak to? Przecież pan ją napisał?!

– No tak, napisałem – przyznał. – Ale mi jej nie dali, bo była tajna.

Nauczyłem się przy nim jednego – nigdy z własnej woli nie powiedziałby mi czegoś, czego ja sam wcześniej nie wiedziałem.

– Co pan dziś myśli o swojej akcji? – zapytałem go.

– Wiedziałem, że zostaję przerzucony do organizacji zagranicznej kierowanej przez obcy Polsce wywiad – odpowiedział. – Gdyby mi dzisiaj zaproponowano pracę przeciwko ludziom, którzy w Polsce przygotowują cele dla rakiet, też pomógłbym ich zwalczać.

Ubecy bardzo wysoko ocenili pracę Mariana Strużyńskiego: „Za okres jego współpracy z naszym aparatem a w szczególności jego pracy po linii WiN /bardziej znany nam/ swoją postawą ag. »Teodor« udowodnił, że przeszedł poważne przemiany ideologiczne. Wypowiedzi jego w tym okresie szczególnie po powrocie z zagranicy, gdzie bezpośrednio zetknął się ze zgnilizną w ośrodku WiN-owskim i w kontaktach z amerykanami, były nacechowane troską o dobro sprawy i wskazywały na nienawiść do wroga i chęć zwalczania go".

Kiedy ubecy przechwycili informację o planowanym desancie Stefana Skrzyszowskiego i Dionizego Sosnowskiego – kursantów, których

w Delegaturze poznał Marian Strużyński „Artur” – postanowili również wmieszać się do gry. Tym razem była to akcja z wielkim rozmachem. Na zrzutowisku agenci i funkcjonariusze udawali prawdziwych WiN-owców. Obu skoczków przewieźli do centralnej Polski i zakwaterowali na dwóch tajnych kwaterach. Ubecy uznali, że w tych warunkach więcej się od nich dowiedzą, niż gdyby ich aresztowali i przesłuchiwali.

Ale skoczkowie pozostawali nieufni. Nie znali przecież nikogo spośród tych, którzy odebrali ich na lądowisku. Niechętnie więc i zdawkowo opowiadali o szkoleniu w Delegaturze.

Wtedy ubecy postanowili ponownie użyć Mariana Strużyńskiego, czyli „Artura”. Jego przecież spadochroniarze poznali w Niemczech. Powinni mu więc zaufać.

I rzeczywiście – obaj ucieszyli się na jego widok i jakby zeszło z nich napięcie. Wylali na niego potok słów. Szczególnie Stefan Skrzyszowski, bo Dionizy Sosnowski z natury był mniej gadatliwy.

„Artur” zaproponował, żeby spisali swoje wiadomości. I tak dwaj skoczkowie, którzy w Polsce nie wykonali jeszcze żadnego działania – nie nadali ani jednego raportu, nie zrobili zdjęcia żadnego tajnego obiektu, nie wysadzili w powietrze choćby ławki w parku – znaleźli się w sądzie oskarżeni o szpiegostwo, co przypłacili życiem.

– Co pan wie o Stefanie Skrzyszowskim i Dionizym Sosnowskim? – zapytałem.

– Kiedy ich przerzucono, składali mi sprawozdania – odpowiedział Marian Strużyński. – Rozmawialiśmy w zakonspirowanym mieszkaniu przy ulicy Kopińskiej w Warszawie. Wybrano mnie do tych kontaktów, żeby ich utwierdzić w przekonaniu, że trafili w dobre ręce. Oni mnie poznali na kursie dywersyjnym. W Warszawie opowiadali o programie kursu, myśleli, że ja to przekazuję kierownictwu WiN. A ja pisałem sprawozdania dla MBP.

Długo to wszystko nie trwało – zaledwie kilka miesięcy i na skoczkach wykonano wyrok śmierci, choć nawet stalinowski sąd nie wiedział, że obaj szpiedzy od początku kontrolowani byli przez UB i nie mieli najmniejszej szansy wyrządzić jakiejkolwiek szkody komunistycznej władzy.

Marian Strużyński „Artur”, agent numer „7”, dostał następne zadanie – zakraść się do działającego w lasach oddziału partyzanckiego „Huzara”.

6

Kazimierz Kamieński „Huzar” – kiedyś nazywany „bandytą”, dziś „żołnierzem wyklętym”. Był jednym z ostatnich, którzy tworzyli leśną, antykomunistyczną partyzantkę. Walczył jeszcze na początku lat pięćdziesiątych, trzynaście lat po wybuchu II wojny światowej.

Wysłano więc do niego „Artura”. Ale nie tylko jego. Wokół „Huzara” tkano obezwładniającą siatkę fikcji.

Po latach, już w wolnej Polsce, podkomendni wystawiali mu laurki. Podchorąży Tadeusz Wojno „Raszyn” zapamiętał, że „Huzar” głos miał miękki, nigdy go nie podnosił ani nie przeklinał. Tępił picie wódki – sam nie brał jej do ust – a bardzo lubił mleko. Łączniczka Krystyna Balcerzak uważała, że nawet psy szczekały na partyzantów „Huzara” inaczej: delikatnie, piskliwie i przyjaźnie. A na patrole ubeckie ujadały z taką mocą, jakby się chciały urwać z łańcuchów. Tak mniej więcej „Huzar” rysuje się we wspomnieniach zbieranych dziś przez historyków IPN.

Partyzanci przychodzili do wsi rano, kładli się do łóżek, które zwalniali gospodarze. To zimą. A latem spali w stodołach. Czasami przesiedzieli do wieczora, zjedli obiad i kolację, po czym ruszali w swoją drogę. Nawet w jednym z meldunków dla ubeków napisano, że „Huzar” to wysoki mężczyzna o miłym i szlachetnym wyglądzie, inteligentny. Jedyna jego słabość to zamiłowanie do kawalerii.

Sami ubecy postrzegali go inaczej. W liście gończym napisali, że „działając celem przysporzenia sobie korzyści materialnych, pod płaszczykiem obłudnych haseł politycznych, dokonał całego szeregu morderstw i rabunków na bezbronnej ludności cywilnej”. Wyznaczyli też nagrodę za dostarczenie wiadomości o „Huzarze”: dwadzieścia tysięcy złotych.

Kazimierz Kamieński „Huzar” przyszedł na świat na Podlasiu. Urodził się 8 stycznia 1919 roku we wsi Markowo-Wólka w powiecie wysokomazowieckim. W jednym przypominał Mariana Strużyńskiego – po wojnie na obu mówiono „syn kułaka”. Ojciec gospodarzył na pięćdziesięciu hektarach, a wywodził się z drobnej szlachty. Syn ukończył Gimnazjum Handlowe i zdał maturę w Wysokiem Mazowieckiem. Później przyszła Szkoła Podchorążych Rezerwy Kawalerii. Trafił do 9 Pułku Strzelców Konnych.

We wrześniu 1939 roku walczył ze swoją jednostką od Prus Wschodnich aż do Kocka.

Był łącznikiem między dowódcą pułku a sztabem generała Kleeberga. IPN-owscy historycy Kazimierz Krajewski i Tomasz Łabuszewski, opisując jego dzieje, wspominali, że padły pod nim cztery konie, a i on sam nie uniknął rozmaitych kontuzji.

Trafił do niemieckiej niewoli jako ułan. Wydostał się z obozu dzięki przepustce Polskiego Czerwonego Krzyża.

Po wrześniu 1939 roku powrócił na gospodarstwo, a dodatkowo prowadził sklep. Jednocześnie organizował podziemie. Ale nie przeciw Niemcom, tylko Sowietom, bo Wysokie Mazowieckie znalazło się pod radziecką okupacją. Matkę i siostrę wywieziono na zesłanie.

Jego pierwsza organizacja nosiła nazwę Batalion Śmierci Strzelców Kresowych. Wstąpił do niej na początku listopada 1939 roku. Podobno wtedy zastrzelił dwóch NKWD-zistów, którzy próbowali go aresztować, gdy wypełniał misję kurierską do Generalnego Gubernatorstwa.

Tworzące się w całym kraju różne podziemne organizacje z czasem podporządkowywały się Związkowi Walki Zbrojnej, czyli konspiracji, która później przekształciła się w Armię Krajową. Tak też stało się z grupą, do której trafił Kazimierz Kamieński. Przybrał pseudonim „Gryf”.

Służył w Obwodzie Wysokie Mazowieckie. Pierwszy raz uczestniczył w akcji zbrojnej w 1943 roku. Dowodził plutonem terenowym. Był adiutantem Komendy Obwodu i dowódcą Kedywu.

Pod koniec 1944 roku przybrał nowy pseudonim – „Huzar”.

Tak jak na początku wojny konspiracyjne grupy jednoczyły się pod dowództwem, które okrzepło w Armii Krajowej, tak po jej rozwiązaniu podziemie początkowo się rozsypało. W miejsce dotychczasowego Białostockiego Okręgu AK powstała Armia Krajowa Obywateli (AKO), zwana też Obywatelską Armią Krajową. Konspirowali znowu przeciwko Sowietom. Pod koniec 1945 roku „Huzar” – wraz z Białostockim Okręgiem AKO – działał już w WiN. Na tym terenie od razu okazało się, że statutowe, cywilne cele i założenia zrzeszenia przegrywają z rzeczywistością, wymagającą ciągłego opierania się terrorowi Sowietów. WiN, zamiast rozwiązywać leśne oddziały i pomagać żołnierzom wracać do cywila, musiał chronić swoich ludzi, gromadząc ich w partyzantce.

„Huzar” zaczął od dowodzenia grupką pięciu żołnierzy. Szybko miał ich pod swoją komendą już siedemdziesięciu pięciu.

Zabijali komunistów, ubeków i konfidentów – wykonali wyroki śmierci na siedemdziesięciu współpracownikach komunistycznych służb. Rozbrajali

milicjantów – trzynaście posterunków – i żołnierzy, napadali na spółdzielnie. Karali chłostą. Przez krótko nawet panowali nad kilkoma miejscowościami: Łapami, Szulborzem Wielkim, Pietkowem, Kosowem Lackim.

Ścigali też pospolitych przestępców, którzy przeprowadzali własne rekwizycje i kontrybucje. „Huzar” nie oszczędzał przy tym i tych, którzy wywodzili się co prawda z konspiracji, ale z czasem stawali się bandytami. Trzykrotnie wyrokiem śmierci ukarał też ludzi ze swojego oddziału.

Grupę rozbito, jednych ujęto, drudzy ujawnili się przed komisją amnestyjną w 1947 roku. Z konspiracji wyszła Komenda Okręgu WiN – ponad dziesięć tysięcy żołnierzy WiN oraz Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW) i NSZ. Rozformowano też oddział „Huzara”. Działalność podziemia w rodzinnych stronach Kamieńskiego niemal zamarła.

Ale on sam pozostał w podziemiu. Razem z trzema podkomendnymi stworzył nowy oddział. Grupa nieco się rozrosła, a potem dołączyła do szwadronu Władysława Łukasiuka „Młota”, który na Podlasiu odtwarzał 6 Brygadę Wileńską AK. „Huzar” został jego zastępcą.

Znowu toczyli boje z komunistycznym wojskiem, milicją i UB. Czasami trwały po kilka dni. Przeciwko „Huzarowi” wysyłano tysiące żołnierzy.

27 czerwcu 1949 roku zginął Władysław Łukasiuk, zabity w niezbyt chwalebnych okolicznościach przez swoich podkomendnych. Po alkoholu wdał się w strzelaninę ze swoimi żołnierzami. Według meldunku Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego w oddziale doszło do sprzeczki między „Młotem” a braćmi Dybowskimi.

Wszystko zaczęło się tuż przed imieninami „Młota” – 27 czerwca wypada Władysława. Partyzant w towarzystwie braci Dybowskich, swoich podkomendnych, przyszedł do jednego z gospodarzy, Bronisława Godlewskiego „Dęba”, zaprosić go na uroczystość, a przy okazji zamówić u jego żony domowe piwo. Godlewski ugościł „Młota” alkoholem, choć wiedział, że ten czasami dostaje po nim białej gorączki. „Młot”, znając siebie, też unikał wódki. Tym razem uległ pokusie.

Ktoś wspomniał, żeby uważać, bo na wiejskiej zabawie w szkole jest dwóch milicjantów. W „Młota” wstąpił diabeł. Nie mógł zdzierżyć, że gdzieś w pobliżu bawią się sługusi komunistów. Postanowił ich rozbroić. Bronisław Godlewski prosił, aby się uspokoił, bo przecież wyda się, z którego gospodarstwa wyszedł „Młot” i rodzinę czeka więzienie. „Młot” się jednak piekli i upierał przy swoim. Zaczął strzelać w powietrze. Gospodarz wyrwał mu karabin, a bracia Dybowscy odwlekli dowódcę w zboże. Przed domem „Młot” wymachiwał jeszcze ponoć granatem, ale też mu go odebrali.

Jakiś czas później „Młot” trochę przetrzeźwiał w polu i wysłał Dybowskich po papierosy do Godlewskich. Sam znowu przysnął pośród żyta. Kiedy się obudził, powlókł się do innego gospodarstwa. Po drodze natknął się na żołnierza z oddziału „Huzara” i wziął od niego pistolet. Razem poszli szukać Dybowskich. Kiedy tylko ich spotkali, „Młot” wyciągnął broń i zastrzelił Leopolda Dybowskiego. Wówczas wypalił do niego Czesław Dybowski.

Inni utrzymywali, że bracia Dybowscy też niejednemu zaleźli za skórę i sprawy wyglądały trochę inaczej, niż oni sami to po latach przedstawiali – bo był jeszcze trzeci, który w awanturze nie uczestniczył. „Młota” chyba też nie wszyscy szanowali za jego partyzanckie czasy. W 2006 roku mający go upamiętnić pomnik został zniszczony jeszcze przed odsłonięciem.

Po śmierci „Młota” „Huzar” – który zresztą był świadkiem strzelaniny między nim a podkomendnymi – przejął dowodzenie.

Oddziały jednak nie chodziły już razem w dużych grupach, ale dla bezpieczeństwa po kilku ludzi. 6 Brygada Wileńska mocno się skurczyła. Wielu porzuciło partyzantkę. Pod komendą „Huzara” pozostało zaledwie trzydziestu żołnierzy, z których część zwolnił do domów. Ale tymczasem przyłączali się do niego kolejni – między innymi oddział „Brzaska”. Nadal działali w niewielkich grupkach. „Huzar” miał przy sobie tylko garstkę żołnierzy.

Komuniści nie potrafili rozbić oddziału. Ludzi „Huzara” ścigały obławy UB i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW), a on wciąż wymykał się z sideł.

Pewnego dnia „Huzar” obliczył, że przez cały okres powojennej konspiracji dziewięć razy bił się z KBW, z tego sześć razy na jednego jego żołnierza przypadało dziesięciu wrogów. Rozbroił pięć posterunków milicji. Dwa razy uczestniczył w akcjach na pociągi. Osiem razy uciekał z obław, w których ścigało go ponad tysiąc żołnierzy.

Stawał się najbardziej poszukiwanym partyzantem w Polsce. W 1949 roku „Huzara” próbowały rozpracować Powiatowe Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Sokołowie Podlaskim i Ostrowi Mazowieckiej. Operacji nadano kryptonim „Rozbójnicy”.

Ale ubeckie siły szybko okazały się niewystarczające. Do działań dołączano kolejne urzędy bezpieczeństwa – w Węgrowie, Siedlcach, Wysokiem Mazowieckiem, Bielsku Podlaskim.

Statystycznie rzecz wyglądała coraz lepiej. Ubecy wyliczali, że służy im osiemdziesięciu dziewięciu agentów. Ale ilość tym razem z pewnością nie przeszła w jakość. Informatorzy UB dysponowali bardzo powierzchowną wiedzą. Nie udało się zwerbować nikogo, kto miałby bezpośrednią styczność z ludźmi „Huzara”. Ubecy aresztowali kolejnych ludzi, biciem albo

zastraszaniem, a czasem jednym i drugim, wymuszali zgodę na współpracę. Desperacko szukali nowych informatorów. Jednego upatrzyli sobie dlatego, że „zamieszkuje na skraju lasu, co odpowiada na meliny, jak również posiada trzy córki, które są moralnie złego prowadzenia”. Jednak oprócz liczb praca z agentami nie dawała żadnych wyników.

„Huzar” to osobna szkatułka V Komendy, kryjąca w sobie wiele innych, choć w pewnym sensie podobnych. Historia „Huzara” to też dzieje agentów, jakich nasyłało na niego UB. Takich jak Marian Strużyński.

Najcenniejszym donosicielem ubeków stał się jednak nastolatek, niemal dziecko, którego brat był partyzantem.

Ubecy zastraszyli go odpowiedzialnością za wspomaganie leśnej bandy. Tak zakwalifikowali listy, które pisał do brata w oddziale.

Manipulowali jego uczuciami. Wmawiali, że matka trafiła do więzienia, bo wspierała bandytów walczących z nową, lepszą Polską. Zastraszali i bili.

Kiedy podpisał zobowiązanie, nie miał jeszcze osiemnastu lat. Ubecy nadali mu pseudonim „Małachowski”. Chłopak uczył się w Gimnazjum imienia Stanisława Małachowskiego przy ulicy Małachowskiego w Płocku.

Przed świętami wielkanocnymi w 1950 roku ubecy wysłali go na poszukiwania brata ukrywającego się w oddziale pod dowództwem „Brzaska”. Odnalazł go w obozie partyzanckim w okolicach wioski Toczyski Podborne. Zjadł z nim śniadanie. Rozstali się 7 kwietnia 1950 roku. To był Wielki Piątek.

Kilka godzin później ruszyła obława KBW. Sześciuset żołnierzy i kilkanaście psów. Przeciwko ośmiu partyzantom.

Zginęło trzech. Wśród nich dowódca „Brzask”. Mówiono o nim, że może będzie następcą „Huzara”. Pozostałym udało się uciec.

Ubecy wykorzystali niepowodzenie. Mamili chłopaka, że nie zastrzelili jego brata Witolda z wdzięczności za współpracę. „Małachowskiemu” dorobiono legendę, że musi ukrywać się w lesie, bo poszukują go ubecy. Mógł więc znowu donosić na partyzantów. Aby odwrócić uwagę od „Małachowskiego”, ubecy rozpowszechnili fałszywą informację, że za wpadkę partyzantów odpowiedzialny jest jeden z żołnierzy podziemia.

Niepełnoletni jeszcze agent dostarczał informacje, dopóki nie zdekonspirowała go milicja. Pogrążył go inny donosiciel.

Kiedy ubecy wysłali go na kolejną akcję, jeden z chłopów zameldował milicjantom, że w swojej okolicy widział podejrzaną osobę. Komendant milicji z Jabłonnej ruszył w pościg i pochwycił młodzieńca. Ten od razu powiedział, że znalazł się tu za wiedzą ubeków z Sokołowa Podlaskiego. Rezolutny – jak sam sądził – komendant milicji zadzwonił do UB. Powiatowy wiceszef UB nie

bardzo orientował się w sytuacji. Nakazał zatrzymać chłopaka. Milicjanci przesłuchiwali go na komisariacie w Jabłonnie w obecności postronnych ludzi – ORMO-wców, partyjnych, a nawet przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej. Po wsi rozeszła się wieść, że milicja złapała brata znanego bandyty. Agent był więc spalony.

„Małachowski” to Czesław Białowąs. Chociaż nie nadawał się już do rozpracowywania ludzi „Huzara”, to na długie lata pozostał tajnym współpracownikiem UB. Donosił na koleżankę, która powątpiewała, że w Katyniu mordowali Niemcy. Wyrzucono ją z pracy i skazano. Meldował też o ludziach, którzy słuchali zachodnich radiostacji.

Został wicedyrektorem szkoły średniej we Wrocławiu. Był dobrym nauczycielem. Cenionym polonistą. Uczniowie podobno bardzo go lubili. Jedna z jego wychowanek zapamiętała, że co miesiąc zabierał chętnych w Sudety, a raz w roku organizował obozy wędrowne w górach.

I pisał wiersze.

Kiedy opublikowano je w „Odrze” w 1981 roku, wydawały się literacką prowokacją. Czytelnicy nie domyślali się, że ich autor zaledwie dwa lata wcześniej skończył współpracować z bezpieką – na pożegnanie dostał nawet nagrodę pieniężną. W ostatnich latach donosił na siostrę i szwagra, Niemca. Jego poetyckie metafory nie zrodziły się w wyobraźni, lecz w rzeczywistości początku lat pięćdziesiątych.

Wyskoczyłem ze szkoły
by zabić paru ludzi
(Trzeba było ich zabić
bo tak się wplątali w przeszłość
że można ich było odplątać
tylko kulą)
…I wróciłem do klasy
w granatowym ubranku
pachnący młodością
i krwią.

Historyk Kazimierz Krajewski uważa, że niemal każdy wiersz Czesława Białowąsa można połączyć z konkretnym wydarzeniem. O patrolu Arkadiusza Czapskiego „Arkadka”, następcy „Brzaska”, do którego Białowąs trafił na polecenie ubeków, ten ostatni pisał:

Gdyby „Arkadek” żył,
dalej by ludzi zabijał
pokłony by bił Ameryce

i modlił się do atomów

Gdyby „Arkadek” żył,
nie pisałbym tego wiersza
tylko by wrzosy pachniały
na moich zbutwiałych kościach.

Na poetycki sposób piętnował swojego starszego brata Stanisława, żołnierza podziemia:

Uczyłem się tabliczki mnożenia
mnożąc tych, których brat pozabijał,
przez czekających w domach na zabicie.

Pisał też o procesie sądowym drugiego brata Witolda Białowąsa „Litwina”, którego śledził na polecenie ubeków:

I wbiegł na salę sądową
gdzie w blasku reflektorów
bez melodii leśnych piosenek
każdy wyrok wyglądał jak morderstwo
rekwizycja wyglądała jak rabunek
a on na sądowej scenie
nie był romantycznym aktorem
co zrozumiał za dziesięć lat
na ostatnim więziennym spacerze.

Nie udało się jedynie ustalić imienia i nazwiska partyzanta zamordowanego przez ubeków:

Zastrzelili go z jego „Visa”
i wrzucili do Bugu

Ja wiem, że to niełądnie
że nie tak się zabija;
ale mogli go skopać przed śmiercią
a tego nie uczynili;
mogli mu zęby wybić
a zginął z wszystkimi zębami.

Czesław Białowąs debiutował poetycko w „Sztandarze Młodych” w 1950 roku – tym samym, w którym został donosicielem.

Pierwszy tomik poetycki, *Z codziennych polemik*, opublikował w 1955 roku. Kończył wówczas filologię polską. Działał w Związku Młodzieży Polskiej, trafił do Zarządu Wojewódzkiego we Wrocławiu. Wydelegowano go na II Ogólnoniemiecki Zlot Młodzieży w Berlinie. W *Do matki* napisał:

Ale jakże pomieścić w listach
To, czym żyję tutaj co dnia?
Czemu syn Twój chce być komunistą
Nie zrozumiesz z kilku zdań.

Czesław Białowąs zmarł w grudniu 1981 roku, trzy dni po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Wątek poświęcony mu w serwisie Nasza Klasa nosi tytuł: *Tragiczna historia naszego wychowawcy*.

Minęło sześć lat od końca wojny, a Kamieński wciąż dowodził partyzantką. We wsiach żołnierze KBW nękali ludzi podejrzewanych o wspieranie „Huzara". Jego samego dopaść nie mogli. Taka jest specyfika walki z partyzantką – grupy pościgowe muszą być wielokrotnie większe niż czający się w lesie konspiratorzy.

Rozbicie oddziałów, choć trudne, dałoby jednak tylko doraźny efekt. Ubecy liczyli na więcej – próbowali uzyskać kontrolę nad partyzantami, aby wykorzystać ich w swojej operacji. To mocniej uwiarygodniłoby V Komendę wobec Delegatury i zachodnich wywiadów.

W sierpniu 1951 roku ubecki informator Janusz Terlikowski złapał kontakt z osobą, która pomagała wchodzącemu w skład NZW oddziałowi Kazimierza Krasowskiego „Głuszca". Terlikowski działał w konspiracji od lat wojny. Był członkiem AK w Bielsku Podlaskim, a potem WiN. Po aresztowaniu w 1949 roku podpisał zobowiązanie o współpracy z UB. Nosił pseudonimy „Ryglewski", „Rytel", „Zandram". Udało mu się spotkać z samym „Głuszcem". Wtedy właśnie swoją sieć fikcji wokół „Huzara" zaczęli tkać już funkcjonariusze z Warszawy, z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a nie z powiatowych urzędów.

Agent przedstawił się jako wysłannik organizacji dywersyjnej. Zaproponował „Głuszcowi", by się jej podporządkował. Dodał, że jego mocodawcy pozostają w kontakcie z Zachodem, ale stronią od polityki.

Ubecy wprowadzili do gry kolejnego tajnego współpracownika – Mariana Obniskiego, który podawał się za konspiracyjnego przełożonego „Rytla". Wcześniej rzeczywiście dowodził Pomorskim Okręgiem WiN.

„Głuszec" opowiedział im o sytuacji w terenie, podając liczbę oddziałów zbrojnych. Szpiedzy bezpieki nakłaniali go do przerwania działalności zbrojnej,

a dla uwiarygodnienia, że są wysłannikami antykomunistycznego podziemia, zażądali przekazania spisu znanych „Głuszcowi” agentów UB. Domagali się też kontaktu z „Huzarem”.

Popełnili jednak błąd. W Departamencie III MBP rozpracowaniem „Głuszca” zajmowały się dwa wydziały. I prawdopodobnie w wyniku braku współpracy między nimi wysłano do Krasowskiego również innego agenta Włodzimierza Awramienkę, który przedstawił się jako posłaniec konspiracyjnego Stronnictwa Narodowego. Odnalazł „Głuszca” we wrześniu 1951 roku dzięki kontaktowi z proboszczem parafii w Grannem księdzem Aleksandrem Szafarskim.

Awramienko był bardzo wiarygodny. Podczas wojny w konspiracji, wówczas pod pseudonimem „Dunajewski”, pełnił funkcję szefa Wydziału I Organizacyjnego Komendy Białostockiego Okręgu NZW. Kiedy ujawnił się w 1947 roku, ubecy wytypowali go do werbunku. Tak stał się agentem „Cedr” i „C-2”.

Zgłosił się do „Głuszca”, ten jednak nabrał poważnych podejrzeń. Choć przeszłość przemawiała na korzyść Awramienki, to jego misji zaszkodził nadmiar zainteresowanych. Krasowskiemu prawdopodobnie wydało się dziwne, że nagle dwie różne organizacje podziemne próbują z nim nawiązać kontakt. Przecież przez długie miesiące działał w leśnej samotności.

Awramienko próbował lawirować między „Głuszcem” a UB. Zerwał kontakt ze wszystkimi i uciekł na Białostocczyznę. Potem wrócił do oddziału, a tam wydobyto z niego informację, że został agentem. „Głuszec” go zastrzelił.

„Głuszca” aresztowano 8 września 1953 roku i skazano na karę śmierci. Wcześniej jednak próbował ostrzec „Huzara” przed kontaktem z wysłannikami fikcyjnego dowództwa podziemia. Historyk Tadeusz Łabuszewski obliczył, że przeciwko dwudziestokilkuosobowemu oddziałowi „Huzara” bezpieka prowadziła jednocześnie pięć tajnych operacji, jedne w powiatowych Urzędach Bezpieczeństwa, kolejne w centrali w Warszawie.

Kiedy kolejni wysłannicy, podający się za emisariuszy WiN, dotarli do „Huzara”, ten okazał się bardzo nieufny. Działał wiele lat w konspiracji, trudno więc było go podejść. Nie wiadomo, czy dotarło do niego ostrzeżenie „Głuszca”. Nie wiedział też raczej, że ten wpadł przez agentów bezpieki.

Pierwszy przybył do „Huzara” Janusz Terlikowski. Nawiązał kontakt dzięki referencjom księdza Kaczyńskiego, który był jego kolegą ze szkolnej ławy, i dzięki braciom Dybowskim, mieszkającym w Ciechanowcu byłym żołnierzom „Młota”.

Terlikowskiemu udało się przekonać „Huzara” – znali się jeszcze z czasów okupacji – że pod konspiracyjnym pseudonimem „Rytel” działa w WiN.

Powoływał się na dowództwo V Komendy WiN, zwanej wówczas „Uniwersytetem”.

„Huzar” i „Rytel” spotykali się zwykle w miejscowości Łapy. „Huzarowi” polecono podporządkować sobie inne grupy działające w okolicy. Wtedy pod jego komendą znalazł się między innymi „Głuszec”.

„Rytel” zalecał ograniczenie działalności zbrojnej. Według niego powinni się skoncentrować na wysłaniu ludzi za granicę na przeszkolenie, po którym mogliby dowodzić podziemnymi oddziałami. Tymczasem „Huzar” miał przygotować dwa, trzy bunkry, w których przetrwa zimę. I wyznaczyć miejsca do zrzutów z samolotu.

Do akcji wkraczali następni wysłannicy kontrolowani przez UB. Czasami nieświadomi roli, jaką odgrywali. Agenci bowiem w swoją siatkę fikcji wplatali też prawdziwych żołnierzy podziemia, którzy nie wiedzieli, że tak naprawdę wykonywali polecenia bezpieki.

Wysłano do Kamieńskiego Aleksandra Grubę „Bacę”, wcześniej oficera Kedywu Podokręgu AK Rzeszów – nie zdawał sobie sprawy, że manipuluje nim UB. Wśród emisariuszy był również Stefan Sieńko, szef Biura Studiów V Komendy. Do „Huzara” skierowano też Stanisława Rybickiego, raz „Bartłomieja”, kiedy indziej „Kosa”, podającego się za komendanta Obszaru Centralnego WiN.

Z nich wszystkich „Huzar” wcześniej znał tylko Edwarda Wasilewskiego. Spotykali się podczas okupacji na terenie województwa białostockiego. „Huzar” wprawdzie zgodził się na kontakty z WiN, ale pozostawał bardzo nieufny. Powtarzał, że UB już wiele razy nasyłało na niego swoich agentów. Ustalił, że z wysłannikami spotykać się będzie w jego imieniu jedynie łączniczka i to tylko wtedy, gdy on sam o tym zadecyduje.

Emisariusze przekazywali mu informacje o V Komendzie WiN, składającej się rzekomo z obszarów i okręgów. Centralny obszar nosił kryptonim „Akademia”, a ten, któremu miał podlegać „Huzar” – „Bursa”.

Ubecy nie śpieszyli się z aresztowaniem. Zdawali sobie sprawę, że nawet otoczony agentami, na swoim terenie będzie wciąż trudny do pokonania.

Próbowano go zwabić do Warszawy. Początkowy kontakt tylko przez łączniczkę odpowiadał ubekom. Jej niezakłócane niczym wyjazdy do Warszawy i powroty oswajały „Huzara” z myślą, że w stolicy można zorganizować bezpieczną kryjówkę.

Do Kamieńskiego wysłano też szefa dywersji obszaru „Akademia”, który nie był agentem UB, ale autentycznym członkiem WiN, choć manipulowanym przez ubeków. To było ważne spotkanie, bo ów wysłannik bez lęku przed

rozszyfrowaniem prawdziwej roli – czego zawsze obawiali się agenci – szybko zdobył zaufanie „Huzara”.

Dzięki temu ubecy zrobili kolejny krok. W MBP postanowiono, że trzeba „Huzara” mianować – rzekomo w imieniu WiN – dowódcą Okręgu Wschód „Bursa”. Zlecano mu coraz trudniejsze zadania. Nakazano wytypowanie kierowników cywilnej siatki i zawalono biurokratycznymi obowiązkami, które przerastały możliwości jednego człowieka. Wsparto go też finansowo.

„Huzar” potrzebował kogoś, kto pełniłby funkcję szefa sztabu Okręgu Wschód „Bursa”. Ubecy podesłali mu Mariana Strużyńskiego – „Artura”, swojego szpiega w Delegaturze. „Huzar” nie mógł jednak o tym wiedzieć. Nie miał własnej sieci łączności z Zachodem.

Oderwanie od polskich ośrodków emigracyjnych, a nawet brak komunikacji pomiędzy oddziałami konspirującymi w różnych częściach Polski pozwalały ubekom używać tych samych agentów w różnych miejscach w odmiennych rolach.

Pierwszy raz Kazimierz Kamieński „Huzar” i Marian Strużyński „Artur” spotkali się we wsi Niemyje Nowe w domu Kowalskich. „Huzar” wypytywał Strużyńskiego, którędy do niego jechał, czy jest sam, czy w drodze nie napotkał wojska.

Po kilku minutach przenieśli się do budynku naprzeciwko. We dwóch usiedli przy stole, a z tyłu obserwowali ich dwaj podkomendni „Huzara”.

„Huzar” badał wojenną przeszłość Strużyńskiego. Agent jak zwykle mieszał prawdę z fikcją. Opowiadał o AK-owskiej partyzantce w Górach Świętokrzyskich, a potem o konspirowaniu na Śląsku i południu Polski.

Strużyński przypomniał, że przybył się przedstawić jako nowy szef sztabu. Dowództwo WiN zamierza podporządkować sobie jak najwięcej grup leśnych, które do tej pory działały bez krajowego zwierzchnictwa. Wszystko po to, żeby koordynować ich akcje i pomóc im w przetrwaniu do nadciągającej wojny, która przyniesie wyzwolenie. Ten nadzór powinien uchronić grupy przed niepotrzebnymi, ryzykownymi akcjami, bo najważniejsze było wystawienie jak największej liczby żołnierzy po wybuchu III wojny światowej.

Do „Huzara” wysłano na inspekcję agenta udającego komendanta obszaru WiN o kryptonimie „Akademia”. Znacznie starszego od innych otaczających partyzanta donosicieli. Zakładano, że już sama jego postawa wzbudzi u „Huzara” szacunek i posłuch.

„Komendanta wyuczono roli – przeczytałem w tajnym ubeckim opracowaniu, które wiele lat po akcji napisał Marian Strużyński. – Przygotowanie spotkania było tak dalece przemyślane i w takich szczegółach

opracowane, że przewidzieliśmy moment spotkania i poleciliśmy agentowi nie podawać »Huzarowi« ręki, póki ten nie złoży mu raportu.

Po tym spotkaniu agent powiedział nam, że ten szczegół bodajże zadecydował o przebiegu rozmowy. Gdy przyszedł, »Huzar« szedł naprzeciw z otwartymi ramionami. On przyjął pozycję zasadniczą i powiedział: Panie komendancie, czekam meldunku. »Huzar« speszył się, ale natychmiast stuknął obcasami i zameldował. Wtedy serdecznie i po staropolsku się przywitali, po czym usiedli do stołu. »Huzar« przez cały czas kilkugodzinnej rozmowy był pełen szacunku dla swego gościa, a już zupełnie go sobie agent kupił, gdy przy kolacji niby niechcący odsłaniał pewne tajemnice swej kariery wojskowej, opowiadając o legionach, o 1920 r., sypiąc dowcipem wojskowym, a szczególnie kawaleryjskim (»Huzar« służył w kawalerii)".

Zacieśnianie ubeckiej sieci wokół „Huzara" trwało kilka miesięcy. Z Warszawy przyjeżdżali do niego rzekomi szefowie dywersji, wywiadu, łączności. Krążyli łącznicy. Sfałszowano nawet pieczęcie V Komendy.

Powodowało to jednak problemy: agenci często nie wiedzieli, kto oprócz nich pracuje dla UB. Czasami więc nieświadomie, dla uwiarygodnienia siebie, rzucali podejrzenie na kogoś innego, kto rzeczywiście był szpiegiem. A przecież jeszcze w to wszystko wmanipulowano autentycznych członków WiN, którzy nie zdawali sobie sprawy, że odgrywają napisaną dla nich przez UB rolę.

Przeciwko „Huzarowi" działały też nadal oddziały wojskowe, jak przeciwko każdej leśnej grupie. Wypierały go z terenów, które wcześniej uważał za bezpieczne.

W zorganizowanych akcjach operacji „Narew" wystąpiło aż siedem batalionów KBW i Grupa Operacyjna „Bug". Razem trzy i pół tysiąca żołnierzy i setki milicjantów oraz ubeków. A po drugiej stronie garstka partyzantów.

„Huzar" wciąż się opierał i przedstawiał plany akcji odwetowych. Tymczasem agenci UB sugerowali wyjazd z Białostocczyzny – dostarczono mu fałszywy dokument z fotografią i kartę meldunkową. Po to, aby mógł w przyszłości dotrzeć do stolicy pociągiem.

Wreszcie „Huzara" zwabiono do Warszawy. Zamieszkał w kryjówce, pod okiem starszej gospodyni. Cały czas obserwowało go UB, ale poruszał się po mieście swobodnie. Wychodził z domu o dowolnych porach i wracał, kiedy chciał. Wprowadzono jednak kolejnego – jak wyliczyli ubecy, już szóstego – agenta. Ten podawał się za szefa sztabu obszaru centralnego.

Planowano wysłać za granicę dwóch żołnierzy z grupy „Huzara". Wyraził zgodę na ich przerzut do Delegatury na przeszkolenie – takie jak kiedyś w przypadku Stefana Skrzyszowskiego i Dionizego Sosnowskiego. Pierwszy z przewidzianych do tej misji sierżant „Żubryd" był przedwojennym kapralem

artylerii, mężczyzną o imponującej postawie, wielkiej sile i odwadze, sprytnym, wygadanym, a przy tym zdyscyplinowanym. Drugim był plutonowy w wieku około trzydziestu lat. Podobnie jak „Żubryd” ukończył siedem klas szkoły podstawowej.

Przez ostatnie dni na wolności „Huzar” był już nie do poznania. On również szykował się do ucieczki. Zgolił wąsy, ubierał się w futro, nosił okulary i kapelusz.

„Huzara” aresztowano 28 października 1952 roku.

Wyszedł z tajnej kwatery na Mirowie razem z agentem UB „Pewnym”. Przeszli między blokami na skrzyżowanie ulic Świerczewskiego i Nowotki. „Pewny” sam ruszył na plac Dzierżyńskiego, rzekomo po taksówkę.

„Huzar” został pod filarami domu. Po chwili obok zjawiła się ciężarówka z murarzami i malarzami. Wyładowywali wiadra i drabiny. Jeden z robotników niby przypadkowo trącił czekającego wiadrem z farbą. Wywiązała się sprzeczka. Robotnicy naparli na „Huzara”, a ten, zdaje się, już pojął, że ma do czynienia z przebranymi ubekami. Próbował nawet użyć broni, ale wcześniej na konspiracyjnej melinie podmieniono mu amunicję na ślepą.

Dwa dni później, 30 października, we wschodnich Niemczech aresztowano „Żubryda”, który – cały czas pod niewidzialną kontrolą bezpieki – zmierzał do Delegatury Zagranicznej WiN.

Pokazowy proces Kazimierza Kamieńskiego „Huzara” odbył się w 1953 roku w Łapach. Na śmierć razem z nim skazano pięciu jego podkomendnych. W akcie oskarżenia napisano o nich, że to kułacko-faszystowskie niedobitki, hitlerowscy kolaboranci i konfidenci. A „Huzar” to „płód sanacyjnego, faszystowskiego wójta”. 11 października 1953 roku wyrok wykonano.

Proces był dalszym ciągiem operacji UB. Teraz celem było wyciągnięcie z całej akcji politycznych korzyści.

„Gdybyśmy »Huzara« zabili w potyczce, szła by za nim legenda, a dziś wszyscy znają go jako tchórzliwego mordercę, otoczonego gestapowcami i zwyrodniałymi dusicielami” – napisał prawdopodobnie Marian Strużyński w ubeckim dokumencie.

Łączniczkę, która nie miała nic wspólnego z MBP, pozostawiono na wolności. To była też świadoma zagrywka UB, aby ukryć prawdziwych agentów. „Huzar”, gdy zobaczył ją wśród publiczności na sali sądowej, podobno powiedział:

– Teraz wszystko rozumiem, u mnie takiego palta nie miała.

Mylił się bardziej, niż potrafiłby sobie wyobrazić. Ale nie on jeden. Jeszcze bardziej wykiwano tego, który go naprawdę wsypał – Mariana Strużyńskiego.

7

Ktoś mu, Marianowi Strużyńskiemu „Arturowi”, musiał wreszcie wyznać prawdę.

– Słuchaj, nie było żadnego WiN. Żadnego podziemia. Żadnej V Komendy. Byli tylko nasi agenci, którzy udawali konspirację. Tacy jak ty.

Może nie od razu zrozumiał? Nie uchwycił sensu tych zdań? Przecież wywracały cały świat do góry nogami.

Co to znaczy, że nie było żadnej V Komendy? Przecież sam przyjmował rozkazy od oficerów WiN. Przecież to „Zygmunt” – „Jot”, wysłał go do Delegatury.

– To nasi ludzi podawali się w rozmowach z tobą za WiN-owców – pewnie mu tłumaczyli. – Nawet ci, którzy w imieniu WiN wysłali cię za granicę.

„Zygmunt” – „Jot” był w rzeczywistości ubekiem. Szpiedzy takie działanie nazywają grą „w ciemno”. A używając innego fachowego określenia, agentami urząd posługuje się tu „kapturowo”.

Czy „Artur” poczuł się wówczas oszukany? Czy raczej dopuszczony do kolejnego kręgu wtajemniczenia? W świecie, w którym się znalazł, niczego nie można być pewnym. Oszukiwał nie tylko agent „7”. Okantowano również jego.

Drugie spotkanie ze szpiegiem. W tej samej kawiarni. Marian Strużyński nie był w formie, spadło mu ciśnienie: 90/50. Miał dwa zawały. Wydzielał sobie papierosy, łamał je na pół jak kiedyś Władysław Gomułka. Wyliczał, że w czasie naszej dwugodzinnej rozmowy wypalił tygodniową dawkę.

Układał przede mną całą historię, tak jak kiedyś sam musiał ją sobie poukładać. Jak wyglądała w rzeczywistości, a nie w fikcyjnym świecie gier wywiadów.

– Moja rola zaczęła się w 1950 roku – opowiadał Strużyński.

„Obudzono” go jako agenta, gdy ubecy postanowili wysłać swojego szpiega do Delegatury Zagranicznej WiN. Choć zgodził się pojechać na Zachód, ukrywano przed nim szczegóły całej operacji. Również to, że V Komenda jest mistyfikacją. Utrzymywano go w przekonaniu, że zostanie emisariuszem prawdziwego WiN. A nawet tak pokierowano wydarzeniami, aby był stuprocentowo pewny, że choć jest szpiegiem, to jedzie jako wysłannik autentycznego podziemia.

– Od oficera MBP dostałem kontakt na Kraków, na osobę z WiN – wyjaśniał mi Marian Strużyński. – Ona dała mi warszawski adres ważnego oficera z WiN. Od niego dostałem polecenie, żeby jechać jako emisariusz do Delegatury Zagranicznej WiN w Niemczech. Dostałem szczegółowe instrukcje. Poszedłem do Leona Andrzejewskiego, który kierował III Departamentem MBP. On zmienił instrukcje tak, żeby pasowały kontrwywiadowi. Po latach dowiedziałem się, że tą ważną osobą z WiN, która kierowała mnie na Zachód, był Henryk Wendrowski, w rzeczywistości też pracownik MBP. Nawet mnie oszukiwano. To logiczne. Gdybym wpadł, wiedząc, że to wszystko jest fikcją, tobym rozszyfrował całą operację. A tak może przyznałbym się, że jestem agentem, ale potwierdził, że WiN rzeczywiście istnieje.

Marian Strużyński był więc przekonany, że spotyka się z autentycznym oficerem WiN, który instruuje go przed misją do Delegatury. W rzeczywistości to oficer MBP spotykał się z nim wieczorami i przekazywał informacje o V Komendzie. Cała droga przerzutu na Zachód również miała Strużyńskiego upewnić w przekonaniu, że przedziera się w imieniu prawdziwej podziemnej organizacji.

Marian Strużyński „Artur” kierował też pracą kilku autentycznych członków WiN. „Baca” na jego rozkaz jeździł jako inspektor do spraw „Bursy” na spotkania z „Huzarem” i zalecał mu ograniczenie działalności zbrojnej. Zakazywał zabójstw i wciągania nowych ludzi do organizacji. Przywoził pieniądze i nowe instrukcje. Potem informował „Artura” o nastrojach w oddziale „Huzara”. O jego obawach, kłopotach z brakiem miejsc na kwatery. A Strużyński meldował o wszystkim ubekom.

Zadania były wielkie – jak podróż na Zachód i szpiegowanie „Huzara”. Albo całkiem małe – jak towarzyszenie kurierce, która wciągała do rzekomej organizacji studentów: Zygmunta Brudnego i Zbigniewa Pieczonkę. Wykorzystywano ich później do odbierania nocnych zrzutów z samolotów.

Operacja wymagała stałej koncentracji. Zmieniały się pseudonimy i role. Niekiedy spotykali się dwaj ubecy, obaj sądzący, że ich rozmówca jest autentycznym członkiem WiN. W akcję wmanipulowano wielu agentów i funkcjonariuszy.

Po latach Strużyński doszedł do wniosku, że już wtedy, w 1952 roku powinien nabrać podejrzeń. Zbliżały się wybory do sejmu. Strużyński jako żołnierz rzekomego podziemia wymyślił, żeby przeprowadzić akcję odznaczającą się wielkim rozmachem – wysadzić pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Ale rzekomi współtowarzysze z podziemia zaczęli studzić jego

zapały, odwodzić go od tego pomysłu. Potem się zorientował, że ubecy obawiali się, iż podziemie, które sami stworzyli, wymknie im się spod kontroli.

– Co pan robił po powrocie z Monachium, poza szpiegowaniem skoczków i „Huzara”? – zapytałem.

– Dalej wykorzystywano mnie w tej operacji – wspominał Marian Strużyński. – Na polecenie rezydentury amerykańskiego wywiadu przekazane przez Delegaturę Zagraniczną WiN miałem budować kanał do przerzucania kurierów z Polski do Związku Radzieckiego. Dostałem kontakty na WiN-owców w Hajnówce, w Bielsku. Kiedy zbudowałem kanał, okazało się, że ci wszyscy ludzie byli już wcześniej współpracownikami UB. Innym razem Leon Szymański, oficer MBP, na konspiracyjnym mieszkaniu przekazywał mi materiały, a ja je dawałem Stefanowi Sieńce „Wiktorowi”.

– Kto był „Kosem”? – spytałem o osobę, która miała rzekomo dowodzić V Komendą.

– Nie wiem. Mówiło się o jakimś starszym panu, łysawym.

Strużyński wiedział jednak, że w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego były dwie osoby, które odegrały najważniejsze role w tej prowokacji: Leon Andrzejewski i Henryk Wendrowski.

Obaj w pewnym okresie nadzorowali całą operację. Ale szczególnie interesujący był dla mnie Henryk Wendrowski. Rozmawiając z różnymi ludźmi o V Komendzie, nabrałem przekonania, że to człowiek, który kilka razy wcielał się w postać „Kosa”. Jednak w tej historii nigdy nie można być niczego pewnym do końca.

8

Rok 1948. Jeśli wierzyć oficjalnej propagandzie, cały kraj żył powstaniem PZPR. Jeśli wierzyć podziemiu, wszyscy czekali na III wojnę światową.

Wtedy właśnie powstała fikcyjna V Komenda WiN. Działała pięć lat. Dwa razy dłużej niż cztery poprzednie, autentyczne komendy. Wciąż nie potrafię w to uwierzyć. Pięć lat Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego oszukiwało Delegaturę Zagraniczną WiN, a za jej pośrednictwem Amerykanów! Jak to możliwe, że początkujący pracownicy komunistycznych służb specjalnych wywiedli w pole polskich oficerów i doświadczony zachodni wywiad?

Jeden trop wydaje się tu szczególnie istotny: ubecy doskonale znali psychikę żołnierzy Armii Krajowej pracujących w Delegaturze. Kilka głównych postaci prowokacji – między innymi „Kos", „Zygmunt", „Artur" – było wcześniej członkami AK.

To tylko pozornie zaskakujące. W komunistycznym aparacie represji znalazło się sporo byłych AK-owców. Pełnili nawet funkcje w ówczesnym – tak zwanym – wymiarze sprawiedliwości. Był to między innymi sędzia Mieczysław Widaj – skazał na śmierć osiemdziesiąt osiem osób, wykonano czterdzieści sześć wyroków. Orzekł kary śmierci między innymi dla Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" i lotnika Stanisława Skalskiego (temu ostatniemu potem karę złagodzono). Widaj skazał na śmierć również partyzanta Kazimierza Kamieńskiego „Huzara", wmieszanego w podległość V Komendzie. Wcześniej we lwowskiej konspiracji Widaj był oficerem łączności. W sporządzanych po wojnie życiorysach ukrywał przynależność do AK.

Jan Hryckowian walczył we wrześniu 1939 roku, a potem konspirował w AK w Krakowie, Rzeszowie, Przemyślu. Wydał wyrok śmierci na rotmistrza Witolda Pileckiego. W tej sprawie oskarżał prokurator Czesław Łapiński, również były AK-owiec.

Jan Kołodziej dowodził batalionem AK w obwodzie krakowskim. Po wojnie skazał na śmierć dwadzieścia osób. Wyroki wykonano na czterech.

Franciszek Szlachcic wspominał jednego ze swoich kolegów ubeków: „W Brzesku kierownikiem był por. Jan Helbin, w 1945 roku razem pracowaliśmy w Chrzanowie. Był odważny i mądry, lecz miał pewien kompleks. W czasie okupacji był członkiem AK i ukrył ten fakt, bo by go nie przyjęto do pracy w organach. Znałem ten fakt. Był też bardzo uczuciowy,

gotów nawet się rozpłakać, gdy widział, że komuś dzieje się krzywda. Zawsze po paru kieliszkach się rozczulał, gdy śpiewano marynarskie pieśni, zwłaszcza *Morze, nasze morze*. Przed 1939 rokiem służył w polskiej Marynarce Wojennej. Dzięki jego umiejętnościom zlikwidowano kilka band, zapobieżono napadom i rozwiązano kilka samorzutnie organizujących się wrogich grup".

W pewnym więc sensie AK-owcy walczyli z AK-owcami. Żołnierze wyklęci i przeklęci.

Historia V Komendy naznaczyła też losy Adama Boryczki. Żaden z więźniów politycznych lat stalinizmu nie siedział tak długo jak on – aż do drugiej połowy lat sześćdziesiątych.

Adam Boryczka – jedna z najważniejszych szkatułek V Komendy – używał też konspiracyjnych personaliów Zygmunta Radziszewskiego, a posługiwał się pseudonimami „Adam", „Albin", „Zdzich" i „Zdzisław". Ich pierwsze litery: „A" i „Z", wieszczyły, że towarzyszyć będzie jakiemuś początkowi i końcowi. I tak właśnie było z V Komendą.

– Adam siedział w Rawiczu, Strzelcach Opolskich, na koniec we Wronkach – opowiadała mi w latach dziewięćdziesiątych Józefa Adamczyk, towarzyszka jego ostatnich lat życia. – W sumie trzynaście lat, do 1967 roku. Prowadził głodówki. Miał na czole bliznę po pobiciu. Opowiadał, jak wrzucali go nagiego do celi z zimną wodą, świecili po oczach lampami. Kazali mu się rozbierać, szufladą ściskali narządy.

Józefa Adamczyk nie kryła wzruszenia, gdy wspominała Adama. Towarzyszyła mu również w ostatnich dniach, ciężko chorował na nowotwór.

Adama Boryczkę aresztowano w 1954 roku, zarzucono mu współpracę z Niemcami. Skazano na dożywocie.

Rzecz jasna prawdziwy powód kary był zupełnie inny.

W 1967 roku Radę Państwa zalały listy z prośbami o uwolnienie Boryczki. Wśród podpisów znalazły się dziesiątki nazwisk i pseudonimów AK-owskich: „Wiking", „Rojec", „Warta", „Kruk", „Grzmot", „Agaton". Pisali również inni: Antoni Pajdak, działacz PPS, były zastępca Delegata Rządu RP na Kraj, oraz literaci Melchior Wańkowicz, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz i Jan Dobraczyński. Pisarz Wojciech Żukrowski oceniał: „Polskę Ludową stać na wielkoduszność, jest zbyt mocna, by musiała aż po zgon trzymać pod kluczem Boryczkę".

Już dziesięć lat wcześniej, w okolicach roku 1956 uwolniono większość osób niesłusznie skazanych. Boryczka był chyba ostatnim więźniem politycznym okresu stalinizmu. Czyżby wiedział coś, co należało tak długo trzymać w tajemnicy?

Tym czymś mogła być właśnie szpiegowska gra wokół V Komendy. Ubecy nazwali ją operacją „Cezary”.

Po aresztowaniu IV Komendy pod dowództwem Łukasza Cieplińskiego – uwięziono go 28 listopada 1947 roku – ubecy zorientowali się, że w Londynie istnieje Delegatura Zagraniczna WiN stworzona przez ludzi przerzuconych z Polski, której to Delegaturze szefuje Józef Maciołek.

Ubecy przechwycili zawiadomienie, że Delegatura wkrótce wyśle do Polski swojego kuriera „Tońkę”. To właśnie był Adam Boryczka.

Wiadomość owa podsunęła UB iście szatański plan – stworzenia fikcyjnej organizacji, która będzie udawała podziemny WiN. Wydawało się to realne. Prawdziwy rozbiły aresztowania. Ludzie i oddziały terenowe krążyli w rozsypce. Można było więc spróbować w skrwawione resztki wstrzyknąć jad – swoich ludzi. Z czasem zaś nowotwór powinien zawładnąć całym organizmem.

Cele były dwa: zagraniczny i krajowy. Zagraniczny to dezinformowanie Delegatury, a krajowy – przechwycenie kontroli nad resztkami leśnych oddziałów. Takimi jak ten Kazimierza Kamieńskiego „Huzara”.

Operacją „Cezary” w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego na początku zajmowali się Henryk Wendrowski, Roman Wysocki i Jan Wołkow, pracujący przy rozbiciu IV Komendy. Nad całością trzymał pieczę Jan Tataj, dyrektor Departamentu III. Potem zastąpili go Józef Czaplicki i Leon Andrzejewski, wicedyrektor tego departamentu. O rozwoju operacji informowano wiceministra Konrada Świetlika nadzorującego ich pracę, innych wiceministrów i ministra bezpieczeństwa publicznego, a także Bolesława Bieruta. Grono osób znających prawdę o polskim podziemiu było bardzo wąskie.

Operacja „Cezary” rozpoczęła się od zmanipulowania Adama Boryczki.

W kwietniu 1948 roku na spotkanie z kurierem Adamem Boryczką, właśnie przybyłym z Zachodu, z Delegatury Zagranicznej WiN, wysłano „Zygmunta”, który podał się za rzekomego członka krajowego kierownictwa zrzeszenia. W rzeczywistości był to Henryk Wendrowski, funkcjonariusz MBP.

Choć przyjechał z listami polecającymi wystawionymi przez autentycznego członka WiN, Boryczka nie obdarzył „Zygmunta” pełnym zaufaniem. Nigdy wcześniej nie spotkali się osobiście.

Wówczas postawiono wszystko na jedną kartę. Do gry wprowadzono agenta, którego udało się pozyskać niedawno. Ryzykowano. Po pierwsze, agent to z założenia osoba mniej zaufana niż etatowy funkcjonariusz. Po drugie, zwerbowano go niedawno, co stwarzało ryzyko nielojalności. Co prawda to on

właśnie sporządził list polecający dla „Zygmunta”, ale co innego pismo, w którym ubecy mogli sprawdzić każde słowo, a co innego osobiste spotkanie z kurierem Boryczką, kiedy każdy najdrobniejszy gest, rzucone mimochodem zdanie albo słowo mogły okazać się ustalonym wcześniej znakiem, że ów człowiek został zmuszony do współpracy.

Ten agent miał też inną wadę – był stosunkowo młody. Nie można było go więc przedstawić jako działacza najwyższego szczebla. Z pewnością nie nadawał się do odegrania roli nowego dowódcy WiN.

Ale ów świeżo pozyskany współpracownik miał też co najmniej jedną fantastyczną zaletę. Od wielu lat znał się bardzo dobrze z pułkownikiem Józefem Maciołkiem. Razem działali w wojennej konspiracji. Byli nawet skoligaceni. Zapewne nikomu w Polsce Józef Maciołek nie ufał tak bardzo, jak człowiekowi, który właśnie stał się agentem UB. Mieli ustalone własne sposoby przekazywania sobie informacji w razie wpadki.

Agentem tym był Stefan Sieńko „Wiktor”.

Bez Sieńki operacja zapewne spaliłaby na panewce. Ale jednocześnie wielu ludzi nie straciłoby życia – albo zginęliby z innego powodu niż operacja „Cezary”. Żaden inny agent UB nigdy w historii Polski nie uczynił takiego spustoszenia w antykomunistycznej opozycji jak Stefan Sieńko.

Adam Boryczka urodził się 18 września 1913 roku w Wierzchosławicach, znanych w Polsce jako rodzinna wieś słynnego ludowego przywódcy Wincentego Witosa. Ojciec Boryczki Józef też był działaczem chłopskim, długi czas z Witosem blisko współpracował. Działał w Kółku Rolniczym. Był komendantem straży pożarnej. Należał do założycieli kasy Stefczyka w Wierzchosławicach i pełnił funkcję zastępcy jej przewodniczącego. Ale potem Józef Boryczka zawiódł Witosa. Gdy prezesa ludowców sądzono w 1931 roku w procesie brzeskim, został wójtem komisarycznym w Wierzchosławicach. Witos uznał, że Józefa Boryczkę „łakomstwo na złe drogi poniosło”.

Rodzinna gospodarka była niewielka – około dziewięciu hektarów ziemi. Dorabiali więc innymi zajęciami.

Adam w młodości wstąpił do harcerstwa, zdobył stopień ćwika. Uczył się w Gimnazjum imienia Hetmana Jana Tarnowskiego w Tarnowie. Po nim zaliczył w Krakowie szkolenie wojskowe na dywizyjnym kursie w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty przy 20 Pułku Ziemi Krakowskiej. Dzięki temu zatrudnił się jako instruktor przysposobienia wojskowego w gimnazjum, które wcześniej ukończył. Kiedyś też dorywczo handlował, bywał murarzem,

kowalem, ślusarzem. Brak stałego zatrudnienia wynikał z kryzysu lat trzydziestych.

Potem jednak zmienił mundur. Po harcerskim i wojskowym przywdział strażacki. Skończył kursy pożarnictwa. Jako zwykły strażak, a później już dowódca plutonu, pracował w Państwowej Fabryce Związków Azotowych w Mościcach pod Tarnowem. Awansował na podporucznika pożarnictwa, a w styczniu 1937 roku także na podporucznika rezerwy piechoty. Do czynnej służby jednak się nie nadawał ze względu na zły stan zdrowia.

Nie zmobilizowano go przed wrześniem 1939 roku ze względu na zatrudnienie. 6 września znalazł się w Ośrodku Zapasowym 6 Dywizji Piechoty w Tarnowie. Walczył w batalionie marszowym 16 Pułku Piechoty, został ranny pod Gródkiem Jagiellońskim.

Gdy Polska już padała, przedostał się do Rumunii, gdzie internowano go w obozie w Tîrgu Jiu. Tu objawił się nieznany dotąd talent – wrodzona zdolność konspiracji. Uczestniczył w przerzucaniu internowanych żołnierzy do Francji. Od tej pory niejawna działalność wojskowa stała się jego głównym życiowym powołaniem.

W konspiracji zrodziła się również jego wielka miłość. Poznał Karola Śledzia, przed wojną szefa magazynu mobilizacyjnego w garnizonie tarnowskim, który dotarł do Rumunii razem z żoną i trzema córkami. Adam Boryczka zakochał się w jednej z nich, siedemnastoletniej Elżbiecie.

2 stycznia 1940 roku uciekł z internowania i przez Jugosławię przedarł się do Francji.

„Z obozów dla internowanych, także z Tîrgu Jiu, uciekano w różny sposób – pisał Krzysztof A. Tochman w książce *Skok po niepodległość. Pułkownik Adam Boryczka (1913–1988)*. – Internowani robili podkopy i czołgali się pośród zasp śnieżnych pod drutami – aż »poza wzrok gęsto rozstawionych wartowników rumuńskich«. Wcześniej należało zaopatrzyć się w cywilne ubrania, a potem dotrzeć do miasta, gdzie w przygotowanych kwaterach żołnierze zostawiali obozowe rzeczy niezbędne przy przekradaniu się, jak np. prześcieradła, a otrzymywali przygotowane wcześniej paszporty, pieniądze oraz bilety kolejowe. Na stacjach było bowiem wielu agentów, i to nie tylko rumuńskich, ale niemieckich i sowieckich, którzy szczególnie zawzięcie tropili Polaków. Ucieczki zdarzały się przy innych okazjach – przemarszu do łaźni miejskiej lub pogrzebów żołnierzy WP zmarłych w obozie. Z uroczystości tego rodzaju wracała zwykle tylko połowa jej uczestników, pomimo stałej straży rumuńskiej, która miała pilnować, by nikt nie uciekł”.

We Francji Adam Boryczka trafił do tworzącej się właśnie 3 Dywizji Piechoty, która z braku uzbrojenia nie podjęła walki z Niemcami. Kiedy Francja

upadła, razem ze swoim plutonem przeprawił się do Liverpoolu. Po kolejnych kursach doszkalających: przeciwgazowym, dywersyjnym, walki konspiracyjnej, spadochronowym, znalazł się w 4 Brygadzie Kadrowej Strzelców, przemianowanej na 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową w Wielkiej Brytanii. Adam Boryczka zgłosił się do ochotniczej formacji słynnych cichociemnych. Sam przyjął pseudonim „Brona". Czyli znowu konspiracja.

Przełożony ocenił go tak: „Wytrzymałość nerwowa i fizyczna b. duża. Ambicja osobista duża, ambicja pracy b. duża. B. sumienny i obowiązkowy. Siła woli i inicjatywa duża. Poziom wiedzy wojskowej i ogólnej duże. Stale pracuje nad sobą i pogłębia swe wiadomości. Zdolności dowódcze duże. Bardzo lojalny, sumienny, ofiarny i wesoły. Patriotyzm ustalony. W stosunku do siebie i podwładnych wymagający".

W Wielkiej Brytanii przez pomyłkę w dokumentach wpisano mu nazwisko: Boryczko. Wśród polskich wojskowych na emigracji używano właśnie tej formy zamiast poprawnej: Boryczka.

W nocy z 8 na 9 kwietnia 1942 roku, podczas operacji „Cravat" w ósmej ekipie cichociemnych zrzucono go ze spadochronem do okupowanej Polski. Zegar pokazywał pierwszą dwadzieścia, gdy skoczkowie pojawili się w luku. W bezksiężycową, chmurną noc „Brona" wylądował w bagnistym terenie w okolicach Łowicza. Był jednym z pierwszych, których wyekspediowano do kraju. W sumie tych ekip było aż sześćdziesiąt cztery.

Najwcześniejszym porannym pociągiem, tak zwanym mleczarskim, Adam Boryczka dotarł do okupowanej Warszawy. W podziemiu dostał przydział do „Wachlarza", czyli AK-owskiej dywersji. Zaczął od dowodzenia patrolem dywersyjnym w Turmontach. Potem szkolił takie patrole, a następnie stanął na czele oddziałów dywersyjnych obwodu Komendy Okręgu Wileńskiego AK. Wreszcie awansował na dowódcę Kedywu w tym samym okręgu. Organizował akcje dywersyjne i likwidacyjne. Wysadził pociąg w okolicach Dyneburga. Likwidował konfidentów niemieckich, litewskich i komunistycznych.

7 lipca 1943 roku niemal wpadł w ręce okupanta. Gestapo próbowało go pojmać w Wilnie, w konspiracyjnym punkcie kontaktowym – mieszkaniu jego podkomendnego. Podczas ucieczki został ciężko ranny. Leczył się kilka tygodni.

Powierzono mu funkcję organizatora oddziału partyzanckiego w Puszczy Rudnickiej.

Od lipca 1944 roku „Tońko" – to kolejny pseudonim Adama Boryczki – walczył przeciw Sowietom, którzy aresztowali żołnierzy Armii Krajowej. We wrześniu 1944 roku rozwiązał oddział. Ukrył się w Wilnie. Od początku 1945 roku w Okręgu Wileńskim AK wspomagał akcję demobilizowania

jednostek partyzanckich. Przeniósł się do centralnej Polski. Korzystając z fałszywych papierów, podjął w Warszawie studia prawnicze. W grudniu 1945 roku – jako André Evald – przedostał się na Zachód. Podawał się za Belga powracającego ze Związku Radzieckiego. W styczniu 1946 roku trafił do Londynu.

Adam Boryczka już wcześniej – zanim jeszcze powstała V Komenda – pierwszy raz przyjechał do Polski jako kurier. Był wysłannikiem Józefa Maciołka i Andrzeja Pomiana, czyli Bohdana Sałacińskiego, który przez kilka powojennych lat zajmował się kontaktami polskich władz emigracyjnych z podziemiem w Polsce. W połowie listopada 1947 roku odbył spotkanie z Łukaszem Cieplińskim, szefem IV Komendy, aby zorientować się, w jakiej kondycji jest antykomunistyczne podziemie w Polsce. Używano konspiracyjnych metod porozumiewania się. Według jednej z instrukcji Adam Boryczka miał stawić się w konkretnym miejscu na ulicy w centrum Warszawy o oznaczonej porze, a z jego teczki powinien wystawać rulon papieru.

Podczas tej pierwszej misji Boryczka kilka tygodni jeździł po kraju – był w Częstochowie, Gliwicach, Jeleniej Górze – bezskutecznie próbując nawiązać kontakt z Cieplińskim. Wtedy właśnie, w Gliwicach, poznał Stefana Sieńkę „Wiktora”. Obaj pojechali do Jeleniej Góry do Mieczysława Kawalca. Krążyli po mieście, wymieniając informacje. Sieńko i Kawalec byli już ostatnimi ważnymi działaczami IV Komendy, którzy pozostawali na wolności. Jak się okazało, Łukasza Cieplińskiego aresztowano 28 listopada w Katowicach.

Stefan Sieńko potem zapewniał, że wtedy nie był jeszcze agentem UB. Ale w chronologii kryje się tajemnicza luka. Sam twierdził, że aresztowano go 10 grudnia 1947 roku. Tymczasem Adam Boryczka zakończył swoją pierwszą misję w Polsce wyjazdem w styczniu 1948 roku. Nie jest w pełni jasne, czy Boryczka i Sieńko spotkali się pomiędzy 10 grudnia 1947 roku a styczniem 1948 roku. Być może zarówno ubekom, jak i Stefanowi Sieńce zależało na ukryciu – nawet w wewnętrznych, tajnych materiałach – tego, kiedy w rzeczywistości został donosicielem. Bo być może stało się to jeszcze wcześniej, a rzekomą datę aresztowania 10 grudnia 1947 roku przyjęto jako kolejną legendę. Gdyby Stefan Sieńko był agentem UB już w czasach IV Komendy, oznaczałoby to, że jego sumienie obciążają też losy skazanych na śmierć ludzi Łukasza Cieplińskiego.

Jedno wszakże nie budzi wątpliwości. Już od następnej misji ubecy karmili Adama Boryczkę mieszanką prawdy i fałszu.

Przyjechał znowu do Polski w kwietniu 1948 roku. Na początku swojej misji spacerował po jednej z ulic Jeleniej Góry, trzymając w lewej ręce książkę

z wetkniętą pomiędzy kartki linijką. Umówiony znak jednak nie zadziałał. Adam Boryczka nie wiedział, że w więzieniu znalazło się już całe kierownictwo IV Komendy. Ostatni wpadł Mieczysław Kawalec. Zatrzymano go w Poroninie 1 lutego 1948 roku.

Boryczce udało się złapać kontakt dopiero z „Zygmuntem”. Czyli Henrykiem Wendrowskim. Wówczas w grze „Cezary” przestawiono pierwszego pionka. A może lepsze byłoby określenie: hetmana albo co najmniej wieżę, bo Henryk Wendrowski jako ubek kierował przecież operacją.

Pierwszy raz zetknęli się na dworcu w Jeleniej Górze. Przy peronie czekał pociąg do Warszawy. Boryczka nie zaufał „Zygmuntowi”. Nie znali się przecież. Kiedy więc „Zygmunt” poprosił o pocztę i pieniądze, Boryczka nalegał na spotkanie z kimś, kogo wcześniej poznał. Z Mieczysławem Kawalcem albo Stefanem Sieńką. „Zygmunt” oznajmił, że uda się to za kilka dni, po przyjeździe Boryczki do Warszawy.

Kolejny ruch w tej grze to skok Stefanem Sieńką. W warszawskim mieszkaniu gdzieś przy ulicy Chmielnej albo Złotej doszło do spotkania Adama Boryczki właśnie z nim. Bez względu na to, jaką przyjmie się chronologię, wówczas Sieńko na pewno był już współpracownikiem UB. Boryczka usłyszał o ostatnich aresztowaniach i o tym, że podziemie rzekomo przebudowuje swoją organizację.

Ale gra szpiegowska jest jeszcze trudniejsza niż szachy. Obie strony widzą co prawda figury przeciwnika, ale ich rzeczywistą rangę zna tylko jedna. Przeciwnicy nigdy nie wiedzą, czy przesuwają swoje pionki, czy może te pionki przejął wróg i w każdej chwili mogą odmówić wykonania rozkazu.

„W umówionym miejscu na Mokotowskiej natknęliśmy się na »Adama«, który z niezmiernym zadowoleniem przywitał przede wszystkim »Wiktora« – a poza tym mnie – napisał po spotkaniu w raporcie Henryk Wendrowski. – Podkreślił przy tym, że chociaż miał do mnie zaufanie – to jednak obecność »Wiktora« rozwiała całkowicie najlżejsze ślady nieufności do mojej osoby jako do nowego człowieka”.

„Wiktor”, czyli Stefan Sieńko, i „Zygmunt” – to właśnie Henryk Wendrowski – przedstawili Adamowi Boryczce skład nowego kierownictwa WiN, czyli V Komendy. Na czele miał stać komendant „Kos”. Szefem informacji był „Zygmunt”, a kierownikiem organizacyjnym „Wiktor”.

Henryk Wendrowski napisał (15 kwietnia 1948 roku): „Jeżeli chodzi o spostrzeżenia co do całości spotkania, które dla dalszego przebiegu rozpracowania miało znaczenie zasadnicze – to należy stwierdzić, że przeprowadzone zostało prawie bezbłędnie. Zarówno zachowanie się »Wiktora« podczas spotkania, jak i przebieg spotkania, który miał charakter spokojny

i rzeczowy, wpłynął na »Adama« w ten sposób, że przeszedł on z początkowego żartobliwo-koleżeńskiego sposobu bycia na służbowy, lecz z dużą dozą szacunku dla nas jako przedstawicieli kierownictwa »WiN«".

Henryk Wendrowski chwalił też nowego agenta Stefana Sieńkę: „»Wiktor« oddał mi podczas rozmowy nieocenione usługi. Podkreślam, że bez niego rozmowa byłaby zupełnie inna i skutek jej mógłby być zgoła inny, niż tego sobie życzyłem. Cały szereg uwag, dotyczących zarówno życia osobistego »Kazimierza« [Józefa Maciołka – P.L.], jak i jego kolegów i znajomych, uwag które »Wiktor« wtrącał do rozmowy, upewniały »Adama«, że jesteśmy jeżeli nie bliskimi, to przynajmniej dobrymi znajomymi »Kazimierza«".

Zatem to właśnie „Wiktor" uwiarygodnił V Komendę w oczach Boryczki. Ten przekazał pocztę od Delegatury i trzydzieści cztery tysiące dolarów wsparcia. A także wreszcie otworzył się i zaczął opowiadać o działalności za granicą.

Operacja „Cezary" nie zaczęłaby się bez Sieńki również z innego powodu. O skrzynkach kontaktowych w Jeleniej Górze i Prudniku ubecy usłyszeli podczas przesłuchań WiN-owców. Szczególnie „otwarty" był Stefan Sieńko. A to właśnie dzięki tym informacjom UB wpadło na trop kuriera Adama Boryczki.

Przed jego powrotem na Zachód przygotowano mu fałszywe dokumenty, spreparowane rzekomo przez wydział legalizacyjny WiN. Otrzymał też materiał informacyjny dla Józefa Maciołka.

Kiedy znalazł się w Londynie, spotkał się najpierw z Maciołkiem, a potem zdał ustną i pisemną relację Andrzejowi Pomianowi. Rozmawiał też z generałami Andersem i Borem-Komorowskim. Opowiadał im o swoich wrażeniach i przedstawiał nastroje polskiego społeczeństwa. To wszystko na podstawie materiałów sfałszowanych przez UB, które jak to zwykle w takich sytuacjach, zawierały mieszankę bezpiecznej prawdy i groźnego kłamstwa.

Po powrocie na Zachód Adam Boryczka na rozkaz Józefa Maciołka stworzył w Paryżu komórkę łączności z krajem. Odtąd krążył między Zachodem a Polską. Ale do ojczyzny pchała go nie tylko służba, nie tylko sentyment do rodzinnych stron.

Był jeszcze jeden powód. W Polsce mieszkała kobieta, w której zakochał się jeszcze w Rumunii, Elżbieta Śledź. Podczas wyjazdów kurierskich do kraju odwiedzał ją, kiedy tyko mógł. Ich związek stał się już tak bliski, że razem wyjechali do pensjonatu w Zakopanem. Przy okazji kolejnej misji spędzał z nią czas w Połczynie-Zdroju.

Opowiadała mu o sytuacji w Polsce. Przechowywała ubrania Boryczki. Wiedziała, że nosi przy sobie truciznę do zażycia w przypadku aresztowania.

Na jej adres kierowano serwety – tworzone tajnopisem depesze – od Maciołka. Boryczka poinformował Delegaturę, że to bezpieczny adres, wysyłając na Zachód pocztówkę z treścią: „Elżbieta czuje się dobrze”.

Podczas kolejnych wyjazdów Adam Boryczka, wciąż manipulowany w ramach operacji „Cezary”, znowu spotykał się z „Wiktorem” i „Zygmuntem” – w Łodzi, Krakowie, Warszawie, Zakopanem. Przekazywał gotówkę, odbierał pocztę na Zachód.

Trzeci raz Boryczka przyjechał do Polski w październiku 1948 roku. Tym razem bez zgody Józefa Maciołka. Ale z walizką pieniędzy dla podziemia. Może niesubordynacja wynikała właśnie z miłości? Bo kiedy z Paryża przez Pragę dotarł do kraju, zaczął od Tarnowa, gdzie nadal mieszkała Elżbieta Śledź.

Dopiero kilka dni później wyjechał od narzeczonej do lokalu kontaktowego w Gdańsku i 19 października 1948 roku spotkał się z „Zygmuntem” i „Wiktorem”. Przekazał im dwadzieścia dziewięć tysięcy dolarów i sporą korespondencję od Delegatury. Boryczka z Sieńką pojechali do Łodzi. Kiedy wkrótce dołączył do nich Wendrowski, rozmawiali między innymi o przywiezionym przez kuriera planie „X” – była to początkowa wersja przygotowań do planu „Wulkan”.

Plan „X” zakładał, że WiN w Polsce dokona rozpoznania „stanu sił zbrojnych i sił bezpieczeństwa reżimu z uwzględnieniem w miarę możności: ich organizacji, wyszkolenia, uzbrojenia, dyslokacji, nastrojów, możliwości mobilizacyjnych, możliwych zadań i sposobu użycia na wypadek konfliktu”. Przygotuje materiały dotyczące „polityki wewnętrznej reżimu, jego zamiarów, planowań oraz celów i metod propagandy”. Uzyska wiedzę w zakresie „postępów w społeczeństwie rzeczywistej komunizacji i orientacji prosowieckiej”. Zorientuje się co do „stanu innych organizacji podziemnych oraz tendencji do aktywizacji”.

Boryczka zabrał do Delegatury materiały, które rzekomo przygotowała V Komenda.

W marcu 1949 roku Adam Boryczka przyjechał z czwartą misją. Wiózł znowu korespondencję i pieniądze. Podróżował pociągiem. Sfałszowane dokumenty i gotówkę ukrył w tak zwanym klinie, czyli podłokietniku w fotelu pasażera. Sam przebywał w innym wagonie. Tymczasem ten, w którym ukrył swoje rzeczy, odczepiono – o czym nie wiedział – w Pradze. I tym razem Boryczka najpierw zawitał do Elżbiety Śledź w Tarnowie. Zostawił tam swoją walizkę i pojechał do Katowic wypatrywać wagonu – znał jego numer – w którym umieścił w skrytce swoje rzeczy. Wszystko jednak przepadło.

Adam Boryczka poruszał się po Polsce w specyficznej bańce, w której za przewodników służyli mu i ubecy albo ich konfidenci, i autentyczni ludzie

podziemia, choć rozpoznani i niedostrzegalnie nadzorowani przez UB. Podczas swojej czwartej misji Boryczka mieszkał u Franciszki Maciołek, spokrewnionej z Józefem Maciołkiem, która pod pseudonimem „Adela” bywała łączniczką podziemia i prowadziła punkt kontaktowy. Ubecy jednak dawno ją rozpracowali, znał ją Stefan Sieńko. Adamowi przydzielono też łączniczkę „Marię” – była to pracownica Departamentu III MBP Helena Zatorska, która po latach pracy w bezpiece została dyrektorem Departamentu Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz wydała kilka własnych książek, między innymi o Wandzie Wasilewskiej i Marianie Buczku. A jako ochroniarza przydzielono kurierowi „Romana”, czyli Czesława Krupowiesa, również z Departamentu III MBP.

Piąty raz Adam Boryczka przyjechał do Polski w marcu 1950 roku. Posługiwał się personaliami Wincenty Baran. Przywiózł między innymi informacje dotyczące szczegółów planu Marshalla i powstania Rady Politycznej na emigracji, niechętnej prezydentowi Augustowi Zaleskiemu, złożonej z przedstawicieli Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Narodowego, Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”, Polskiego Stronnictwa Ludowego „Odłam Jedności Narodowej”.

Gdy ubecy zorientowali się, że Adam Boryczka próbuje się nadmiernie usamodzielnić, pozorowali sztuczne zagrożenia. Milicja wkroczyła do pensjonatu, w którym oczekiwał na „Kosa”. Innym razem Boryczkę śledzono na tyle nachalnie, że sam zauważył obserwację. Dostarczono mu więc różne płaszcze i kapelusze, aby przebierał się kilka razy dziennie. Wzruszała go szczerze ta troska o jego los.

W jego otoczeniu wciąż znajdowali się agenci albo funkcjonariusze UB. Jeden z nich, porucznik Leon Szymoniak, opisywał, jak 12 marca 1950 roku w Zebrzydowicach dosiadł się do Adama Boryczki w pociągu jadącym z Francji:

„Po zakończeniu odprawy celnej wsiadłem do wagonu paryskiego. Jechała w nim jedna repatriantka z Francji z dwoma dziećmi oraz w innym przedziale »Adam«. Pozostałe przedziały były zupełnie puste (dwa inne zajęli ludzie z obserwacji).

Przed wejściem do przedziału wstąpiłem na chwileczkę do umywalni. Zauważyłem, że nie ma wody. Okoliczność tą zamierzałem wykorzystać – celem sprawdzenia i zorientowania się, czy »Adam« wiezie jakieś materiały z sobą.

Po wejściu do przedziału, w którym siedział »Adam« (oddalony od umywalni tylko o kilka kroków) wyraźnie zauważyłem, że nie jest zadowolony z mego przybycia. Wszczął łem z nim rozmowę, zapytując go, czy jedzie

z daleka. Odpowiedział, że z Nancy i że jest okropnie zmęczony… wypytywałem się go o warunki życiowe we Francji. Odpowiadał niechętnie.

Po odjeździe pociągu, wyjąłem ze swej teczki gazety oraz ręcznik i mydło. Wyszedłem do umywalni i natychmiast wróciłem. Nieobecność moja nie trwała ponad 1 minuty. Przed moim wyjściem »Adam« poprosił mnie o »Szpilki« i czytał je, siedząc przy samym oknie. Po moim powrocie siedział przy drugim końcu nachylony – grzebiąc przy siedzeniu. Nie widziałem, ażeby cokolwiek wyjmował. Był b. zmieszany – gdy mu oświadczyłem, że w umywalce nie ma wody, wyszedł sprawdzić – wrócił, mówiąc, »że rzeczywiście – coś musiało się popsuć«".

Rozpracowaniu ludzi, którzy współpracowali z Adamem Boryczką, ubecy nadali kryptonim „Spaleni".

Operację „Cezary" postanowiono rozszerzyć.

W celu dodatkowego uwiarygodnienia V Komendy w listopadzie 1951 roku MBP wysłało fałszywego kuriera do Delegatury. Początkowo zamierzano go wykorzystać w ramach miesięcznego urlopu. Ale termin przerzutu przesunął się i wypadł już w czasie jego stałej pracy w Nowej Hucie. Wtedy nakłoniono go, aby porzucił etat. To oczywiście historia Mariana Strużyńskiego „Artura".

Potem na Zachód wyekspediowano trzech ludzi, z których dwóch po przeszkoleniu zrzucił na terytorium Polski amerykański samolot – to rzecz jasna Stefan Skrzyszowski i Dionizy Sosnowski.

Ubecy zaplanowali ich każdy krok, w pewnym sensie wymusili ucieczkę za granicę. Skrzyszowskiego zapewnili na samym początku, że potajemnie ułatwią mu zwolnienie się z pracy, a następnie przyjmą go na etat w podziemnej organizacji, gdzie będzie regularnie otrzymywał pensję. Doradzili mu, żeby pokłócił się z kierownikiem. Kiedy został zwolniony, ubecy wypłacili mu sześćset złotych – pokwitował sumę listem z podziękowaniem za sześć kompletów farb. Przygotowując Skrzyszowskiego do ucieczki z kraju, wykorzystywano jego znajomości dla wykrycia magazynów broni oraz rozpracowywania innych ludzi z konspiracji, a nawet tylko tych negatywnie nastawionych do komunistów.

Agenci UB do lipca 1951 roku porozumieli się ze stu dwudziestu ośmioma osobami, przygotowując je na przyszłe rozkazy V Komendy. Pytając o inne możliwe kontakty, sporządzili listę dwóch tysięcy ludzi, których uznano za potencjalnie wrogich ustrojowi. Henryk Piecuch w swoim wywiadzie z generałem Władysławem Pożogą zamieścił taką wypowiedź szefa wywiadu i kontrwywiadu: „Delegatura WiN, naciskana przez wywiady anglosaskie, zażądała od WiN dostarczenia namacalnych dowodów siły, jaką reprezentuje.

Przeprowadziliśmy swoistą demonstrację naszej potęgi. Wybrano obszerną polanę w dużym kompleksie leśnym województwa białostockiego, przygotowano aktorów – kilka kompanii KBW, i powiadomiono Delegaturę, że oczekujemy jej wysłanników, by przyjęli defiladę naszych winowskich pododdziałów. Zabawa była pierwszorzędna. Chłopcy maszerowali przed zdumionymi wysłannikami Zachodu, nie znajdującymi słów uznania dla wyszkolenia i prezencji naszych oddziałów".

Potiomkinowskie podziemie nabrało pełnego kształtu.

Kiedy w grudniu 1952 roku Stefan Sieńko „Wiktor" wraz z „Kosem" rzekomo ujawnili WiN, Adam Boryczka był wstrząśnięty.

W połowie stycznia 1953 roku indagowali go szczegółowo pracownicy amerykańskiego wywiadu. Amerykanie już podejrzewali, że za całą sprawą kryła się ubecka prowokacja. Sądzili, że „Wiktor" dużo wcześniej poszedł na współpracę z UB. Dociekali, kim właściwie był „Kos". Oficerem rezerwy czy służby czynnej? Profesorem? Jak się naprawdę nazywał? Nikt właściwie nie potrafił powiedzieć niczego konkretnego o tym mitycznym szefie WiN w Polsce.

Adam Boryczka nie mógł znieść niepewności. Żaden emigrant nie rozumiał, co się stało w Polsce. Dlaczego szefostwo WiN ujawniło organizację. Czy zostali zwerbowani przez UB? Kiedy? A może ich szantażowano?

Boryczka spotykał się z Wacławem H. Bnińskim, łącznikiem Delegatury przy Stolicy Apostolskiej. Wielokrotnie w rozmowach z nim powtarzał, że trudno mu żyć bez wyjaśnienia tego, co się stało w Polsce. Bniński tak wspominał okres, w którym Adam Boryczka u niego pomieszkiwał: „Rozważając różne scenaria i ewentualności, twierdził, że trzeba na miejscu w Polsce dochodzić prawdy oraz że jej nieświadomość i wątpliwości uniemożliwiają mu egzystencję".

Adam chciał to wszystko zrozumieć, a mógł to zrobić tylko w jeden sposób – znowu nielegalnie przekraść się do Polski. Tym razem wbrew wyraźnym zakazom Delegatury.

Ale nie był to zapewne jedyny motyw, który popchnął go do kolejnej niebezpiecznej podróży. Tęsknił za Elżbietą. A ona w listach dawała do zrozumienia, że chciałaby go zobaczyć.

W Monachium postarał się o fałszywe dokumenty. Wybierał się do kraju razem z Jerzym Ursynem Niemcewiczem „Witoldem", którego wcześniej, jeszcze przed ujawnieniem się WiN, zamierzano przerzucić do Polski łodzią podwodną. Ową operację pod kryptonimem „Czajka" zablokowała jednak negatywna opinia V Komendy. Ostatecznie Boryczka wyruszył sam. Być może

dlatego, że Ursyn Niemcewicz nie bardzo nadawał się do przekraczania zielonej granicy. Utykał i poruszał się o lasce.

Z Boryczki pewnie zeszło już największe napięcie.

Postanowił tym razem dostać się do Polski pociągiem, posługując się fałszywymi dokumentami. Najbardziej niebezpiecznym momentem było przekroczenie granicy. Ale udało mu się pokonać ją bez żadnych przeszkód. Jego papiery nie wzbudziły wątpliwości wśród kontrolujących celników i pograniczników. Kiedy jednak pociąg ruszył, nagle pojawili się ubecy. Adam Boryczka był całkowicie zaskoczony. Nie miał szans na ucieczkę.

Wszelki słuch o nim zaginął. W czerwcu 1954 roku polscy emigranci poszukiwali go w Niemczech i Francji. Wkrótce nabrali podejrzeń, że porwał go komunistyczny wywiad wschodnioniemiecki. Dopiero po pewnym czasie do Londynu dotarła budząca współczucie wiadomość o jego wpadce podczas podróży koleją.

Ale to wszystko nieprawda. Choć sam zawsze potem opowiadał taką wersję zatrzymania, to rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej.

Adam nigdy się nie przyznał, w jaki sposób wpadł wkrótce po przekroczeniu granicy. Po odzyskaniu wolności do końca życia utrzymywał, że aresztowano go niespodziewanie w pociągu. W tym jednak wypadku mistyfikacja nie wynikała z tego, że Boryczka był agentem UB. W żadnym razie. Pozostał oddanym wolnej Polsce żołnierzem.

Dlaczego więc zafałszował moment aresztowania?

To kolejna tajemnica. Czy próbował w ten sposób chronić jakiś szlak przerzutowy? Kogoś, kto mu pomagał?

W szpiegowskich historiach kryje się zwykle drugie dno. Dlatego ludzie są skłonni upatrywać spisków nawet w sprawach, których wytłumaczenie okazuje się banalne. Być może tak właśnie było tym razem.

Historyk Krzysztof A. Tochman, biograf Adama Boryczki – któremu zresztą sam kurier opowiedział w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku zmyśloną wersję aresztowania – przypuszczał, że powód konfabulacji był prosty. Wytrawny konspirator wstydził się przyznać, dlaczego wpadł. Bo pomylił drogę, gdy zgubił kompas.

W rzeczywistości granicę przekraczał nie koleją, ale na własnych nogach. Nie znał jednak dokładnie trasy. Po utracie busoli musiał zasięgnąć języka u człowieka, który pasł krowy. Prosił, żeby pokazał mu taką drogę, na której nie spotka żołnierzy. Pastuch okazał się donosicielem Wojsk Ochrony Pogranicza (WOP). Opisał Boryczkę: „lat około 30, wzrost średni, włosy czarne, spodnie

zielonkawe, w ręku żółta teczka skórzana i płaszcz gumowany koloru stalowego, boso”. Kolejnym donosicielem okazał się piętnastolatek, który jadąc rowerem, spostrzegł nieznanego mężczyznę i zameldował o tym straży granicznej. Podobny meldunek złożył ojciec trzynastolatki, która przestraszyła się Boryczki, przywołującego ją ręką do lasku.

Ostatni kurier wpadł więc nie za sprawą wyrafinowanej akcji, a przez sól tej ziemi, czyli donosy polskich chłopów.

16 czerwca 1954 roku aresztowała go jednostka Wojsk Ochrony Pogranicza, gdy przedostawał się przez granicę z NRD. Kiedy go pochwycili, próbował jeszcze przekupić WOP-istów zegarkami. Bezskutecznie.

Znaleziono przy nim pistolet, truciznę, chemikalia do tajnopisu, około sześciuset dolarów, pięć tysięcy złotych polskich, dziewięć zegarków, kilkaset marek zachodnioniemieckich, fałszywe dokumenty, kilkadziesiąt blankietów różnych dokumentów i około trzydziestu fałszywych pieczęci różnych instytucji na terenie Polski.

Podczas przesłuchań przekonywał, jakoby przełomowy dla niego moment stanowiło ujawnienie się „Kosa” i „Wiktora”. Twierdził, że wtedy zrozumiał, iż praca Delegatury była całkowicie uzależniona od amerykańskiego wywiadu.

Zeznawał: „Po oświadczeniu »Wiktora« i »Kosa« stawiałem sobie pytanie, czy droga, po której kroczę, jest właściwa? Znałem »Kosa« i »Wiktora« jako ludzi twardych, nieugiętych i wrogo nastawionych do Polski Ludowej. Ludzi, którzy korzeniami tkwili w społeczeństwie i odczuwali jego każde tętno życia. Ci ludzie przyszli do przekonania, że dalsza konspiracyjna praca dla Polski jest nie tylko niemożliwa, ale bardzo szkodliwa”.

Ale ubecy mu nie wierzyli. Uważali, że przedstawia legendę przygotowaną na wypadek aresztowania.

Utrzymywał też, że po przekroczeniu granicy zamierzał pojechać do Warszawy, a później do Tarnowa, do Elżbiety Śledź. Ewentualnie do Jeleniej Góry, do Mariana Okulicza, którego znał z czasów okupacji z terenu wileńskiego.

Podczas śledztwa okrutnie go torturowano. Bito, miażdżono butami stopy, a szufladą genitalia. Męczono przesłuchaniami ciągnącymi się po dwadzieścia dwie godziny na dobę, karano pobytami nago w celi z wodą.

Mógł jednak tego wszystkiego uniknąć. Bezpieka przygotowała plan propagandowego wykorzystania Adama Boryczki. Spisała go pułkownik Julia Brystiger: „Przeprowadzić rozmowę z Boryczko i zakomunikować mu, że pod warunkiem wykonania szeregu czynności o charakterze polityczno-propagandowym zostanie zwolniony. Boryczko zobowiązuje się do:

a) Napisania oświadczenia do prasy, w którym poda, że dobrowolnie zgłosił się do Władz Bezpieczeństwa celem ujawnienia działalności dywersyjno-sabotażowej anglosaskiego i emigracyjnego wywiadu wobec Polski Ludowej, nie ukrywając i nie zatajając szczegółów własnej współpracy z nimi na tym odcinku.

b) W razie potrzeby zobowiąże się do przeprowadzenia rozmów i udzielenia wywiadów dziennikarzom krajowym i zagranicznym, udzielenia im wyjaśnień zgodnych z wymienionymi założeniami.

c) Przyjmuje do wiadomości, że jeden z wywiadów z przedstawicielem prasy zostaje sfilmowany i wyświetlony w ramach Polskiej Kroniki Filmowej.

d) W zetknięciu z rodziną, dawnymi znajomymi z podziemia udzieli wyczerpujących wyjaśnień, zgodnych z otrzymanymi instrukcjami i z całkowitym przemilczeniem faktu pobytu w więzieniu".

Tą propagandową akcją pokierować mieli podpułkownik Henryk Wendrowski i major Leon Szymoniak.

Adam Boryczka nie dał się złamać.

Radio Wolna Europa głosem Wiktora Trościanki informowało o procesie Adama Boryczki: „Przed sowieckim sądem wojskowym w Warszawie toczy się znów rozprawa, w którym bezpośrednim niejako podręcznym celem jest tortura moralna i fizyczna spreparowanej w śledztwie ofiary. Oskarżony Boryczka to jedna pozycja w długiej jakże nieskończenie długiej liście ofiar wojennego i powojennego terroru bolszewickiego na Polakach".

21 maja 1955 roku Adama Boryczkę skazano na trzykrotną karę śmierci. 14 października 1955 roku Rada Państwa zamieniła wyrok na dożywocie.

Siedział w celi z generałem Paulem Geiblem, dowódcą policji i SS dystryktu warszawskiego. Dwukrotnie podejmował głodówkę.

Być może w więzieniu utwierdził się w podejrzeniach, że V Komenda to prowokacja. Przecież na rozprawę nie wezwano jako świadków ani „Wiktora", ani „Kosa".

Może dlatego tak długo trzymano go za kratami. Komunistycznym tajnym służbom zależało pewnie, aby ludzie nie poznali ich metod działania. Przecież V Komenda okazała się modelową akcją, opisywaną jako wzór w resortowych dokumentach. Jej szczegóły w dydaktyczny sposób nakreślił Marian Strużyński w wewnętrznej broszurze. Prawdopodobnie następne pokolenia funkcjonariuszy komunistycznych tajnych służb, kiedy w miejsce Urzędu Bezpieczeństwa pojawiła się Służba Bezpieczeństwa, zamierzały jeszcze wiele razy skorzystać z metody tworzenia fikcyjnej podziemnej organizacji, aby sparaliżować działania wrogich konspiratorów.

Dopiero w listopadzie 1967 roku – po apelu wielu wybitnych osobistości – Adamowi Boryczce zwrócono wolność. Wciąż go jednak śledzono. Jeszcze przez długi czas był skazany na zapomnienie. Po raz pierwszy wspomniano o jego zasługach wojennych w latach osiemdziesiątych.

Zmarł 30 kwietnia 1988 roku.

A co z miłością jego życia – Elżbietą?

Wiem, że zmarła po nim, w 1992 roku. Ale od chwili aresztowania Adama Boryczki aż do jej śmierci nigdy się nie spotkali. Ich historii zabrakło romantycznego zakończenia. Koniec był dramatyczny.

Elżbieta nie wyszła za niego, gdy siedział w więzieniu. Nie czekała, aż odzyska wolność. Nawet go nie odwiedzała.

Elżbieta właściwie nie była już Elżbietą. Stała się tajnym współpracownikiem „Michaliną”.

Aresztowano ją potajemnie, kiedy jechała z Tarnowa do Krakowa na kurs księgowych. Po trzech dniach przesłuchań, 28 grudnia 1952 roku, została agentką UB. Opowiadała o Adamie Boryczce i więzi, jaka ich łączyła. Wsypała też wielu jego współpracowników. Ubek, który ją werbował, zanotował: „Jest ona religijna, skryta, kontaktów szerokich na terenie Tarnowa nie utrzymuje, choć jest znana, ma nałóg palenia papierosów, cechuje ją nerwowość”. A potem pod dyktando UB pisała ckliwie listy do Adama, prosząc, aby się do niej odezwał. Być może również ta korespondencja skłoniła go, aby po ujawnieniu się V Komendy znowu przyjechać do Polski.

9

Zadzwoniłem do Henryka Wendrowskiego. Wtedy, w 1994 roku, wiedziałem już, że to najważniejszy spośród żyjących jeszcze organizatorów prowokacji. Odebrała żona. Wahała się przez moment, czy poprosić męża do słuchawki. Mówiła, że jest chory, leży.

Podobno to on, na cześć swojego przyjaciela, V Komendę i grę z Delegaturą Zachodnią WiN nazwał operacją „Cezary". I to on nią dowodził. Prawdopodobnie niekiedy też wcielał się w postać „Kosa", mitycznego dowódcy V Komendy.

Henryk Wendrowski przyszedł na świat 10 stycznia 1916 roku w Saratowie. Pochodzenie robotnicze, narodowość polska, wykształcenie wyższe.

Jego ojciec Hugo urodził się w 1890 roku. Był kotlarzem. Pracował w kolejowych zakładach ślusarskich i jako dozorca. Matka Zofia, rówieśnica ojca, również pochodziła z robotniczej rodziny. W 1919 roku powrócili do Polski. Osiedli w Białymstoku. Mieszkali w drewnianym domku przy ulicy Sosnowej.

Aleksander Dresler „Podlasiak" w książce *Sańka z ulicy Sosnowej* tak ją opisywał: „Była to jedna z nielicznych ulic w Białymstoku, na której w jej chrześcijańskiej części znajdowało się sześć sklepów: dwa spożywcze, dwie piekarnie i dwa masarskie. Na Sosnowej mieszkało pięciu nauczycieli. Sosnowa dała trzech oficerów zawodowych Wojska Polskiego i dwóch księży. Zaiste bardzo to barwna ulica i bardzo znamienna dla Białegostoku. U nas mieszkali – to fakt – ludzie biedni i zamożni, analfabeci i wykształceni, piastujący wyższe stanowiska w mieście. Byli też opryszkowie, co umieli cegłę sprzedać. Nazywano Sosnową i ulicą Cudów".

Wspomniał też o rodzinie Wendrowskich i Heńku: „Pod numerem 84 w jednorodzinnym drewnianym domu mieszkali Wędrowscy. Ci mieli troje dzieci, najstarszy Heniek jeszcze przed wojną skończył gimnazjum i był, jak się potem okazało, członkiem nielegalnej partii komunistycznej. Po 1944 r. Heniek piastował wysokie urzędy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a gdy został ambasadorem PRL w Kopenhadze, to często jeździliśmy na grzyby z naszymi żonami, jego albo moim samochodem. Żona Heńka pochodziła z ulicy Kaliskiej, znałem ją z widzenia od młodości. Najmłodszy – Edek, po wojnie jako gorący zwolennik władzy ludowej znalazł się w UB, ale za przyrodzone

warcholstwo i pijaństwo dostał także stamtąd kopa. Cała rodzina Wędrowskich miała złą reputację na Sosnowej, po prostu uważano ich za szpicli. Ja się o tym wszystkim dowiedziałem w wiele lat później”.

Autor chyba jednak pomieszał wydarzenia – poza oczywistym błędem w pisowni Wędrowscy zamiast Wendrowscy – bo nic poza jego relacją nie wskazuje, aby Henryk Wendrowski przed wojną był komunistą.

Wiadomo, że ukończył szkołę średnią, a potem służył w Szkole Podchorążych Rezerwy 39 Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich w Jarosławiu. Pół roku studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie. Zrezygnował, gdy jego ojciec przeszedł na emeryturę. Studiował też psychologię. W 1938 roku znalazł zatrudnienie jako nauczyciel kontraktowy w Nowym Dworze koło Grodna, a potem w Brodnicy koło Sarn (dzisiejsza Ukraina). Na początku wojny, gdy na tereny, gdzie mieszkał, wkroczyli Sowieci, wrócił w okolice Białegostoku i nadal pracował jako nauczyciel. Później uczył w Kołodzieży niedaleko Knyszyna.

Podczas wojny – robotnik. Wstąpił do konspiracji. Wówczas po raz pierwszy użył pseudonimu „Kos”. W latach 1941–1942 był „Narbuttem” jako szef legalizacji w Komendzie Okręgu VIII (Białystok) Polskiej Organizacji Zbrojnej przy Chłopskiej Organizacji Wolności „Racławice”. W czasie wojny był również żołnierzem Biura Informacji i Propagandy Okręgu Białostockiego AK.

Żadnego śladu powiązań z komunistami. Zwykły życiorys żołnierza Armii Krajowej. Ale wszystko zmieniło się pod koniec wojny.

Latem 1944 roku aresztował go Smiersz, radziecki kontrwywiad. Sowieci szybko nakłonili go do współpracy przy rozpracowywaniu AK-owskiego podziemia. On sam zapewne by powiedział, że pomagał AK-owcom z tego podziemia wychodzić. Tak zwykle mówili ci, którzy poddali się argumentom Sowietów.

Co go tak mocno dotknęło, może zraniło, może rozczarowało, że z dnia na dzień stał się kimś innym? Bo nagle zaczął służyć odmiennym od dotychczasowych ideom. Cokolwiek to było, musiało w nim tkwić głęboko. To widać, gdy poczyta się opinie, jakie już wkrótce wystawiali mu Sowieci. I przyjrzy temu, co robił nie od niechcenia, lecz gorliwie.

Po aresztowaniu, we wrześniu 1944 roku przekazał NKWD fotografie członków sztabu okręgu i obwodu AK Białystok, którymi dysponował ze względu na pracę przy konspiracyjnej legalizacji. Pierwszy rok w swojej nowej roli Henryk Wendrowski tak opisywał w dokumencie z 4 września 1945 roku: „Praca ta trwająca dokładnie do daty dzisiejszej rok, była prowadzona w atmosferze ufności i ścisłego porozumienia z czynnikami radzieckimi i ministerstwem U.B.”.

Dwa dni później, 6 września 1945 roku, major Siemionow, oficer Armii Czerwonej, napisał: „Wendrowski został mną przekonany o niecelowym przebywaniu w konspiracji, na co on się zgodził i okazał maksymalną pomoc w wyprowadzeniu z podziemnej organizacji szeregu innych członków »A.K.«.

W pracy był szczerym i oddanym ideom Polski Demokratycznej".

Nic więc nie wskazuje na to, aby Sowieci złamali go fizycznie. Jego lojalność wobec nowej władzy sugeruje raczej pełną akceptację tego, co stało się z Polską po II wojnie światowej.

Major Tadeusz Piątkowski z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku 28 maja 1946 roku przypomniał:

„Z chwilą wyzwolenia ziem polskich przez Armię Czerwoną i Polską, z chwilą założenia Rządu Jedności Narodowej ob. Wendrowski zaczął pracować w konspiracji z UBP jako agent, wydając elementy faszystowskie szkodzące Państwu Demokratycznemu.

Następnie po dłuższej pracy z UBP Wendrowskiemu zagrażało niebezpieczeństwo, ułatwiono mu i przyjęto do pracy B.P. [w Bezpieczeństwie Publicznym – P. L.]".

25 września 1945 roku Henryk Wendrowski został starszym referentem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Olecku. Szef PUBP w Olecku (podpis nieczytelny) napisał o nim 4 lutego 1946 roku:

„Z pracy powierzonej wywiązuje się dobrze jednak nie wzbudza całkowitego zaufania. Jest bardzo wygodny, w życiu prywatnym ma w sobie skłonność materializmu.

Daje odczuć i podkreśla własną inteligencję, flegmatyk, jednak odważny. Politycznie dobrze wyrobiony. Pozornie posłuszny, niby jest uprzedzony do elementu faszystowskiego".

Ale może autor tego pisma poczuł się zagrożony, widząc w Wendrowskim konkurenta na stanowiska szefa służb w powiecie. Ocena z wyższego szczebla była bardziej entuzjastyczna. Oficer Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku kapitan Józef Pluta 9 kwietnia 1946 roku stwierdził:

„Ob. ppor. Wendrowski Henryk jest sumiennym, zdolnym i odważnym pracownikiem.

Do pracy odnosi się poważnie i z zamiłowaniem. Z powierzonych mu obowiązków wywiązuje się dobrze.

Politycznie dobrze rozwinięty. Moralnie bez zarzutu".

Tego samego dnia kapitan Pluta skierował do podpułkownika Mikołaja Orechwy, dyrektora Biura Personalnego MBP wniosek o zatwierdzenie Wendrowskiego jako pełniącego obowiązki szefa PUBP w Olecku. Motywował

ów wniosek tym, że Wendrowski „za okres swojej pracy w Wojewódzkim Urzędzie, jak również na powiecie i w Ministerstwie B.P., gdzie był wzywany do rozpracowania wrogiego podziemia zdał egzamin dobrze, wobec czego można powierzyć mu w/w stanowisko”. I tak uczyniono. 1 kwietnia 1946 roku został pełniącym obowiązki szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Olecku.

Ale ta nominacja wygląda jedynie na formalną. Wendrowski najważniejsze zadania wykonywał gdzie indziej.

Od początku zbierał szczególne doświadczenia, które potem pozwoliły mu dowodzić operacją „Cezary”. W sierpniu 1946 roku przyczynił się do śmierci niemal dwustu żołnierzy NSZ, właściwie zamordowanych, a nie zabitych w walce przez ubeków w operacji „Lawina”, której nazwa pochodziła od pseudonimu używanego wówczas przez Henryka Wendrowskiego.

Podczas tej operacji posiadł umiejętność tworzenia fikcyjnych organizacji, aby przejmować kontrolę nad leśnymi oddziałami. Jego specjalnością stała się prowokacja.

Celem „Lawiny” byli partyzanci Henryka Flamego „Bartka” działający w okolicy Baraniej Góry. Jego zgrupowanie straciło łączność z kierownictwem podziemia, kiedy pod koniec 1945 roku aresztowano dowództwo i żołnierzy Komendy Głównej i Komendy VII Śląskiego Okręgu NSZ. Agenci UB stworzyli fikcyjny Okręg Śląski Narodowych Sił Zbrojnych. Złapali kontakt z „Bartkiem”, zwanym królem Podbeskidzia. Na spotkanie z nim udał się Henryk Wendrowski. Przekazał „Bartkowi” rozkaz przerzutu jego zgrupowania na Zachód, aby tam przeszli szkolenie, a potem wrócili walczyć w Polsce. Ponoć „Bartek” natychmiast bez zastrzeżeń podporządkował się nakazowi, choć przecież ludzie podziemia z reguły byli wyczuleni na agentów UB.

„Lawina” zdobył jednak zaufanie dowódcy partyzantów. Henryk Wendrowski w jednym z raportów napisał, co mu w tym pomogło: „Dowiedziałem się, że »Bartek« jest chory, ma postrzeloną nogę, więc zaproponowałem mu przewiezienie w bezpieczne miejsce i opiekę lekarską”.

Swoje spotkanie w obozie partyzantów opisał tak:

„Po przybyciu na miejsce, zobaczyłem kilka słabo oświetlonych namiotów. W jednym z nich, największym, mieści się dowództwo. »Emil« [łącznik Jan Kwiczala – P. L.] wszedł pierwszy do środka i nastąpiło serdeczne powitanie z »Bartkiem«. Po pewnej chwili »Bartek« aczkolwiek z rezerwą przywitał mnie jako »kpt. Lawinę« i przedstawił swoim ludziom. Byli to: mjr ksiądz o nieznajomym nazwisku, który jak zresztą wszyscy w namiocie, leżał pod

kocem tylko w spodenkach, dalej z-ca Bartka – »Jasiek« i »Sęp«. Bartek był w stanie mocno podchmielonym i przywitanie rozpoczął od kolejnej wódki.

Po tym nawiązał rozmowę w spokojnym tonie z »Emilem«, aby zakończyć nagłym wybuchem skarg, żalów i najrozmaitszych pretensji do władz organizacji za dotychczasowe postępowanie z nim, za traktowanie »przez nogę« jego i jego ludzi.

Wybuch ten przerodził się w stan podobny do »delirium tremens« i trochę mnie speszył, gdyż czegoś podobnego nie przewidywałem nigdy.

Starałem się jednak tego po sobie nie okazać, co mi się udało, gdyż Bartek, widząc, że łowię ćmy latające po namiocie, uspokoił się w końcu i nawet przeprosił mię. Wykorzystując moment, że nareszcie doszedłem do głosu, zapowiedziałem »Bartkowi«, że jeżeli nie będzie się czuł żołnierzem i nie podporządkuje się instrukcjom – będę zmuszony wyciągnąć z tego konsekwencje".

Kiedy rano „Bartek" wytrzeźwiał, Henryk Wendrowski „Lawina" rozpoczął przekonywanie, że partyzanci powinni przesiedlić się w okolice Jeleniej Góry, aby prowadzić akcje przeciwko Werwolfowi, niemieckim dywersantom. Wendrowski napisał:

„W obszernej dość przemowie wyłuszczyłem wszystkie argumenty, zakańczając sprawę w ten sposób: argumenty podałem po to, aby przekonać, a obecnie daję rozkaz jako władza przełożona, aby go wykonano.

Zdaje się, że najbardziej »Bartka« przekonało owo słowo: rozkaz".

A Henryk Wendrowski być może wtedy zrozumiał, że najsilniejsza broń to granie na cudzych emocjach.

Krwawa część operacji „Lawina" – już bez udziału samego Wendrowskiego – rozegrała się pomiędzy 5 a 25 września 1946 roku. Wydarzenia potoczyły się równie sensacyjnie, co tragicznie. Szczegóły są tak dramatyczne, że trudno w nie uwierzyć.

Żołnierzy „Bartka" podzielono na cztery kilkudziesięcioosobowe grupy. Pojechali amerykańskimi ciężarówkami studebaker. Pierwszy transport wieczorem dotarł w okolice Grodkowa, za którym, jadąc na Łambinowice, znajdował się poniemiecki majątek. W nim zakwaterowano partyzantów.

„Przybysze z Podbeskidzia rozlokowali się w pomieszczeniach wysłanych słomianymi dywanami – opisywał Maciej T. Nowak w książce *Operacja „Lawina". Dzieje przemilczanej zbrodni UB*. – Przyszedł czas na poczęstunek. Gospodarze przygotowali pięć litrów wódki oraz chleb. Zmęczeni drogą partyzanci chętnie wychylali szklankę za szklanką. Szybko usnęli. Nie uchybili jednak dobrym zasadom konspiracji. Wystawili wartownika. Stał przy głównym wejściu.

Noc przebiegała spokojnie. Żołnierze spali, zmorzeni wypitym alkoholem. Uzbrojony strażnik pilnował drzwi. Zaczynało świtać, więc wypatrywał słońca na horyzoncie. Nagle poczuł zimne ostrze fińskiego noża, które wbiło się w jego ciało. Ciosy zadawano z dużą wprawą. Nawet nie krzyknął, tylko osunął się na ziemię.

Przez okna, do dwóch wyłożonych słomą pomieszczeń, w których spali partyzanci, wpadły granaty. Przypominały dużą kilkogramową puszkę z uchwytem. Huk rozerwał poranną ciszę.

Żołnierze, oszołomieni wybuchem i nieprzetrawionym jeszcze alkoholem, wybiegali z budynku i uciekali we wszystkie strony. Gdzie popadnie, na oślep. Padały strzały. Niektórzy ranieni granatami nie byli już w stanie biec. Inni wili się w bólach na podłodze.

Uciekający nie mogli żywić większych nadziei. Teren wokół posiadłości był otoczony przez ludzi z białymi opaskami na rękawach. Schwytano wszystkich, około 70 młodych mężczyzn. Kazano im rozebrać się do naga. Rozkaz padł w języku polskim. Nadzy i nieuzbrojeni partyzanci wobec napastników stojących z karabinami w rękach. Nie istniały tu szanse ucieczki. Nawet o niej nie myśleli.

Cała akcja nie trwała nawet pół godziny. Dopiero teraz ludzie »Bartka« zwrócili uwagę na dół wykopany tuż obok ceglanej willi, w której nocowali. Mierzył jakieś trzy na cztery metry. Głębokość sięgała trzech metrów.

Nagich partyzantów pojedynczo prowadzono nad brzeg wykopu. Słychać było strzał, tylko jeden. Kula trafiała w tył głowy, trudno więc było sobie wyobrażać, że ktoś mógłby przeżyć. Ciało bezwładnie wpadało do dołu. Ta sytuacja powtarzała się regularnie – co kilka minut.

Ubrania rozstrzelanych zrzucono na jedną stertę. Oblano je benzyną z dwóch kanistrów. Rzucona zapałka spowodowała nagły wybuch płomieni, które w mgnieniu oka zajęły cały stos”.

Partyzanci wysłani drugim transportem zginęli w wybuchu zaminowanego wcześniej budynku, w którym ich zakwaterowano. Podobnie trzeci transport – w wysadzonej w powietrze stodole.

IPN-owski zespół profesora Krzysztofa Szwagrzyka odnalazł fragmenty kości ludzkich na tak zwanej polanie śmierci pod Barutem, zwanej też Śląskim Katyniem. Nosiły ślady postrzału albo rozerwania. Obok nich – ryngrafy i wyposażenie wojskowe. Ale nie udało się zidentyfikować żadnej ofiary. Drugie miejsce mordu to okolice Łambinowic.

Być może planowano aresztowanie, a nie zabijanie NSZ-owców, choć ubecy liczyli się z tym, że podczas zbrojnej próby zatrzymania zapewne niektórzy z partyzantów zginą. Być może sprawa wymknęła się spod kontroli

i w rezultacie doszło do masowej zbrodni. Wiadomo jedno – w ciągu kilku dni niemal dwustu NSZ-owców zaginęło bez śladu.

Henryk Wendrowski ani razu wówczas nie pociągnął za spust. Nie widział nawet transportów wiozących NSZ-owców na śmierć. Ale jako agent „Lawina” uruchomił mechanizm prowokacji, który doprowadził do mordu.

AK-owiec, który stał się nie tylko agentem, ale też funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa. Jak szacował sam Henryk Wendrowski, podobnych do niego było kilka tysięcy szeregowych funkcjonariuszy MO, MBP, KBW, WOP. A od stu pięćdziesięciu do dwustu z nich wspięło się na kierownicze stanowiska, według wyliczeń generała Konrada Świetlika.

Henryka Wendrowskiego przeniesiono do Warszawy. 19 sierpnia 1946 roku – miesiąc przed operacją „Lawina” – został starszym referentem Sekcji 2 Wydziału III Departamentu III MBP, od 1 marca 1947 roku był jej kierownikiem. Departament III zajmował się walką z podziemiem. Kierował nim Józef Czaplicki. Potem – od 15 sierpnia 1947 roku – Wendrowski kierował Sekcją 2 Wydziału II Departamentu III MBP. W tym samym roku doprowadził do ujawnienia Okręgu Białostockiego WiN. Negocjował z Józefem Ochmanem, z którym znali się z czasów wojennej konspiracji. Ujawniło się dwanaście tysięcy WiN-owców.

Trzy lata młodszy od Henryka jego brat Edward Wendrowski, który przed wojną uczył się w Warszawie i w niej spędził okupację, później również pracował w UB. W 1947 roku zatrzymano go za łapówkę. Meldunek w tej sprawie otrzymał Wydział do Spraw Funkcjonariuszy.

W lipcu 1949 roku Henryk Wendrowski awansował na majora, a po stworzeniu specjalnej sekcji, która zajmowała się operacją „Cezary”, został jej kierownikiem. 1 lutego 1950 roku: „przeniesiony w stan nieczynny do odwołania”. Taką decyzję podjęto ze względu na nadzorowanie przez niego wspomnianej operacji.

Nie mógł na zmianę być żołnierzem V Komendy i urzędować w biurze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Konspiracja objęła całe jego życie. Krył się przed innymi ubekami, ale szczególnie przed pozostałymi na wolności WiN-owcami. Jego przełożeni zapewne obawiali się, że Delegatura albo Amerykanie przyślą do Polski swojego tajnego wysłannika – którego zakonspirują również przed V Komendą – po to, by niezależnie ocenił sytuację podziemia w Polsce. Henryka Wendrowskiego wykreślono z ewidencji funkcjonariuszy MBP. Wyprowadził się z blokowiska, gdzie mieszkał wśród innych ubeków, kupiono mu mieszkanie na Sadybie, na placu Rembowskiego.

Jego nowa sytuacja powodowała jednak również proste życiowe problemy. Mięso wówczas reglamentowano, kartki przysługiwały pracującym, a Henryk Wendrowski formalnie nigdzie nie był zatrudniony. W październiku 1951 roku zajęto się procedurą przyznania mu kartek na mięso w nadzwyczajny sposób, jak to nazwano w urzędowym piśmie.

Kiedy Henryk Wendrowski prowadził poważną operację „Cezary", jednocześnie potrafił zachowywać się jak szkolny cwaniak. W czerwcu 1950 roku usiłował wyłudzić blankiety z nadrukiem MBP w celu usprawiedliwienia nieobecności na egzaminach na studiach. Pieczątkę zamierzał podrobić sposobem okupacyjnym.

Po latach Wendrowski uważał, że bezpieka to głównie Żydzi. Zapamiętał, że panoszyli się na kierowniczych stanowiskach. A jeśli obejmowali je Polacy, to przynajmniej musieli mieć kochanki Żydówki, które dbały o ich kariery.

Szefem Henryka Wendrowskiego był Leon Andrzejewski, syn przedwojennego żydowskiego kupca w powiecie zamojskim. Obaj ubecy nie darzyli się wzajemnie sympatią. To Andrzejewski w pewnym momencie odebrał Wendrowskiemu kierowanie operacją „Cezary". Uważał, że był on człowiekiem pozbawionym i szczególnych zalet, i szczególnych wad, posiadającym za to zdrowy rozsądek. Obaj nie przepadali za sobą. Rywalizacja o władzę pomiędzy Andrzejewskim a Wendrowskim doprowadziła do zmian – Andrzejewskiemu formalnie powierzono kierowanie grą „Cezary".

Leon Andrzejewski ukończył trzy klasy łódzkiego gimnazjum. W 1928 roku wstąpił do Komunistycznej Partii Polski. Za przekonania dwukrotnie siedział w więzieniu – pomiędzy rokiem 1929 a 1933 oraz 1934 a 1938. Podczas kampanii wrześniowej służył w cywilnej obronie Warszawy. Potem trafił na tereny okupowane przez Związek Radziecki. We Lwowie działał w Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom. Od 1940 roku był kierownikiem w zakładzie produkującym mydło, a w 1942 roku został dyrektorem fabryki zapałek.

W maju 1943 roku wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego. Został oficerem oświatowym – czyli „politrukiem" – 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, a w 1944 roku zastępcą do spraw polityczno-wychowawczych komendanta szkoły służby bezpieczeństwa w Kujbyszewie. W Polsce „lubelskiej" znalazł się w resorcie bezpieczeństwa. 22 sierpnia 1944 roku mianowano go kierownikiem Wydziału Ochrony Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. 12 października 1944 roku Leon Andrzejewski objął funkcję zastępcy kierownika Wydziału Personalnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oraz komendanta Szkoły Oficerskiej. Następny

szczebel kariery to od 15 czerwca 1946 roku stanowisko dyrektora gabinetu ministra Stanisława Radkiewicza. Kolejna funkcja to raczej degradacja – zastępca dyrektora do spraw szkolenia w Centrum Wyszkolenia MBP w Legionowie. 20 kwietnia 1949 roku został wicedyrektorem Departamentu III MBP. 1 kwietnia 1953 roku mianowano go pełniącym obowiązki dyrektorem tego departamentu.

Wówczas zmienił też nazwisko. Wcześniej nazywał się Leon Ajzef. Ale już od końca wojny komuniści uznawali, że żydowskie pochodzenie niektórych z ich działaczy wzmacnia wśród Polaków szkodliwe przekonanie o „żydokomunie". Leon Andrzejewski zmienił też personalia swoich rodziców. Ojciec Bencjon stał się Stefanem, a matka Genia – Jadwigą.

Żona Leona Andrzejewskiego to Krystyna Żywulska, pisarka i graficzka. Podczas wojny przeżyła warszawskie getto i obóz koncentracyjny Auschwitz. Przed wojną nazywała się Sonia Landau. Jak sama wspominała, pierwszy raz nazwiskiem Żywulska posłużyła się w 1943 roku przesłuchiwana przez gestapo.

Z Leonem poznali się jeszcze w dzieciństwie.

Być może to oni, Leon Andrzejewski i Krystyna Żywulska, w kwietniu 1954 roku spisali pierwsze wewnętrzne opracowanie dotyczące operacji „Cezary". Ten maszynopis później prawdopodobnie posłużył Marianowi Strużyńskiemu do sporządzenia – również tajnej – broszury o V Komendzie.

W lutym 1952 roku Henryk Wendrowski poprosił o przyjęcie do partii.

Do MBP powrócił formalnie 1 grudnia 1953 roku, kilka tygodni przed propagandowym ujawnieniem V Komendy.

Niedługo później Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego przestało istnieć. W 1954 roku rozwiązano je pod wpływem oburzenia spowodowanego ujawnieniem (niepełnym przecież) zbrodniczej działalności ubeków, przede wszystkim torturowania więźniów. W jego miejsce powstało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, pełniący funkcję policji politycznej. Henryk Wendrowski pozostał w Komitecie do spraw Bezpieczeństwa Publicznego jako – od 1 kwietnia 1955 roku – naczelnik Wydziału III Departamentu III, zajmującego się walką z podziemiem reakcyjnym, jak wówczas mówiono. Departamentem III kierowała Julia Brystiger.

Znał ją już wcześniej, gdy stała na czele Departamentu V, w którego gestii były między innymi sprawy inteligencji. Do pracy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego niemal zmusił ją Władysław Gomułka. Przed wojną zrobiła we Lwowie doktorat z historii. Henryk Wendrowski był podobno

od początku ulubieńcem Julii Brystiger. Tak opowiadał o niej Henrykowi Piecuchowi:

„To wyjątkowo urokliwa dama, w pełnym tego słowa znaczeniu. Byłą jedyną osobą z całego kierownictwa resortu, z którą można było o wszystkim pogadać. Nigdy nie unikała nawet najtrudniejszych tematów. Inteligencją przerastała o głowę nie tylko Radkiewicza [Stanisław, minister bezpieczeństwa publicznego – P. L.], ale nawet Mietkowskiego [Mieczysław, wiceminister bezpieczeństwa publicznego – P. L.], który z niejednego pieca chleb jadł.

Zapytałem ją kiedyś, dlaczego nie została ministrem, skoro ma ku temu najlepsze kwalifikacje.

Tak, to szczera prawda. Na pewno ani przed nią, ani po niej nie było bardziej kompetentnej osoby do kierowania tym trudnym resortem. Usłyszałem, że szefowanie jej nie bawi. Ma swój Piąty Departament. Może robić, co jej się podoba. A wpływ na resort i tak miała. Zarówno minister, jak i wiceministrowie nadzwyczaj serio traktowali jej życzenia. Gdyby przypadkiem napotkała na jakieś trudności, zawsze mogła wszystko załatwić, poza plecami przełożonych, z Bierutem lub z Bermanem”.

Brystiger i Wendrowskiego łączyła też całkiem przyziemna sprawa. W przeciwieństwie do wielu funkcjonariuszy MBP, na co dzień chodzących w mundurach, oni ubierali się po cywilnemu.

W 1956 roku rozwiązano również Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Henryk Wendrowski został 28 listopada tegoż roku naczelnikiem Wydziału IX Departamentu I MSW, zajmującego się wywiadem. A 1 maja 1961 roku w tym samym Departamencie naczelnikiem Wydziału III.

Pomiędzy majem 1962 roku a 1968 rokiem pozostawał w dyspozycji dyrektora Departamentu I MSW, będąc jednocześnie wicedyrektorem Departamentu Konsularnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i szefem misji wojskowej w Wietnamie w randze ambasadora. W 1968 roku ostatecznie rozstał się z MSW. W tym samym roku został ambasadorem w Danii, a w 1979 roku na Islandii. Na emeryturę przeszedł w 1981 roku.

Henryk Wendrowski był podobno kulturalnym panem, który władał kilkoma językami, w domu miał mnóstwo książek, a na ścianie grafikę Norwida. I własne akwarele.

„Czasem podkreśla to, co mówi, gestem, ale tylko kiedy trzeba – opisywał go Henryk Piecuch. – Jest trochę jak dziecko, zawsze doskonale, choć nieco staromodnie ubrane. Ostatnio zaczął tyć i posiwiał znacznie, ale właściwie wygląda jak dobrze zakonserwowany, zamożny człowiek. Z powodzeniem mógłby zasiąść w najlepszym towarzystwie. Mówi spokojnie, wyraźnie, wolno.

Ma dykcję trochę aktorską, świetną wymowę, buduje krótkie, jasne zdania. Duże wrażenie robią jego ręce. Porusza nimi wolno, gestykulując rzadko i spokojnie. Ręce, które mimo swej pozornej kobiecości mają w sobie coś niesłychanie drapieżnego. Te ręce ostatnio trzymały najczęściej pędzel. Ale był w życiu Wendrowskiego czas, gdy w jego rękach najczęściej pojawiał się pistolet.

Twarz byłego dyplomaty jest miła, policzki pulchne, tylko nos lekko zdeformowany. Gdyby nie inteligencja, można by go wziąć za byłego boksera wagi ciężkiej, który zrobił zawodową karierę. I czoło, jakieś nietypowe, a może jest to czoło człowieka nadzwyczaj uzdolnionego?

Wendrowski chwilami tłumaczy coś, trochę po belfersku, ale nie jest to zamierzone. Gdy sam to zauważa, śmieje się. Jest pogodny i przyjazny, ale jego ruchy są wyraźnie spowolnione. Sposób poruszania się gospodarza przypomina film puszczony na zwolnionych obrotach. Jest to prawda. Życie Wendrowskiego od jakiegoś czasu biegnie na bardzo zwolnionych obrotach, a w jego organizmie czai się śmierć. Stąd to spowolnienie. Pułkownik wie o tym i wiosną 1995 r. mówi, że zostało mu jeszcze najwyżej pół roku życia. Nic już nie namaluje. Nic już nie napisze. Może mi jedynie opowiedzieć, dlaczego robił to, co robił".

W szpiegowskiej grze Henryk Wendrowski najczęściej posługiwał się Stefanem Sieńką. Czuł do niego tylko szacunek. Nigdy się z nim nie zaprzyjaźnił. Oficerowie tajnych służb nie kumplują się z agentami.

Ponoć już po upadku komunizmu odwiedził go w roku 1993 wysłannik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i przypomniał o obowiązku dotrzymania tajemnicy służbowej, z którego zwolnić może tylko sam minister.

Czy rzeczywiście to Henryk Wendrowski był człowiekiem, który ukrywał się pod pseudonimem „Kos"? Czy to on udawał dowódcę V Komendy? „Kos" obrósł legendą, bo ludzie z WiN – i prawdziwi, i agenci – nie wiedzieli, jak się nazywa, skąd się wywodzi, jaki ma stopień wojskowy.

Przez cały ten czas, gdy szukałem prawdy o „Kosie", gdy tropili go historycy, gdy WiN-owcy dociekali, kto był mózgiem prowokacji, utarło się przekonanie, że to właśnie Henryk Wendrowski. Świadczyły o tym fragmenty dokumentów, strzępy relacji.

Teraz po latach wiem, że prawdziwego „Kosa" nie sposób znaleźć, bo to nie jedna twarz ukryta pod różnymi maskami. To kilka twarzy, na które zakładano tę samą maskę.

Dlatego opisy czasem nie pasowały do siebie. W rolę „Kosa" prawdopodobnie wcielało się kilku innych poza Wendrowskim funkcjonariuszy MBP. „Kosem" bywał Franciszek Abraszewski „Boruta", były oficer AK, być

może bywał nim Leon Łapiński, na co dzień śledzący partyzantkę UPA. A może „Kosa” udawał też ktoś z prawdziwego WiN, kogo nazwiska już nigdy nie poznamy?

„Kosa” nie sposób odnaleźć, bo to taka sama mistyfikacja jak V Komenda. To mit, legenda, a nie człowiek. To postać, która żyje głównie w dokumentach słanych na Zachód. Na spotkaniach z prawdziwymi konspiratorami rzekomy dowódca V Komendy pojawił się tylko kilka razy w ciągu pięciu lat. Chronić go miała tajemniczość i to ona go uwiarygodniła.

Istniał na kartach korespondencji z Delegaturą i w opowieściach Stefana Sieńki, który podawał się za jego podkomendnego. „Kos” zrodził się ze słów.

Żona Wendrowskiego po długim namyśle poprosiła go do słuchawki.

– Chciałbym porozmawiać o operacji „Cezary” – zaproponowałem.

– Spóźnił się pan – odpowiedział. – Czekam na operację, ale nerek. Miałem już operowany pęcherz. Nie wiem, czy przeżyję. To bardzo poważna operacja.

10

V Komendzie brakowało dowódcy. Kogoś godnego przewodzić rzekomemu WiN-owskiemu podziemiu.

„Kos” był mityczną postacią nawet dla Delegatury. Józef Maciołek nie znał nazwiska – a co za tym idzie bojowego życiorysu – osoby, która rzekomo stała na czele V Komendy. To od początku była największa słabość operacji „Cezary”. Stefan Sieńko mógł uchodzić za jedną z ważnych postaci, ale nie najważniejszą. Był zbyt młody. Brakowało mu życiorysu wyższego oficera, najlepiej jeszcze z przedwojenną żołnierską przeszłością.

Ubecy zdawali sobie z tego sprawę. Szukali kogoś, kto mógłby mocniej uwiarygodnić V Komendę. Być może nawet upatrzyli sobie kandydata. Ale to już domysły, a nie fakty.

Żaden dokument nie wspomina o prawdopodobnej próbie werbunku więzionego na Mokotowie generała Augusta Fieldorfa „Nila”. Nieudanej. Ale za swój twardy charakter generał zapłacił życiem. Fieldorf byłby znakomitym szefem V Komendy WiN. Mógłby zastąpić „Kosa”, mitycznego dowódcę.

W Warszawie Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu zajmowała się sprawą osób, które przygotowywały proces przeciwko generałowi „Nilowi” zakończony zbrodnią sądową: orzeczeniem kary śmierci. Pracownik komisji Mieczysław Sosiński powiedział mi:

– Z akt nie wynika, że „Nila” usiłowano zwerbować. Agenci Urzędu Bezpieczeństwa też temu zaprzeczają.

Delegatura WiN mogła jednak być przekonana, że generał Fieldorf stoi na czele Wydziału Wojskowego V Komendy. Józef Maciołek pisał w 1953 roku w sprawozdaniu dotyczącym infiltracji WiN: „Najgroźniejsze uderzenie nastąpiło w październiku 50 r.; wpadło wtenczas z kadry 100 ludzi. Między innymi został aresztowany »Nil« z Wydz. Wojsk.; miał ten pseudonim w AK”.

Maria Fieldorf, bratanica generała, wraz z mężem Leszkiem Zachutą autorka biografii *Generał „Nil” – August Emil Fieldorf. Fakty, dokumenty, relacje*, powiedziała mi:

– Nic o tym nie wiem. Żadne źródła nie wspominają, żeby stryj był w WiN.

Wytłumaczenie wydaje się jedno: Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego dezinformowało Delegaturę o pracy „Nila” w Wydziale Wojskowym WiN. Generał siedział w więzieniu od 10 listopada 1950 roku.

W książce Henryka Piecucha *Akcje specjalne. Od Bieruta do Ochaba* pułkownik Julia Brystiger stwierdza:

„Sprawa z »Nilem« była nadzwyczaj delikatna. Chodziło o przeciągnięcie generała na naszą stronę lub, w ostateczności, zneutralizowanie go. Dawało mu to szanse przeżycia kosztem niewielkiego wyroku. Powiedziałam to w oczy Fieldorfowi, proponując mu równocześnie podpisanie ulotki, odezwy do swoich żołnierzy. Spotkałam się z kategoryczną odmową. Sprawę przejął III Departament […]. Fieldorf to był człowiek nie do złamania. Mimo to mógł żyć. Ale moi koledzy nie wytrzymali. Im się bardzo spieszyło. Chcieli wspaniale się rozwijającą grę uczynić jeszcze błyskotliwszą. Pragnęli zaszokować Delegaturę Fieldorfem […]. Zagrali z generałem w otwarte karty. Wiedzieli, że taki fachman jak »Nil« nie da się wykorzystać w ciemno. Do tej pory grali Sieńką, czyli »Wiktorem«. Tym facetem trudno było zaimponować Amerykanom. A w nich celowano.

Gdy Fieldorf zdecydowanie odrzucił propozycję współpracy, sprawa stała się groźna dla bezpieczeństwa ludzi biorących udział w grze. W pewnym momencie »Nil« wiedział za dużo, aby żyć. Musiał umrzeć”.

Henryk Piecuch nie przemówił do mnie swoim opisem rozmowy z Julią Brystiger. To bardzo ważne w literaturze faktu, aby czytelnik nabrał przekonania, że autor nie brnie gdzieś w stronę fikcji.

Kiedy reporter opisuje szczególnie niezwykłe spotkania, nie wystarczy, że przytoczy czyjąś rzekomą wypowiedź. Powinien w narrację wpleść trudne do podrobienia detale. Opisać, co wisiało na ścianie u osoby, z którą – jak twierdzi – rozmawiał. Jakie firanki ozdabiały okno. Jaki w kącie stał telewizor. Co dostrzegł na biurku. Najlepiej, gdy zauważy coś niepowtarzalnego albo zaskakującego. Jak wałki na głowie groźnej komunistycznej prokurator, która oskarżała ludzi podziemia.

To tylko z pozoru zbędne informacje. Owe szczegóły to broń przeciwko czytelnikom takim jak ja – niedowiarkom. Rolą czytelnika nie jest bowiem dociekanie, czy autor napisał prawdę. To reporter powinien go przekonać, że nie kłamie.

Istnieje wszakże jeszcze jedna ważna poszlaka wskazująca na próbę wmanipulowania generała Fieldorfa w V Komendę. Maria Fieldorf i Leszek Zachuta w książce *Generał „Nil” – August Emil Fieldorf. Fakty, dokumenty, relacje* napisali: „W czasie widzenia w dniu 3 lutego 1953 r. generał wyjawił żonie, co w jego przekonaniu było powodem skazania go na karę śmierci. »Czy wiesz, dlaczego mnie skazali? Bo odmówiłem współpracy z nimi«”.

Generała „Nila” powieszono w lutym 1953 roku, dwa miesiące po zakończeniu operacji „Cezary”.

To, co Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego nie udało się z „Nilem”, powiodło się z księdzem Stanisławem Kluzem. Choć oczywiście nie nadawał się na szefa V Komendy, to mógł ją nieświadomie uwiarygodnić. MBP w imieniu V Komendy wysłało go za granicę do Delegatury Zagranicznej WiN.

Ksiądz Kluz – kolejna ciekawa szkatułka V Komendy – należy do najbardziej znanych osób związanych z WiN. Napisał pierwszą wydaną na Zachodzie książkę o WiN. Opublikowana w 1978 roku nosiła tytuł *W potrzasku dziejowym. WiN na szlaku AK. Rozważania i dokumentacja*.

Ksiądz Kluz pisał o zmieniającej się Polsce: „W kurzu krwi bratniej, wśród łez pokrzywdzonych i cierpiących, reżim komunistyczny w Polsce z Rosją sowiecką (bolszewicką) spłodził dwa twory: kapitalizm państwowy, oparty o wyzysk narodu, podparty tzw. dyktaturą proletariatu (raczej dyktaturą nad proletariatem) i nową partyjną i ubowską »szlachtę«. Gdy dawna szlachta musiała się wykazać metryką »dobrze urodzonych«, jako posiadających błękitną krew i herby, tak nowa partyjno-ubowska musi zdobyć metrykę »dobrze zasłużonych« w rozlewie krwi bratniej, a w miejsce herbu mieć przepustkę – dowód zaufania rosyjskiego imperializmu herbu młota i sierpa. Prócz tego jest wymagana nienawiść Boga i ludzi oraz zdolność mordowania na rozkaz. Dla zdobycia tego szlachectwa nie wystarcza dowód na papierze (legitymacja partyjna), lecz wymagane są czyny i to czyny, które palą mosty do odwrotu, czyny skropione krwią. Trzeba być oprawcą”.

Autor opisał również w książce dzieje prowokacji, jakiej sam uległ.

Stanisław Kluz ukończył seminarium w Przemyślu i Brzozowie, a na kapłana wyświęcono go w maju 1941 roku. Podczas wojny związany był z konspiracją ZWZ-AK. Ukończył szkołę podchorążych.

W 1946 roku skazano go na trzy lata więzienia za działalność podziemną. Po zwolnieniu w 1949 roku pracował w Kurii Biskupiej we Wrocławiu. Od 1951 roku studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Uzyskał magisterium i doktorat z teologii.

W Krakowie zgłosiła się do niego Danuta Ćwiklińska, łączniczka Stefana Sieńki. Danutę poznał jeszcze jako nastolatkę podczas wojny. Sieńce ksiądz ufał, bo znał go jeszcze z okupacyjnej konspiracji. Kobieta przybyła z propozycją, aby ksiądz wyjechał na Zachód jako emisariusz WiN. Dotrzeć miał do Delegatury, do Józefa Maciołka, którego również poznał w AK-owskich latach. Sieńkę zaś Kluz traktował jako jego oddanego podwładnego.

W protokołach przesłuchań Urzędu Bezpieczeństwa wyglądało to nieco inaczej niż w opublikowanych wspomnieniach. Ksiądz trzymał się linii obrony, zgodnie z którą wyjazd na Zachód nie miał nic wspólnego z działalnością podziemną, tylko wiązał się z rzekomymi erotycznymi relacjami z Danutą

Ćwiklińską. Nie chciał przyznać, że była łączniczką podziemia, wolał utrzymywać, że jego kochanką. Ksiądz zeznawał, a przynajmniej tak zanotował ubek: „W kwietniu lub w maju 1952 r. przyjechała z Wrocławia do mnie do Krakowa znajoma moja Ćwiklińska Danuta, która w rozmowie ze mną zaproponowała mi abym uciekł wraz z nią nielegalnie za granicę i abyśmy już za granicą zawarli związek małżeński". Ksiądz stwierdził, że wówczas nie zgodził się. Dalej mówił: „Następnym razem w lipcu 1952 r. Ćwiklińska ponownie przybyła do mnie do Krakowa i tym razem także zaproponowała mi ucieczkę za granicę, wyjaśniając mi przy tym, że ma możliwość przedostania się za granicę przez swego narzeczonego Gołębia Tomasza, który przebywa za granicą i który chce koniecznie, by ona również uciekła z Polski. Ćwiklińska zaznaczyła mi jednak, że wykorzystamy pomoc w ucieczce za granicę, jaką Gołąb chce jej ofiarować, uciekniemy z Polski oboje i tam się pobierzemy".

Od 1949 roku Tomasza Gołąba i Danutę Ćwiklińską łączył konspiracyjny ślub – zawarli go w kościele Bonifratrów we Wrocławiu, pomijając cywilną procedurę – trudno więc, aby proponowała ślub księdzu Kluzowi – ale o tym ubecy nie wiedzieli. Tomasz Gołąb i Danuta Ćwiklińska byli rodzicami chrzestnymi córki Stefan Sieńki. Obaj, Gołąb i Sieńko, pozostawali w równie bliskich stosunkach z Józefem Maciołkiem.

„Sieńko opracowywał ze mną drogę, specjalne punkty po przejściu granicy, bo do granicy miał mnie prowadzić przewodnik" – wspominał Tomasz Gołąb. Chodziło o ten sam szlak przerzutowy, którego potem użył agent Marian Strużyński „Artur". „Opisał mi dokładnie trasę i polecił mi, bym się tego na pamięć nauczył: ja mam dojść do pierwszego punktu tuż nad granicą w Eibau, gdzie jest drugi punkt i jak tam będę mógł dojść bez pytania w razie potrzeby. Z pierwszego punktu miał mnie zabrać na motocyklu człowiek do drugiego punktu w Löbau, a tam miał już przyjechać po mnie łącznik i zawieźć mnie pociągiem do Berlina. Ostatnie spotkanie przed wyjściem z Polski miałem mieć z komendantem WiN w Kazimierzu nad Wisłą, dokąd pojechałem w tym celu z Sieńką. Jednak znowu z powodu jakichś naturalnych przeszkód, naturalnych w konspiracji, do spotkania nie doszło. Stanęło więc na tym, że odprawi mnie sam Sieńko, na co jego pozycja w organizacji wystarczała. Kiedy pytałem Sieńkę o to, w jakim charakterze jestem wysyłany, powiedział mi, iż mój status zostanie określony dopiero po moim dotarciu do Delegatury, w zależności od tego, jak się tam zachowam. Na pytanie, co zabieram ze sobą, odpowiedział mi Sieńko, że dla bezpieczeństwa nic przeze mnie nie podają, bo przecież mają dobre bezpieczne kanały, którymi przesyłają pocztę Delegaturze. O moim pseudonimie za granicę (»Wacław«) dowiedziałem się po raz pierwszy albo od przewodnika z Berlina, albo dopiero w Berlinie. Moim zadaniem było

dokładnie poinformować Delegaturę o sytuacji w Kraju i o sytuacji w organizacji WiN, tak jak to sam widziałem, żyjąc i pracując jako członek Podziemia w Kraju. Nie mając żadnego pojęcia o opanowaniu organizacji przez UB, o roli Sieńki, jechałem tam naprawdę »w ciemno«, co więcej, byłem przekonany, że organizacja działa tak dobrze, jak warunki tego czasu na to pozwalają. Pamiętam moje pożegnanie na 1–2 miesiące przed wyjazdem z księdzem Staszkiem Kluzem na cmentarzu we Wrocławiu, obok torów tramwajowych z Wrocławia do Oporowa. Nie pamiętam już, jak do niego doszedłem. Zdaje się, że przy przypadkowym spotkaniu go na ulicy we Wrocławiu dał mi swój adres u sióstr zakonnych we Wrocławiu. Opowiedział mi swoje losy po 1945 r., o aresztowaniu w Rozwadowie, więzieniu we Wronkach i o obecnej sytuacji, którą opisał jako bardzo ciężką. On czuł, że UB stale go obserwuje i »chodzi mu po piętach«. Miał złe przeczucia, czym to się znowu dla niego skończy”.

Kiedy w zachodnich Niemczech potrzebowano kapelana do polskiej sekcji Radia Wolna Europa, Tomasz Gołąb zaproponował, aby sprowadzono z kraju księdza Stanisława Kluza. A przy okazji Danutę Ćwiklińską, która nieświadomie posłużyła Stefanowi Sieńce w kontaktach z księdzem. To był jedyny przypadek, kiedy do Delegatury miały udać się osoby wskazane przez Józefa Maciołka, a nie wyznaczone przez prowokatorów z V Komendy.

Ksiądz zeznał, że mężczyzna, którego na spotkanie przyprowadziła Ćwiklińska, proponował mu współpracę z WiN. Ksiądz odmówił – tak zanotowano w zeznaniach, co znaczy, że mogło to być zarówno prawdą, jak i fałszem. Zgodził się jedynie pośredniczyć w kontaktach podziemia z Episkopatem. Do tego jednak nie doszło, bo księdza aresztowano.

Zeznania księdza Stanisława Kluza to przykład fikcji budowanej na użytek obrony przed oskarżeniami. Fikcji tak sugestywnej, że i po latach może przekonać kogoś badającego historię jedynie na podstawie dokumentów o wyłącznie erotycznym kontekście całej sprawy.

Według opublikowanych później wspomnień księdza Stanisława Kluza propozycja wyjazdu wyszła bez wątpienia od pani doktor D. (tak nazywał Danutę Ćwiklińską we wspomnieniach; była lekarzem). Pomysł ponoć zdziwił księdza. Przecież dla Urzędu Bezpieczeństwa znajdował się wciąż w kręgu podejrzanych. Niedawno wyszedł z więzienia. W każdej chwili ktoś z aresztowanych mógł go obciążyć nowymi zeznaniami. Wahał się. Z jednej strony chętnie wyjechałby za granicę i opowiedział tam o sytuacji w kraju; z drugiej czuł wewnętrzny niepokój. W pierwszej chwili więc odmówił.

Sieńko jednak nalegał. Ksiądz zaproponował, aby wiosną 1952 roku spotkali się w cztery oczy w kościele Mariackim. Ale na miejsce zamiast Sieńki przybył człowiek, przedstawiający się według wspomnień pseudonimem „Zygmunt”, a według zeznań – „Józef”. Towarzyszyła mu łączniczka Ćwiklińska. Sam Sieńko podobno był chory. Już tylko we dwóch przeszli na krakowskie Planty. „Zygmunt” – rzekomy szef wywiadu V Komendy – ponowił propozycję wyjazdu. Ksiądz znowu odmówił.

Jakiś czas później „Zygmunt” zatrzymał się u księdza na noc. Długo wtedy dyskutowali. Ksiądz opierał się, przekonywał, że jest zmęczony pisaniem doktoratu, że po przeżyciach więziennych nie chce znowu uczestniczyć w niebezpiecznych przedsięwzięciach. I że zwątpił w sens konspiracji. „Zygmunt” z dziwnym błyskiem w oczach – jak ocenił w swoich książkowych wspomnieniach Stanisław Kluz – stwierdził, że ksiądz przecież zawsze konspirował, więc i tak mogą go w każdej chwili aresztować.

Ksiądz brał nawet pod uwagę, że to wszystko jest prowokacją, i zastanawiał się, czy nie zameldować o całej sprawie na UB. Ale gdyby się mylił, wówczas uznano by go za zdrajcę.

Jesienią 1952 roku przeniósł się do Brzegu nad Odrą. To miejsce znało zaledwie kilka osób, wśród nich Danuta Ćwiklińska.

Ksiądz obawiał się prowokacji. Podczas kolejnego spotkania z „Zygmuntem”, nomen omen pod kolumną Zygmunta w Warszawie, czuł, jakby wokół gęsto było od tajniaków. W końcu jednak uległ namowom.

MBP organizujące całą akcję postanowiło wysłać księdza pociągiem. Podczas późniejszej rozprawy w sądzie Danuta Ćwiklińska zeznała: „Na wypadek aresztowania ja rzuciłam propozycję, że będziemy tłumaczyć się w ten sposób, że jedziemy za granicę, żeby się tam pobrać”. Rozmowy z księdzem Kluzem nazywała „prywatnymi”, a spotkania „towarzyskimi”. Aż do czasu aresztowania – a może nawet później – nie zorientowała się, że Stefan Sieńko manipulował nią zgodnie z poleceniami UB.

Do płaszcza wszyto księdzu fałszywy paszport, marki, dolary, dokumenty drukowane na jedwabnym płótnie i szyfrowane na japońskiej bibule. Kiedy wsiadł do pociągu, miał wrażenie, że w przedziale otaczają go ubecy. Wyszedł do toalety, materiały wypruł, podarł, wrzucił do muszli i spuścił wodę. „Gdzie jest płócienko drukowane i papier japoński?” – brzmiało pierwsze pytanie w Urzędzie Bezpieczeństwa w Węglińcu, gdzie księdza aresztowano. Płaszcz pocięto. Płócienko i japońska bibuła groziły karą śmierci.

Księdza Stanisława Kluza w więzieniu na warszawskim Mokotowie skazano w procesie „kiblowym”, bez udziału obrońcy. Dostał dwanaście lat za

szpiegostwo, nielegalne przekroczenie granicy i posiadanie obcej waluty. Karę zamieniono później na osiem lat. Trzydzieści razy przenoszono go z celi do celi.

Późnym latem 1955 roku na fali odwilży ksiądz zaryzykował: zażądał ołówka i papieru. Napisał do naczelnego prokuratora prośbę o natychmiastowe zwolnienie.

„Uzasadniłem, że ponieważ przyczyną mojego aresztowania była prowokacja, ja jako sprowokowany powinienem być zwolniony, a prowokator powinien być ukarany – wspominał. – Po raz pierwszy dałem do zrozumienia władzom UB, że wiedziałem i wiem o prowokacji". I rzeczywiście. W piśmie do Naczelnego Prokuratora Wojskowego ksiądz Stanisław Kluz stwierdzał, przedstawiając swoje wątpliwości związane z ucieczką za granicę: „Powoli dochodzę do przekonania, że »Józef« to prowokator. Nie mam wyjścia. Wpadam w wewn. depresję. W przeczuleniu strachu zdaje mi się, że – czy doniosę o »Józefie« do UB czy nie doniosę – będę i tak aresztowany (w najlepszym wypadku) lub zlikwidowany". Powtórzył to jeszcze przy okazji opisu, jak wsadzono go do pociągu z – jak sądził – ubekami po cywilnemu w przedziale: „Wówczas już byłem pewny, że to prowokacja i że nie mam wyjścia".

Po aresztowaniu ubecy nie chcieli słuchać, co ma do powiedzenia. Od razu oznajmili, że o wszystkim wiedzieli, zanim jeszcze ksiądz odjechał z Warszawy. To go ostatecznie upewniło, że padł ofiarą prowokacji.

Losy ludzi wplątanych w dzieje V Komendy są tak skomplikowane, że pewien fakt nie powinien dziwić. Wcześniej – zanim wmanipulowano go we współpracę z WiN – ksiądz Stanisław Kluz był współpracownikiem UB. Miał donosić Wojewódzkiemu Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu. Przyznał to również w podaniu o zwolnienie z więzienia. Jednak kontakt z UB zerwał.

„Ksiądz K. od dawna już uchylał się od współpracy" – stwierdzono w opracowaniu, które powstało jako podsumowanie operacji „Cezary". Jego autor opisuje historię księdza jako przykład niedbałej pracy funkcjonariuszy MBP. Ministerstwo w Warszawie w chwili przygotowywania wyjazdu do Delegatury nie wiedziało jeszcze, że ksiądz współpracował z inną terenową jednostką Urzędu Bezpieczeństwa. Ustalono to dopiero przed aresztowaniem księdza w Węglińcu.

Ubecy potem uznali, że sprawę księdza Kluza rozegrano błędnie. Uchylał się od kontaktów, a nawet ukrywał, a UB nie starało się go odnaleźć. Trafiono na niego znowu trochę przypadkowo, za sprawą jego kontaktów z ludźmi z WiN, których ksiądz uznał za zaufanych działaczy.

Ale ubekom powiodła się akcja dezinformacyjna i spowodowali zamieszanie związane z dwoma księżmi Kluzami. Jako były współpracownik podziemia ujawnił się ksiądz Stanisław Kluz z Wrocławia, autor piszący w „Tygodniku Powszechnym”. Opisano to w „Słowie Powszechnym”. Na Zachodzie początkowo nie zorientowano się, że chodzi o dwie różne osoby.

Księdza Kluza aresztowano w połowie grudnia 1952 roku, niedługo przed ujawnieniem się V Komendy. Jego kolejowa podróż na Zachód odbywała się w pośpiechu. Wcześniej planowano, że na przełomie roku 1952 i 1953 okrętem podwodnym zostanie do Polski wysłany kurier Delegatury Ursyn Niemcewicz „Witold”, a zabrany na Zachód Stanisław Kluz. Ksiądz – siedząc w więzieniu – nabrał podejrzeń, że zmiana planów musiała wynikać z nagle podjętej decyzji. Przecież przechwycenie desantu łodzi podwodnej dałoby komunistom olbrzymie korzyści propagandowe. Prasa długo rozpisywałaby się o zamachu na polską suwerenność. Podobnie jak zrobiła to w przypadku skoczków Dionizego Sosnowskiego i Stefana Skrzyszowskiego. Sprawa uderzyłaby i w amerykański wywiad, i w Delegaturę, wciąż kierowaną przez Józefa Maciołka. Z jakiegoś powodu jednak ubekom zaczęło się spieszyć. Przyczynę mógł znać Stefan Sieńko.

11

Wysłanie na Zachód Józefa Maciołka było poważnym błędem. Już choćby z tego powodu, że Maciołek, który został szefem Delegatury, nie znał języków obcych i nie potrafił się ich uczyć. Tak uważał Andrzej Pomian. Swoją krytyczną opinię o Maciołku przedstawił w 1987 roku na antenie Radia Wolna Europa. Bo emigranci znowu zaczęli dyskutować o V Komendzie, z powodu wydanej w Polsce książki *Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą*… To właśnie wtedy szef wywiadu i kontrwywiadu po raz pierwszy oficjalnie stwierdził, że V Komenda była mistyfikacją.

Andrzej Pomian opowiadał o Józefie Maciołku: „Mimo dużej, wrodzonej inteligencji, dobrego zmysłu politycznego i niezłomnego patriotyzmu, nie miał on dostatecznych kwalifikacji na takie stanowisko”. Tłumaczył: „Pochodząc z Galicji, nie znał dobrze ani mentalności rosyjskiej, ani metod sowieckich zaszczepionych bezpiece. Był uparty i niewrażliwy na najbardziej nawet ważkie argumenty, jeśli szły nie po jego linii rozumowania. Miał ogromne zaufanie do osób z tego samego co on środowiska rzeszowskiego, zwłaszcza wiejskiego, z którymi stykał się w konspiracji. Tłumaczyłem mu często, że w korespondencji z krajem nie wolno podawać ani nazwisk osobistości emigracyjnych, z którymi miał do czynienia, ani szczegółów organizacyjnych instytucji, z którymi współpracował, ani w ogóle niczego, co mogłoby dopomóc bezpiece do rozpoznania poczynań emigracji, gdyby wpadło w ręce władz reżimowych. Maciołek potakiwał, ale robił swoje. Informował o wszystkim główny zarząd WiN, jak się o tym miałem później przekonać. W rezultacie stał się z naiwności bezwiednym informatorem bezpieki i dekonspiratorem emigracji”.

Kiedy w Polsce ujawniła się V Komenda, na emigracji największe gromy spadły właśnie na Józefa Maciołka. To przecież jego protegowany, Stefan Sieńko „Wiktor”, podpisał się pod dokumentem opublikowanym na pierwszej stronie propagandowej „Trybuny Ludu”.

„Zamknięty w ubikacji, polecam naszą sprawę Panu Bogu i Matce Najświętszej, oczekując dalszych wydarzeń” – napisał Stefan Marian Rostworowski „Ignacy” o pożegnaniu z Polską. W toalecie ukrył go kapitan belgijskiego statku, którym wypływali na Zachód. Na pokład bowiem wkroczyli ubecy.

Stefan Rostworowski i Józef Maciołek uciekali na Zachód. Ruszyli na rozkaz szefa II Komendy WiN, pułkownika Franciszka Niepokólczyckiego. Wypłynęli w siódmą rocznicę napaści Niemiec na Polskę – 1 września 1946 roku. Z tej dwójki Rostworowski zdecydowanie lepiej obracał się w świecie. Wychowany za granicą. Studiował w Wyższej Szkole Handlowej w Antwerpii. Początkowo to on dominował nad drugim emisariuszem.

Maciołek i Rostworowski dostali się na pokład belgijskiego statku Nellie w Gdyni. Trafili tam skierowani przez poselstwo belgijskie. Polskiemu podziemiu łatwiej było korzystać z pomocy ambasad mniejszych państw zachodnich. Placówki brytyjską i amerykańską pilnie obserwowało UB.

To właśnie Stefan Rostworowski „Ignacy" organizował kontakty WiN z ambasadą amerykańską i poselstwem belgijskim. Przyjął go również prymas August Hlond i razem ustalili, w jaki sposób do sekretariatu prymasa docierać będą raporty WiN dotyczące nastrojów Polaków i komunistycznych represji.

Udało się. Wypłynęli na morze. Rostworowski zaczął poznawać załogę. „Józef – napisał o Maciołku – nie rozumiejący słowa w żadnym języku obcym, był odcięty od tych rozmów i udziału w nich brać nie mógł, co niestety było dużą stratą dla sprawy".

Sytuacja Polski była dramatyczna. Wysłannicy WiN wieźli ze sobą memoriał do Rady Bezpieczeństwa ONZ. Napisano w nim: „Zlikwidowanie agresji sowieckiej w stosunku do Polski leży w interesie całego cywilizowanego świata. Polska jest tylko małym etapem w przestrzeni i czasie do realizacji przez Związek Sowiecki i Komintern agresji w stosunku do reszty Europy, do reszty cywilizowanego świata".

Na Zachód popłynęło dwóch emisariuszy WiN, ale planowano, że będzie ich czterech. Z kraju ostatecznie nie wyruszył Karol Chmiel, żołnierz podziemia i członek Polskiego Stronnictwa Ludowego. Kontaktował się z otoczeniem opozycyjnego wicepremiera i szefa ludowców Stanisława Mikołajczyka. W późniejszym akcie oskarżenia zarzucono mu również spotkanie latem 1946 roku z samym Mikołajczykiem, ale prawdopodobnie nie była to prawda. Chmiel relacjonował swoje rozmowy z ważnymi ludowcami szefowi Obszaru Północnego WiN, którym był wówczas Łukasz Ciepliński. Potem, w marcu 1951 roku stracono go wraz z całą IV Komendą WiN.

W Polsce pozostał też Jerzy Seweryn Cichalewski, kapitan, przez długi czas współpracownik Władysława Raczkiewicza, prezydenta na uchodźstwie, gdy ten był wojewodą pomorskim. Dodanie Cichalewskiego do składu delegacji wskazywało, że WiN uznaje majestat najważniejszej emigracyjnej instytucji. Cichalewski na Zachodzie znalazł się jednak później. Wysłała go „w ciemno" V Komenda. W Polsce odprawiał go „Kos". Cichalewski nieświadomie

wzmocnił wiarygodność prowokacji, na Zachodzie doceniono bowiem, że jako reprezentanta dowódcy WiN przerzucono wysokiej rangi oficera. Spotykał się z oficerami wywiadów amerykańskiego i brytyjskiego. Rozmawiał z emigrantami. Ubecy liczyli, że wróci do kraju, on jednak, powołując się na swój wiek, odmówił przyjazdu.

Historycy przypuszczali, że emisariusze WiN po dotarciu do Wielkiej Brytanii spotkali się najpierw z funkcjonariuszami brytyjskiego wywiadu, a dopiero potem z polskimi władzami emigracyjnymi. Zastanawiała spora luka czasowa – od ich wypłynięcia z Polski do oficjalnych rozmów minęły aż trzy tygodnie. Wydawało się więc, że początkowo ich wiarygodność badał brytyjski kontrwywiad. Jednak kolejny raz okazało się, że światem rządzą nie tylko spiski, ale też przypadek. Podróż przeciągnęła się za sprawą potężnego sztormu, jakiego nie widziano od 1909 roku. Wichura potopiła statki, wykoleiła pociągi, pozrywała linie telefoniczne w Anglii i we Francji.

„Wiatr niesłychany – opisywał Stefan Rostworowski. – Morze pokryte pianą, wiatr znosi pianę i ją rozpyla. Wygląda to zupełnie jak zawieja i jak silnie mieciony drobny śnieg po ulicy. Chmury lecą nisko i zachodzą z ulewnym deszczem, tak że nic nie widać czasem dalej jak na 100–200 metrów. Szybkość wiatru powyżej 10 stopni Beauforta”.

Emisariuszy WiN Zachód przywitał potężną burzą.

Pułkownik Franciszek Niepokólczycki liczył, że jego dwaj wysłannicy nawiążą kontakt z polskimi władzami wojskowymi w Londynie. Przedstawiając w ramach historii rodzinnej dzieje misji swojego krewnego, Stefana Mariana Rostworowskiego „Ignacego”, Stanisław Jan Rostworowski przypominał, że WiN, złożony przecież z żołnierzy AK, nie zyskał wcześniej aprobaty naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Było nawet gorzej. Tadeusz Bór-Komorowski przez swojego kuriera w listopadzie 1945 roku wysłał polecenie rozwiązania organizacji! Ale jej pierwszy prezes pułkownik Jan Rzepecki siedział już w więzieniu, nie było więc komu przekazać polecenia. Bór-Komorowski po doświadczeniach powstania warszawskiego zrozumiał, że prowadzenie walki bez gwarancji korzystnych decyzji politycznych prowadzi tylko do wykrwawiania się ludzi.

Rostworowski i Maciołek przybyli do Londynu, aby uzyskać poparcie emigracyjnych władz polskich. I zdobyć fundusze na działalność w kraju. Sensem ich misji było jednak skomunikowanie się z polską emigracją, a nie podporządkowanie się jej instytucjom.

Przybysze z Polski pierwsze spotkanie odbyli 24 września 1946 roku. Odwiedzili Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a potem zostali

przyjęci przez generała Stanisława Kopańskiego, szefa Sztabu Naczelnego Wodza. Generał przydzielił im dwóch opiekunów – pułkownika Stanisława Ganę i porucznika Andrzeja Pomiana. Wysłannicy WiN całą wojnę przeżyli w okupowanej Polsce, słabo więc orientowali się w niuansach emigracji. Z kolei emigranci nie bardzo wiedzieli, czym jest WiN.

Kiedy kolejno Rostworowski i Maciołek spotykali się z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem, w ogóle nie rozmawiali o uznaniu WiN przez władze emigracyjne.

Rostworowski podczas spotkania mówił o stosunku Polaków w kraju do władz na emigracji. Stwierdził, że większość Polaków nie uważa za swojego przywódcę komunistycznego prezydenta Bolesława Bieruta. Symbol ciągłości Polski stanowi dla nich prezydent emigracyjny. Gorzej z polskim rządem w Londynie. Choć, zdaniem Rostworowskiego, jest legalny, to jednak całkowicie pozbawiony zdolności skutecznego działania z powodu utraconego uznania międzynarodowego.

Dzień później Władysław Raczkiewicz przyjął Józefa Maciołka. Pytał go o związki WiN z brytyjskim wywiadem i stosunek do akcji NSZ.

Generał Stanisław Kopański obu przyjął w tej samej kolejności co prezydent – 30 listopada Stanisława Rostworowskiego, a 2 grudnia Józefa Maciołka. Z Rostworowskim rozmawiał głównie o polityce, z Maciołkiem o sprawach wojskowych.

Obaj emisariusze w Wielkiej Brytanii znaleźli się w trudnym momencie. Ponad rok wcześniej, 5 lipca 1945 roku, alianci cofnęli uznanie polskiemu rządowi na uchodźstwie. Świat omijał już wzrokiem emigracyjnego premiera Tomasza Arciszewskiego i patrzył na Stanisława Mikołajczyka, poprzedniego londyńskiego premiera, który tymczasem jako wicepremier zasiadł obok komunistów w rządzie w Warszawie. Od tego, jak wielkie swobody uzyska kierowane przez niego opozycyjne Polskie Stronnictwo Ludowe, zależało, czy Polska zachowa choćby pozory demokracji, czy stanie się jedynie satelitą Związku Radzieckiego.

Ale brak międzynarodowego uznania to tylko jeden z powodów, dla których polski rząd na emigracji utracił swoją rangę. Równie ważne było to, że składał się z przedstawicieli partii, które w Polsce nie miały żadnych reprezentantów. Politycznie nie odzwierciedlał krajowych stosunków. Nie miał więc żadnej przyszłości. Gdyby nawet przetrwał do ewentualnego obalenia władzy komunistycznej w Polsce, to i tak nie mógłby przejąć rządów, bo polityczne, gospodarcze i społeczne zmiany w kraju zaszły zbyt daleko.

Rostworowski i Maciołek prawdopodobnie w ogóle nie spotkali się z urzędującym w Londynie premierem Tomaszem Arciszewskim ani z ministrem spraw zagranicznych Adamem Tarnowskim. W każdym razie nie wspomnieli o nich w korespondencji do Polski.

Emisariusze zastali emigrację rozbitą, dzielącą się na coraz mniejsze grupki. Stefan Rostworowski „Ignacy" stwierdził: „Ośrodka dyspozycyjnego w znaczeniu takim, w jakim w kraju sobie wyobrażaliśmy – nie ma. Natomiast są najrozmaitsze ogniwa uważające się każde za najbardziej powołane do władzy".

Był więc prezydent, który co prawda symbolizował ciągłość władz Rzeczpospolitej, ale według Rostworowskiego pozostawał zupełnie bierny. Był rząd gotów trwać dla samego trwania – rząd, który nie przejawiał żadnej pozytywnej inicjatywy, ale okazał się zdolny do wydania destrukcyjnej odezwy, w której potępił WiN. Partie polityczne zaś – według Rostworowskiego – to też była fikcja. Albo składały się z nielicznej grupki działaczy, którzy tworzyli jednocześnie kierownictwo, bez szeregowych członków, albo, jak silniejsze Stronnictwo Narodowe (SN), były rozbite wewnętrznie. Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie przechodziły demobilizację.

Emigracyjne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, w którym dominowali działacze Stronnictwa Narodowego, najchętniej dotowało w kraju podziemie NSZ i NZW. WiN był traktowany jako organizacja sanacyjna.

Paradoksalnie więc działacze tracącego znaczenie rządu na emigracji lekceważyli największą organizację antykomunistyczną w Polsce. Brakowało im orientacji co do tego, jak ważny jest WiN, a krajowe podziemie nie potrafiło im do tej pory takiej wiedzy dostarczyć.

Emigranci nie wiedzieli prawie nic o zmieniającym się politycznym obliczu WiN w Polsce. Janusz Kurtyka, który w latach dziewięćdziesiątych pisał i redagował „Zeszyty Historyczne WiN-u", już jako prezes IPN wyliczał, że pierwszy zarząd Jana Rzepeckiego można nazwać lewicowym, drugi Franciszka Niepokólczyckiego piłsudczykowskim, trzeci Wincentego Kwiecińskiego narodowym, czwarty Łukasza Cieplińskiego ludowo-socjalistycznym. Wszystko oczywiście dość umownie i w przybliżeniu, bo na różnych szczeblach działali ludzie o odmiennych przekonaniach.

Kiedy emisariusze rozpoczynali rozmowy z polskimi władzami emigracyjnymi, UB przypuściło szturm na WiN w kraju. Choć Rostworowski i Maciołek wyruszyli jeszcze jako wysłannicy komendanta Franciszka Niepokólczyckiego, to ten trafił do więzienia już 22 października 1946 roku. Kolejny komendant, Wincenty Kwieciński, wpadł 5 stycznia 1947 roku. Na czele IV Komendy WiN – ostatniej autentycznej – stanął Łukasz Ciepliński.

W tym pasmie tragedii to była jedyna dobra wiadomość z punktu widzenia emisariuszy. To Ciepliński – z upoważnienia komendanta Franciszka Niepokólczyckiego – zatwierdzał bowiem kandydatury Rostworowskiego i Maciołka jako wysłanników na Zachód.

Obaj zostali przez WiN namaszczeni jako stała zagraniczna Delegatura, która przyjęła kryptonim „Dardanele".

Brytyjski wywiad tymczasem był najlepszego zdania o Polskim Ruchu Wolnościowym „Niepodległość i Demokracja" (NiD). Prawdopodobnie dlatego, że żaden z jego członków nie znalazł się w polskim rządzie emigracyjnym, który coraz bardziej uwierał Brytyjczyków. W ich politycznym interesie leżało, aby Polacy powołali swoje emigracyjne przedstawicielstwo, ale nie o charakterze rządowym.

Rostworowski i Maciołek zgodnie ze wskazówkami, które otrzymali w kraju, nawiązali bliższy kontakt z NiD. Organizacja zobowiązała się przekazywać pieniądze na podziemie w Polsce i uruchomić w Szwecji wydawnictwo publikujące materiały WiN.

Rostworowski i Maciołek konferowali równocześnie z brytyjskim wywiadem. Jak pisał Stanisław Jan Rostworowski, Brytyjczycy, im bardziej interesowali się współpracą z Delegaturą, tym mocniej naciskali, aby nie podporządkowywała się władzom polskiej emigracji. Dla emisariuszy WiN była to ważna wskazówka. Brytyjski wywiad mógł dostarczyć znacznie więcej środków na działalność podziemną w Polsce niż emigranci.

Współpraca z czasem stała się ścisła i powszechnie znana. Delegatura WiN doczekała się pogardliwego określenia „Agenci Agnieszek", wywodzącego się od znanego kryptonimu brytyjskiego wywiadu.

Rok po wylądowaniu w Londynie, 19 września 1947 roku, Józef Maciołek został zaproszony na spotkanie przez prezydenta Augusta Zaleskiego oraz premiera Tadeusza Bora-Komorowskiego. W spotkaniu uczestniczył również Andrzej Pomian.

Maciołek ku zaskoczeniu Bora-Komorowskiego wypomniał mu, że w lipcu 1946 roku nakazał rozwiązanie WiN. Premier zaczął się tłumaczyć. Prezydent Zaleski tymczasem stwierdził: „W stosunku do WiN odnoszę się z jak najdalszą sympatią. Prezydent i rząd nie mogą uznawać lub nie uznawać jakiegokolwiek ruchu politycznego, jeśli tylko stoi na gruncie pracy dla Polski. Przepisy rejestracyjne, przewidziane Konstytucją, nie są obecnie do zastosowania. Legitymacją waszej pacy jest opinia kraju, to wystarcza. Uważam za niecelowe

i niewskazane ujmowanie tego w jakąkolwiek formę aktu. Uznaję WiN jako jedno z zasadniczych przęseł frontu Polski Walczącej o niepodległość”.

Józef Maciołek odpowiedział: „Panie Prezydencie, w imieniu Ruchu, który reprezentuję i na zasadzie instrukcji oraz pełnomocnictwa z Kraju, oświadczam, że WiN, uznając Pana za Prezydenta Rzeczypospolitej, polecił mi złożyć hołd i wyrazy najgłębszego uznania”.

To prezydenckie poparcie przyszło na kilka zaledwie miesięcy przed upadkiem prawdziwego WiN i początkiem prowokacji V Komendy.

Potem nastąpiło to, co z reguły stawało się udziałem polskich emigrantów: rozłam. Choć było ich tylko dwóch, to Rostworowski i Maciołek pokłócili się o metody pracy i pieniądze. Rostworowski zarzucił Maciołkowi, że ten nie szukał wsparcia wśród zachodnich polityków. Maciołek odpowiedział, że działał skrycie, więc nie mógł otwarcie nawiązywać kontaktów. Obwiniał jednocześnie Rostworowskiego, że wydawał pieniądze na Agencję Wolności, która próbowała umieszczać w zachodniej prasie informacje o zniewolonej Polsce. Rostworowski zarzuty negował, ale zawieszono go w prawach członka Delegatury.

Gdy podupadało znaczenie polskich władz emigracyjnych, wzrastała ranga Delegatury. Polski Londyn nie reprezentował już właściwie nikogo poza samym sobą, a Delegatura przeciwnie – miała za sobą poważne podziemie w kraju. Tak przynajmniej wielu się wydawało.

Największy sukces odniósł Józef Maciołek w listopadzie 1950 roku, cztery lata od znalezienia się na Zachodzie. Delegatura wynegocjowała umowę z amerykańskim wywiadem – jej treści nigdy nie ujawniono. Ale same rozmowy podsumowano w dokumencie, w którym pod kryptonimem „Rodzina” krył się WiN, a „Przyjaciółmi” nazwano wywiad amerykański.

Ustalono, co następuje: „Współpraca będzie oparta na zasadach wzajemności. Przyjaciele zapewniają, że nie będzie we wzajemnych stosunkach słabszego i silniejszego. Od chwili wejścia w życie umowy zobowiązujemy się nie zawierać wiążących porozumień o usługach i nie przyjmować pomocy za zobowiązaniem, bez obopólnego porozumienia. Dotyczy to tak przedstawicieli innych czynników państwowych lub ich rządów, jak również osób indywidualnych. Nie dotyczy to pomocy i usług przyjmowanych bez zobowiązań”.

Oznajmiono: „Stosunek nasz do Polskich Kół Emigracyjnych jest dobrze znany Przyjaciołom. Jesteśmy niezależni od ich politycznych stronnictw i w tej pozycji mamy zamiar pozostać – chyba że otrzymamy inne zlecenia od Kierownictwa w Polsce. Z Kołami tymi będziemy utrzymywać kontakty dla

oczywistych powodów. Nie mamy jakichkolwiek wiążących umów z partiami politycznymi. Posiadamy natomiast porozumienie z Szefem Sztabu Polskiej Armii na wygnaniu, w sprawie koordynacji działania na wypadek konfliktu zbrojnego”.

Zapowiedziano: „Przyjaciele nie będą stawiać żądań, które byłyby sprzeczne z zadaniami, celami, programem, metodami pracy i strategią Rodziny. Również takich żądań, które są niemożliwe do podjęcia w danym momencie. Rodzina ze swej strony położy nacisk, by w granicach możliwości zrobić wszystko celem rozwiązania zagadnień, które specjalnie interesują Przyjaciół”.

Podsumowano: „Przyjaciele uznają Rodzinę za najbardziej doniosłą i podstawową organizację w kraju. W celu uniknięcia wszelkich nieporozumień i pokrzyżowania sieci, Rodzina będzie poinformowana o wszystkich innych kontaktach z podobnymi ruchami w naszym kraju obecnie lub w przyszłości działających. Przyjaciele nasi powinniby zbadać wraz z nami użyteczność informacji przekazywanych przez tego rodzaju organizacje”.

I dodano: „Przyjaciele udzielą poprzez Delegaturę pełną (totalną) pomoc finansową i techniczną Rodzinie, jak wyniknie z zadań i zobowiązań wspomnianych w zawartym porozumieniu”.

Współpraca miała się zacząć od 15 grudnia 1950 roku.

Ubecy osiągnęli zaplanowany cel.

Przewidziano okres próbny. Do połowy 1951 roku Delegatura miała otrzymać tylko sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Dopiero później, jeśli nadsyłane materiały zadowoliłyby Amerykanów, subwencje miały wzrosnąć.

Anglicy wiedzieli o umowie Delegatury z wywiadem amerykańskim. Ale niektóre ustalenia przed nimi ukryto. Nie poinformowano ich, że Amerykanie przeszkolą polskich dywersantów.

Przygotowanie takich ludzi było dla Amerykanów priorytetem. Ponadto ściągnięcie z Polski kandydatów do pracy w Delegaturze, z których jeden powinien zająć stanowisko zastępcy Józefa Maciołka. Delegatura więc wciąż dopominała się o emisariuszy z Polski. Dlatego na Zachód trafili Marian Strużyński, Dionizy Sosnowski, Stefan Skrzyszowski, Jerzy Seweryn Cichalewski, dlatego w drogę ruszył ksiądz Stanisław Kluz.

Umowa z amerykańskim wywiadem to szczyt osiągnięć Józefa Maciołka. Wywodził się z rzeszowskiej wsi, a trafił pomiędzy najznamienitszych emigrantów. Kilka lat wcześniej nie znał angielskiego, a teraz podpisywał dokumenty o tak wielkiej wadze. Ale żeby pozostać na szczycie, musiał bezwzględnie zaufać informacjom, które słał z Polski jego protegowany Stefan

Sieńko. Bo od potęgi V Komendy zależał też los Józefa Maciołka. Kwestionowanie jej osiągnięć kłóciłoby się z interesem szefa Delegatury.

Andrzej Pomian zapamiętał, że o kolejnych wpadkach komendantów WiN Józef Maciołek informował go z dużym opóźnieniem.

„Już wtedy nabrałem podejrzenia, że na samej górze WiN musi być agent bezpieki, skoro jego zarządy wpadają w tak krótkich odstępach czasu – mówił Andrzej Pomian. – Podejrzenia moje rosły, aż stały się pewnością, że do nowego już piątego zarządu wszedł Stefan Sieńko, noszący pseudonim „Wiktor". Pamiętałem, że zasiadał on na coraz wyższym szczeblu w poprzednich władzach WiN. Jego koledzy wpadali, tylko Sieńko wychodził zawsze obronną ręką. Było to szczęście zbyt wielkie. Toteż nie ulegało dla mnie wątpliwości, że właściwego WiN już nie ma, a na czele tego, co się nim nazywa, stoi zarząd podstawiony przez bezpiekę.

Powiedziałem o tym Maciołkowi, nie zdołałem jednak przełamać jego oporu. Znał Sieńkę i darzył go dalej pełnym zaufaniem".

Amerykanie nabrali jednak podejrzeń, gdy Maciołek nie potrafił wyraźnie odpowiedzieć, czy WiN w Polsce wykona plan „Wulkan". Z Polski do Delegatury wciąż nie dotarła jasna deklaracja w tej sprawie, choć do kraju wysłano kilka projektów – jeden z nich zawiózł agent Marian Strużyński „Artur". Ubecy unikali odpowiedzi, a w końcu posłużyli się wybiegiem – wyjaśnienia miał dostarczyć nowy emisariusz, pułkownik, którego jednak aresztowano na terenie NRD. Prawdą z tego było tylko to, że uciekający z Polski pułkownik rzeczywiście został schwytany we wschodnich Niemczech. Nie miał jednak nic wspólnego ani z WiN, ani z planem „Wulkan".

Ubecy grali na uczuciach Maciołka. Listy o prywatnym charakterze wędrowały podziemnym szlakiem razem z oficjalną organizacyjną korespondencją. „Kos", rzekomy dowódca V Komendy, pisał do Józefa Maciołka: „Was osobiście proszę ażebyście podzielili się ze mną wysłanym opłatkiem, z myślą, że już w niedługim czasie będziemy mogli wspólnie w normalnych warunkach pracować dla dobra naszej Ojczyzny".

Maciołek żalił się „Kosowi": „Z biegiem czasu przekonałem się, że sporo ludzi pozujących zbyt głośno na »Niezłomnych« są albo po prostu spryciarzami większej klasy ukrywającymi starannie swoje dotychczasowe sprawki i zamiary na przyszłość, albo też przy swej pełnej i rzeczywistej uczciwości czy niezłomności prawdziwej idą nieświadomie na czyimś pasku".

Tragedia Józefa Maciołka – po latach zmarł na emigracji w zapomnieniu – znalazła dobitny wyraz w podsumowaniu operacji V Komendy, w którym ubecy stwierdzili, że uczynili szefa Delegatury swoim kapturowym, czyli nieświadomym agentem.

12

„Arcyzbrodniarz” – tak o nim mówili WiN-owcy. Był kiedyś jednym z nich, ale dopuścił się niewyobrażalnej zdrady.

Stefan Sieńko „Wiktor”, bohaterski żołnierz Armii Krajowej.

Czesław Naleziński, żołnierz WiN od początku, opowiadał mi:

– „Wiktora”, czyli Sieńkę, znałem jeszcze od przed wojny, razem chodziliśmy do szkoły. Całą okupację wspólnie konspirowaliśmy. Po wojnie byłem ścigany, wolałem się ukrywać niż ujawnić, a potem siedzieć w kiciu piętnaście lat. Nie dostałem wyroku żadnego, wyszedłem z podziemia dopiero w pięćdziesiątym czwartym roku. Ukrywałem się w całej Polsce, spałem po strychach, stodołach, po kupkach siana. Sieńko, kiedy rozmawialiśmy w czterdziestym siódmym, nawet się nie zaciekawił, czy mam gdzie mieszkać. Ja wtedy żyłem we Wrocławiu na ulicy, bez grosza w kieszeni. A on potem przekazał bezpiece milion dolarów.

Czesław Naleziński zastanawiał się, dlaczego Sieńko zdradził. Tłumaczył mi w latach dziewięćdziesiątych:

– Dziś najsprawiedliwsi są ci, którzy nie wiedzą, co to jest kryminał i bezpieka. Sieńko siedział, podobno spalili mu chałupę w Błażowej. Może go zmusili do kapowania? Ale z drugiej strony nie wyobrażam sobie, jak można było przez lata prowokować i nie dać znać, że jest się kapusiem. To jest draństwo i zbrodnia.

Trudno pisać historię na podstawie protokołów przesłuchań UB – powiedział mi jeszcze – bo każdy cygani, ile może, żeby uniknąć odpowiedzialności.

Stefan Sieńko, główny prowokator w WiN, został później dziennikarzem. Starzy WiN-owcy znali jego nowe nazwisko: Andrzej Kazimierowicz.

Zdobyłem jego warszawski numer telefonu. Zadzwoniłem. Oczywiście nie wiedziałem, czy zechce ze mną rozmawiać. Od jego zgody zależało, czy wszystko, co wiem o V Komendzie, nabierze dodatkowej wartości. Czy wzbogaci się o spojrzenie człowieka, bez którego ta prowokacja zapewne w ogóle by się nie udała. O spojrzenie zdrajcy.

Nie zdziwiłbym się, gdyby mi odmówił. Większość ludzi związanych z Urzędem Bezpieczeństwa nie chciała ze mną rozmawiać. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zależało im głównie na tym, aby wszyscy o nich zapomnieli. Publiczne przypominanie ich nazwisk groziło przecież tym,

że zajmie się nimi wymiar sprawiedliwości. Stefan Sieńko jednak bez wahania, jakby od dawna spodziewał się takiego jak mój telefonu, powiedział:

– Dobrze, spotkajmy się. Porozmawiamy, żeby pan coś zrozumiał. Ale nie chcę rozpętywać kolejnej wojny. Nie powiem nic złego o swoich towarzyszach walki.

Nie zrozumiałem, kogo ma na myśli:

– O kim pan mówi? O ubekach?

– O towarzyszach z WiN oczywiście – usłyszałem.

Był najcenniejszym agentem w V Komendzie. UB wyliczyło, że 1 lutego 1949 roku miało osiemdziesięciu pięciu swoich informatorów wśród WiN-owców.

Przed rozmową ze mną Stefan Sieńko „Wiktor” nie opowiadał o operacji „Cezary” żadnemu historykowi ani dziennikarzowi. Ale sporządził pisemną relację o swojej roli. Wysłał ją do katowickiego oddziału Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Potem spisywał kolejne.

Komisja relację przeczytała, ale początkowo nie przesłuchała samego Sieńki. Bo nie miała pieniędzy na podróż z Katowic na Rzeszowszczyznę, gdzie mieszkał na zmianę z Warszawą. Tak wyglądał wymiar sprawiedliwości w Polsce lat dziewięćdziesiątych. Prokuratorzy zetknęli się ze Stefanem Sieńką już po tym, gdy w „Gazecie Wyborczej” opublikowałem pierwszą z nim rozmowę.

Stefan Sieńko nosił pseudonimy „Ikar”, „Oleg”, „Wiktor”, „Klemens”, „Maciej”, „Tadeusz”. Był synem Kazimierza i Wiktorii z domu Woźniak.

Urodził się w 1923 roku w przysiółku Mokłuczka koło Błażowej Dolnej. Ukończył sześć klas szkoły powszechnej w Błażowej i cztery klasy I Gimnazjum w Rzeszowie. Maturę zdał już w konspiracji w 1943 roku.

Podczas wojny skończył podchorążówkę. Dowodził 1 Drużyną Dywersyjną i był zastępcą dowódcy plutonu w Błażowej.

Uczestniczył w akcji na Arbeitsamt w Rzeszowie przy ulicy Lwowskiej, dowodzonej przez podporucznika Andrzeja Grubę „Sępa”. Później w kolejnej operacji w Hyżnem przeciwko niemieckim pacyfikacjom w lipcu 1944 roku. Razem ze swoim dowódcą Józefem Maciołkiem „Żurawiem” brał udział w rajdzie na Ukraińców. Próbował – co się jednak nie udało – odbijać więźniów NKWD w Rzeszowie. Podczas zatrzymania zastrzelił Sowieta. Zbiegł. W Delegaturze Sił Zbrojnych dowodził grupą, która 7 lutego 1945 roku wykonała wyrok na burmistrzu Błażowej Józefie Marczaku. W ubeckich materiałach pisano też, że maczał palce w zamordowaniu dwóch członków PPR. Do WiN przystąpił we wrześniu 1945 roku.

Sieńce wyraźnie zależało, aby nie zdekonspirować się wśród ludzi, między którymi żył w Warszawie w latach dziewięćdziesiątych. Kilka razy powtarzał, który guzik domofonu mam nacisnąć, jakby się bał, że trafię do sąsiadów, szukając osoby o nazwisku innym niż to, które teraz nosi.

Wreszcie spotkałem człowieka, którego długo szukałem, żeby zapytać o V Komendę. Starszy, wąsaty mężczyzna w okularach z dużymi szkłami.

Wydawało się, że Stefan Sieńko dawno poukładał swoje motywacje w wygodne szufladki.

„Jestem synem średniorolnego chłopa wsi podkarpackiej. Jednym z nielicznych synów chłopskich, któremu dane było dostać się przed wojną do gimnazjum. Kosztowało to wiele wysiłków i wyrzeczeń moją rodzinę, a mnie upokorzeń bez liku. »Ty chamie ze wsi« – tym mnie częstowano w gimnazjum. Najadłem się tego gorzkiego chleba do syta. Dziś, kiedy się oglądam wstecz, trudno mi wprost zrozumieć, dlaczego już te szkolne upokorzenia nie nauczyły mnie, którędy wiedzie moja droga. Tłumaczę to sobie jako pierwszą swoją tragiczną pomyłkę. Wydawało mi się, że ja, »cham ze wsi«, muszę się wkupić do »elity«, upodobnić się do niej, żeby mi wybaczyli moje chłopskie pochodzenie i początkowe nieokrzesanie. Ci, którzy gładko mówili i którym wszystko szło gładko i łatwo, mieli wtedy w moich oczach monopol nie tylko na powodzenie i władzę, ale i na wiedzę, a nade wszystko – na patriotyzm. Tym swoim bezkrytycznym stosunkiem do »sfer wyższych« tłumaczę sobie wiele późniejszych moich pomyłek. Z wielkim trudem udało się mojej rodzinie przyholować mnie do »małej matury«. Potem musiałem wrócić do wsi rodzinnej, gdzie mnie też zastał wybuch wojny. W grudniu smutnego 1939 r., którego winowajców nie umiałem jeszcze wtedy dostrzec, zetknąłem się z podoficerami KOP-u, Rosikiem i Kawalcem, i kiedy zaproponowali mi przystąpienie do jakiejś tam tajnej organizacji, z zachwytem wyraziłem zgodę. Nie pytałem nawet, o jaką organizację chodzi. Wierzyłem w nieomylność tamtych. Wierzyłem, że walczyć będę przeciw Niemcom o Polskę.

Widziałem dokoła siebie, jak tęskniły do Polski niepodległej i sprawiedliwej – innej niż ta, w której wymyślano chłopskiemu dziecku od »chamów ze wsi« – masy chłopskie. Masy chłopskie, z którymi poczułem się wtedy związany silnej, niż kiedykolwiek przedtem.

I wierzyłem Józefowi Maciołkowi, kiedy mi mówił, że w A.K. walczę o taką właśnie Polskę! Ja wierzyłem temu kłamstwu dłużej, bo nawet i wtedy, gdy przyszło wyzwolenie, gdy chłopom rozdawano pańską ziemię, a dzieciom chłopskim – szkołę. Nawet wtedy wierzyłem. Ja wierzyłem nadal kierownictwu i Maciołkowi osobiście, kiedy mówili, że teraz trzeba walczyć »z nowym

przeciwnikiem« o niepodległość kraju i o demokrację w Polsce. I siłą bezwładu poszedłem za Maciołkiem i kierownictwem do WiN-u.

Jako szeregowemu karnemu żołnierzowi wydawało mi się, że muszę słuchać i posłusznie się podporządkować przełożonym, którzy o wszystkim wiedzą lepiej i więcej. Przekreśliłem swoje życie osobiste. Wyrzekłem się otwartych przez wyzwolenie możliwości dalszego kształcenia się, zdobycia awansu społecznego. Wykonywałem ślepo wszelkie polecenia organizacji, mimo że własnymi oczami widziałem, że działalność tej organizacji godzi w moją klasę, w masy chłopskie. Na rozkaz kierowałem lufę pistoletu w piersi szeregowych żołnierzy i szeregowych przedstawicieli władzy ludowej, którzy moim braciom chłopskim rozdawali ziemię poobszarniczą. Na rozkaz strzelałem do żołnierzy i przedstawicieli władzy ludowej, którzy przed moimi braćmi chłopami otwierali szkoły i uniwersytety na oścież, którzy uruchamiali fabryki i dźwigali z ruin ojczyznę, którzy często wracali po trudach frontowych i partyzanckich do siół, by zamienić karabin na pług. Jakże mogłem tego w zaślepieniu nie widzieć? »To nowa forma okupacji« – mówili przełożeni. Ja mówiłem sobie: przecież Józef Maciołek (także z pochodzenia chłop) każe mi tak właśnie robić. Przecież mówiłem sobie – są księża, którzy działalność organizacji błogosławią. Dodawało to wtedy w moich oczach tej zbrodniczej działalności powagi i pozorów słuszności. W ten sposób usypiałem swoje sumienie chłopa i Polaka.

Ale wciągnięty w orbitę »wielkiej polityki« bardzo szybko zacząłem sobie uświadamiać przepaść między szczytnymi hasłami głoszonymi przez »górę« WiN-u a rzeczywistością. Zacząłem dostrzegać mechanizm tumanienia »dołów« organizacyjnych. Zacząłem przekonywać się, że oszustwo nie jest jakimś wyjątkiem czy środkiem taktycznym kierownictwa organizacji. Zacząłem się przekonywać, że oszustwo stanowi system i samą istotę działalności organizacji, która maskując się polskością i patriotyzmem, w gruncie rzeczy jest narzędziem wroga i agenturą szpiegowską i dywersyjną w ręku wroga mego narodu i mojej klasy.

Nie ktoś inny jak właśnie »Marek« – Józef Maciołek, do którego miałem największe zaufanie, uczył mnie już od 1946 roku, jak oszukiwać. Jak fałszować i fabrykować dokumenty rzekomo pochodzące z Komitetu Centralnego PPR, jak oszukiwać społeczeństwo, jak budować kłamstwo na kłamstwie, aż do utopienia siebie samego w kłamstwie. Aż nastąpiło to, co przeszło wszelkie moje wyobrażenie i przed czym, mimo że oblepiony kłamstwem i oszustwem, musiałem się wzdrygnąć: zobaczyłem, że głównym celem pracy organizacji i mojej pracy i »bohaterstwa« jest przygotowywanie i sprowokowanie wojny. Wojny, która by buciorami i czołgami nowego werhmachtu miała znowu zdeptać i zniszczyć ziemię polską. Wojna, która by

miała oderwać od Polski jej ziemie i przywrócić w kraju – za cenę krwi milionów moich braci i zniszczenia mojej ojczyzny – rządy obszarniczo-kapitalistyczne pod »opieką« hitlerowców i amerykańskich kapitalistów, i nędzę chłopską i robotniczą, i zacofanie. I w szkole znowu »Ty chamie ze wsi« – dla nielicznych dzieci chłopskich, który by się do niej dostały.

Wiosną 1949 r. »Adam« (Adam Boryczka) przyjechał do Warszawy i zwiedziwszy powstające wtedy osiedle Muranów, nie mógł ukryć podziwu dla rozbudowy Warszawy, a jednocześnie wściekłości, że propaganda reżimu, »propaganda komunistów« mówiła prawdę. Jednym tchem podziwiał »Adam« odbudowę Warszawy i dawał instrukcje, żebyśmy w Warszawie wytypowali punkty nadające się do bombardowania. Jednym tchem nakazywał robotę szpiegowsko-dywersyjną na rzecz śmiertelnych wrogów naszego narodu, opisywał zgniliznę emigracji i dziwił się, że dlaczego nasza organizacja traci grunt pod nogami, dlaczego werbunek szedł coraz gorzej, dlaczego mnożyły się ucieczki z organizacji, dlaczego byliśmy coraz bardziej w społeczeństwie osamotnieni.

»Adam« i nie tylko »Adam«, ale cała emigracja i jej dolarodawcy nie mogą po dziś dzień tego zrozumieć, że takie fakty jak dźwignięta z ruin nasza jeszcze piękniejsza Warszawa, jak Nowa Huta i całe wielkie budownictwo, które idzie w kraju, i jak cały szereg innych faktów spowodowały w społeczeństwie polskim głębokie przemiany. Nawet te koła społeczeństwa, które początkowo były negatywnie ustosunkowane, odmówiły nam swego poparcia. Pamiętam, jak wściekły wrócił »Adam« ze spotkania ze swymi starymi znajomymi, na których współpracę liczył całkowicie i którzy odmówili. Pieniąc się, nazwał tych starych znajomych »tchórzami« i »zdrajcami« – on zdrajca prawdziwy, który jak reszta emigracji pozostał poza narodem. Dla nich życie w kraju »stanęło w miejscu«, »zatrzymało się« na szosie zaleszczyckiej. I czeka na ich powrót.

Okazało się ku mojej ogromnej radości, że do tych samych wniosków – podobną drogą dręcząc się wątpliwościami, a później pewnością o zdradzie – doszedłem nie tylko ja, ale i »Kos« oraz wielu najbliższych współpracowników. Powzięliśmy stanowcze postanowienie, że w żadnym wypadku nie wolno nam przykładać nadal ręki do nieprzejednanie wrogiej Polsce polityki amerykańskich i hitlerowskich kapitalistów, którym zdawało się, że z pomocą emigranckich kanalii znaleźli sobie w Polsce wygodne narzędzie: narzędzie zniszczenia Polski polskimi rękami. Niedoczekanie!

Polityka »Kosa« i moja w ostatnim okresie była konsekwencją tego postanowienia. Bardzo nas cieszyło »uznanie«, jakie nie tylko dygnitarze emigracji, ale i »najwyższe czynniki« wywiadu i sztabu amerykańskiego miały

dla fikcyjnych informacji i materiałów, które im przesyłaliśmy. »Kos« i ja wprowadziliśmy »Marka« i jego możnych przełożonych w błąd, ażeby bronić Polski przed ich brudnymi łapami, ażeby bronić Polski przed spiskiem śmiertelnych wrogów naszego narodu i amerykańskich i hitlerowskich kapitalistów.

Myślę, że tak czyniąc, skreśliłem choć część zbrodniczego oszustwa, w którym tak długo i tak ślepo uczestniczyłem".

Te wszystkie przemyślenia Stanisława Sieńki to jednak tylko wytwór komunistycznej propagandy. Stefan Sieńko swoje rzekome myśli poznał po lekturze „Trybuny Ludu". Sam ich wówczas nie spisał. Przeczytał je dopiero w prasie, gdy otrzymały stempel: „Drukowanie i rozpowszechnianie za zgodą Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk za Nr. 4-B 10348 z dn. 5.II.53 r.".

Co naprawdę myślał? Czy ludzie uwierzyli w takiego Sieńkę jak ten przedstawiony w prasie? Jego wyjaśnienia odczytywano potem na zebraniach gromadzkich. W rzeszowskich wsiach zbierano okolicznych chłopów i przedstawiano im te zmyślone poglądy Sieńki.

Wydają się naiwne. Ale nie ma takiej głupoty, której ktoś nie dałby wiary, jeśli tylko zapisano ją drukowanymi literami. Na przykład Antoni Janik z Hyżnego głośno zastanawiał się, czy Sieńko jest szczery, czy lepiej go mieć na oku, bo może jeszcze szkodzić. Przecież wcześniej dokuczał władzy ludowej, która swoim dobrodziejstwem obdarzyła brata Sieńki, pozwalając mu kończyć studia. Bardziej podejrzliwi – szczególnie byli AK-owcy – przypuszczali jednak, że Sieńko od dawna pracował na dwie strony.

A może Sieńko po latach uwierzył w to, co rzekomo wówczas myślał?

– WiN-owcy mają do pana pretensje już nawet nie o to, że pan poszedł na współpracę – powiedziałem, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz. – Ale o to, że przez pięć lat nie potrafił pan przekazać Delegaturze ostrzeżenia o operacji.

– Kiedy Józef Maciołek w czterdziestym szóstym wyjeżdżał z Krakowa na Zachód, umówiliśmy się – tłumaczył mi Stefan Sieńko – że jak coś złego będzie się działo, posłużę się hasełkiem związanym z handlowymi zamiłowaniami jego brata: „Wincenty kupił drugi sklep". Kiedy pierwszy raz podejmowałem kuriera Adama Boryczkę w kwietniu czterdziestego ósmego, rozmawialiśmy też o prywatnych sprawach, o rodzinie Maciołka. Powiedziałem Boryczce: „Brat podobno kupił drugi sklep". Nie mogłem mówić „klerem", czyli otwartym tekstem. Musiałem użyć słowa „podobno", bo był podsłuch, bezpieczeństwo mogło sprawdzić i zacząć podejrzewać.

Sieńko spotykał się z Adamem Boryczką albo w towarzystwie „Zygmunta”, czyli Henryka Wendrowskiego, oficera MBP, albo samodzielnie; w tym drugim przypadku kontaktowy lokal był na podsłuchu.

To jedno zdanie: „Brat podobno kupił drugi sklep” miało być według Sieńki wytłumaczeniem jego pięcioletniego udziału w prowokacji. Nie sposób nawet sprawdzić, czy Sieńko je rzeczywiście wówczas wypowiedział. Adam Boryczka nie żyje.

Czy Sieńko rzeczywiście przekazał ostrzeżenie na Zachód? Tego nigdy się nie dowiemy. Agenci jednak często wierzą, że prowadzą podwójną grę. Że to oni manipulują swoimi oficerami prowadzącymi. Agenci chcą być Konradami Wallenrodami albo chociaż ketmanami.

Rozmawialiśmy delikatnie, unikając dosłowności. Nie padały słowa „współpracownik”, „konfident”.

– Dlaczego pan się zgodził?

– Aresztowano mnie w grudniu czterdziestego siódmego w Katowicach, nazajutrz rano przewieziono samolotem do Warszawy. Trafiłem na Koszykową, przesłuchiwał mnie pułkownik Tataj. Nie stawałem okoniem. Byłem otwarty, myślałem, że i tak dostanę czapę [kara śmierci – P. L.]. Bicia, straszenia nie było.

W opracowaniu spisanym po zakończeniu operacji zanotowano: „Wybór kandydata na agenta był uzasadniony również tym, że w śledztwie od pierwszej chwili, od momentu aresztowania zachowywał się on w pełni lojalnie, dokładał nawet starań, by ułatwić śledztwu zadanie, nie starał się niczego ukryć ze swojej działalności, podawał wszystkie znane mu szczegóły działalności WiN, nie uchylał się od żadnych stawianych mu pytań, nawet gdy dotyczyły one ludzi mu najbliższych i członków rodziny”.

Jeden ubeków powtarzał mu:

– Chłopie, ty się nie martw. My nie potrzebujemy twojej szyi, ale głowy.

Sieńko twierdził, że aresztowano go 10 grudnia 1947 roku w mieszkaniu Józefa Rzepki w Zabrzu. Być może jednak ujęto go już wcześniej i używano jako agenta.

Opowiadał mi:

– Rozmawiałem z ubekami o ujawnianiu AK-owców. Śmiali się, że żaden AK-owiec nie oddaje całej broni. I rzeczywiście. Ja podczas amnestii w czterdziestym siódmym roku ujawniłem się z bębenkowcem kalibrem sześć, a w lesie miałem magazyn broni na przynajmniej kompanię wojska. Ubecy kpili: robicie organizację polityczną, macie prezesów, a składy broni zdejmujemy. Czułem, że podziemie nie ma już sensu. Najważniejsze jednak było to, że w IV Komendzie miałem dostęp do szpiegowskich materiałów

pochodzących od „Sondy”. To był ktoś ze szczytów władzy, z Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a przynajmniej z Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach. Przekazywał nam informacje. Wynikało z nich, że cały WiN jest już rozpracowany. Jedynym sensownym rozwiązaniem było więc ujawnić się. Uznałem, że z Urzędem Bezpieczeństwa jest mi po drodze. Mieliśmy wspólny cel: ujawnić WiN i zablokować zagraniczną penetrację w Polsce.

Wartość materiałów „Sondy” jest trudna do zweryfikowania. Część z nich, tę, która dotarła na Zachód, studiował historyk Janusz Kurtyka. Twierdził, że nie było tam żadnych rewelacji o WiN, raczej materiały polityczne. „Sonda” – nazywana siecią specjalną WiN – korzystała z informacji osoby z otoczenia Bolesława Bieruta posługującej się takim samym pseudonimem. Ale być może wszystkie uzyskiwane w ten sposób wiadomości były tylko dezinformacją Urzędu Bezpieczeństwa.

Józef Maciołek pisał w maju 1953 roku w dokumencie podsumowującym działalność WiN i Delegatury w latach 1947–1952: „»Sonda« był aresztowany w początkach listopada 1947 r. Nazwiska jego nie pamiętam. Był to człowiek pochodzenia żydowskiego. W czasach studenckich Krzysztof [Józef Rzepka, analityk w Biurze Studiów WiN – P. L.] udzielał mu korepetycji. Sonda był sekretarzem Jakuba Bermana i miał oprócz tego pewną siatkę w różnych instytucjach”.

Tajemnicza „Sonda” mogła być tożsama z kanałem informacyjnym „O”, za pomocą którego wiadomości ze szczytów władzy czerpał Łukasz Ciepliński. Prawdopodobnie te również były ubeckimi fałszywkami.

Przed aresztowaniem Stefan Sieńko był szefem Biura Studiów „Instytutu Bakteriologicznego”, jak nazwano wywiadowczą siatkę WiN, którą dowodził Mieczysław Kawalec „Iza”.

Stefan Sieńko:

– Trzymali mnie na Mokotowie, kilka miesięcy dojrzewały we mnie różne myśli. W marcu czterdziestego ósmego przewieźli do tajnej willi. Tam Leon Andrzejewski przygotowywał moje pierwsze spotkanie z Adamem Boryczką. Zgodziłem się na zranienie nożem nogi, żeby wyglądało na postrzał przy ucieczce z więzienia.

– Kiedy spalili panu dom? – zapytałem.

– To było już między moimi spotkaniami z Boryczką. Pożar wybuchł w nocy poprzedzającej Boże Ciało w czterdziestym ósmym. To na pewno było podpalenie. Mój brat przyrodni, półtora roku miał, poparzył się. Kilka dni później zmarł w szpitalu, mam zdjęcie w trumience. To najmłodsza ofiara wojny domowej.

Opowiadając o pożarze i śmierci dziecka, Sieńko wzruszył się. Wspomnienie obudziło przeszłość.

– Budynek mogła spalić Warszawa, żeby mi wybić z głowy jakąkolwiek niesubordynację – dodał. – Mógł to być też odwet ze strony jakiejś grupy podziemia. Wcześniej był straszny mord na AK-owcu. Ja z tym nie miałem nic wspólnego, ale córka zamordowanego różnych podejrzewała. Mógł też się mścić Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie, który znał moje grzechy. Jako jedyny w tej okolicy miałem starcie z NKWD. Szedłem na spotkanie z naszym dowódcą obwodu, a nagle pojawia się ich dwóch. Ruki w wierch, pepesza wycelowana w mój brzuch. Obmacują, w kieszeni wyczuli granat…

Kiedy rozmawiałem z Sieńką, odnosiłem wrażenie, że cofam się w czasie. Używał takich samych argumentów jak w oświadczeniu o ujawnieniu WiN. „Odbudowa”, „awans społeczny”, „Nowa Huta”. Teraźniejszość szarzała, przeszłość nabierała barw.

Takie spotkania wyrywały mnie i rozmówcę z rzeczywistości. Pamiętam, że kiedy samoloty uderzyły w World Trade Center, rozmawiałem ze stalinowskim sędzią w jego mieszkaniu. Parę razy do pokoju wchodził jego syn i próbował nam powiedzieć o zamachach w Stanach Zjednoczonych. Nic do nas nie docierało. My siedzieliśmy za stołem sędziowskim pod orłem bez korony i wpatrywaliśmy się w oskarżonego, pilnowanego przez mężczyzn w wojskowych mundurach. Wyobraźnia zastąpiła rzeczywistość. 11 września 2001 roku najważniejsze były dla nas jego zeznania dotyczące rzekomego szpiegostwa.

Drugie spotkanie z Sieńką. Znowu w jego warszawskim mieszkaniu. Pozwala mi nagrywać. Zawsze mówię moim rozmówcom, że magnetofon zastępuje mi ręczne notatki, bo choć słuchając ich, cały czas odruchowo bazgrzę w zeszycie, to mój charakter pisma jest tak nieczytelny, że z trudem potem wyławiam pojedyncze słowa. Przy ważniejszych kwestiach robię pionową kreskę i odszukuję później odpowiedni fragment na nagraniu.

– Nasze ręce też są splamione krwią – powiedział Stefan Sieńko. I miał na myśli WiN-owców, a nie ubeków.

– Nigdy nie mówi pan o sobie: współpracownik UB. To podświadome? – zapytałem.

– Nie odbieram tak siebie – odpowiedział. – Nie nazywam też siebie: agent. Wydaje mi się, że robiłem swoją robotę, trochę zbieżną z MBP.

– Każdy po latach racjonalizuje? Pan też?

– Czy nie było innego wyjścia? Nie wszystko się sprawdziło, nie wyszła końcówka. Mam satysfakcję, że nie doszło do krwawej łaźni. Ale z drugiej strony naraziłem się na historię wielce dwuznaczną. Moje pokolenie te rzeczy rozumie. Oni żyli w tych czasach. Ale ja mam dzieci, mam wnuki, czy ja wiem, jak oni na to spojrzą?

– Rozmawia pan o tym z dziećmi?

– Trochę rozmawiam.

– Ale przecież WiN-owcy pana potępiają. Czyli pana pokolenie.

– Oni nie znali sytuacji. Już w 1946 roku tylko kilka osób z WiN w całości rozumiało, jak toczą się sprawy. Większość roboty to było pozorowanie, że coś się dzieje – kontynuował Stefan Sieńko. – Żeby w kołach AK-owskich utrzymywać złudzenie, że podziemie nadal istnieje. Miałem na przykład człowieka na kontakcie w Warszawie. Spotykaliśmy się raz na miesiąc, raz na dwa, rozmawialiśmy przy kawie, parę złotych dostawał. Ale nic nie robił. Potem ludzie wyobrażali sobie, że był jakiś ścisły sztab, kierownik, rada polityczna. To bzdura. Jeden człowiek wszystko robił, dopasowując się do okoliczności. Andrzejewski pilnował, aby w grze było jak najmniej ludzi. Tylko ci, którzy byli potrzebni.

Sieńko codziennie meldował się w jakimś lokalu konspiracyjnym. To były różne mieszkania w Warszawie. Spotykał się najczęściej z Leonem Andrzejewskim, to on pełnił funkcję jego głównego oficera prowadzącego.

Podczas operacji „Cezary” Stefan Sieńko trzy razy zmienił własne miejsce zamieszkania. Żył na uboczu, pod Warszawą albo na jej obrzeżach.

W poniedziałek 29 grudnia 1952 roku, dwa dni po opublikowaniu oświadczenia o zaniechaniu konspiracji, Stefan Sieńko przeczytałby na pierwszej stronie „Trybuny Ludu” o głębokim przekonaniu redaktorów, że „Narody całego świata czerpią ze słów Józefa Stalina nowe siły”. Znalazłby też tam radosną wieść: „Młodzież Nowej Huty zdobywa kwalifikacje zawodowe”. Przede wszystkim jednak powinien zwrócić uwagę na największy tekst na pierwszej stronie – obszerniejszy nawet od tego o pokojowym obliczu Stalina. Bez mała połowę strony, na której u góry nad tytułem wydrukowano jak zwykle hasło „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”, zajmował materiał *Złowrogie knowania zdemaskowane*. Zaczynał się tak: „Złowrogie zrzucenie dywersantów z samolotu w dniu 4 listopada b.r. jest nowym ogniwem w długim łańcuchu zbrodni amerykańskiego imperializmu wobec Polski. Nawet w kapitalistycznej dżungli jest rzeczą bez precedensu, by w czasach pokoju tak brutalnie i jawnie uprawiać dywersję i sabotaż przeciwko państwu, z którym utrzymuje się normalne stosunki dyplomatyczne. Tylko właśnie w świecie, gdzie bohaterami dnia są mordercy bezbronnych jeńców na Kożedo czy

Pongan, w świecie, w którym nie odróżnisz rzezimieszka od polityka – tylko w tym świecie możliwe są takie fakty”.

Sieńko powinien przy lekturze pominąć międlone przy każdej okazji propagandowe frazesy o amerykańskich zbrodniach wojennych w Korei, a skupić się na historii dwóch Polaków, których całkiem niedawno spotkał, a którzy teraz stali się pokazowym celem stalinowskich szyderstw.

– Czy pan zetknął się ze Stefanem Skrzyszowskim i Dionizym Sosnowskim? Tymi skoczkami, których skazano na śmierć? – zapytałem.

– Tylko raz. Odprawiałem ich za granicę. Powiedziano mi, że są w jakiejś podziemnej organizacji i chcą uciekać na Zachód.

Sieńko twierdził zatem, że znał tylko część prawdy: jego w tej sprawie również wykorzystano „w ciemno”. Wysyłając tych dwóch emisariuszy na Zachód, był przekonany, że działają w antykomunistycznej konspiracji.

– Nie przypuszczałem, że wrócą do Polski i zginą – tłumaczył. – Myślałem, że uda im się zostać. Wysyłałem przecież też innych kurierów, którzy zostawali na Zachodzie. Zrzucenie ich to była pewnie próba Amerykanów, jak działa polska obrona przeciwlotnicza – dodał. – Mówiło się już o przygotowaniach do desantu, w którym miało uczestniczyć pięćdziesiąt osób.

– Cały czas pan wiedział, jak okrutnie w Polsce działa bezpieka. Nie przeszkadzało to panu?

Nie odpowiedział wprost.

– Mój zwierzchnik w UB Leon Andrzejewski to była inna klasa, to był człowiek komputer. Codziennie spotykałem się z Andrzejewskim na konspiracyjnym mieszkaniu. Nabrałem do niego zaufania, bardzo mi pomógł, kiedy chorowałem. A przecież mogli wówczas pomóc mi „zniknąć”. Ja się bardzo dziwię, że jak długo chorowałem, to mnie nie wykończyli zastrzykiem – wspominał. – Po trzech latach operacji nie byłem już im potrzebny. Pozbyliby się świadka. A otoczyli mnie opieką. Andrzejewski uruchamiał swoje kontakty.

W 1951 roku Sieńko kilka miesięcy leczył się w Szpitalu Przemienienia Pańskiego na naciek wyrostkowy, co potem wykorzystano w jego legendzie.

– Nie czuje się pan odpowiedzialny za aresztowania i śmierć wielu ludzi? Sosnowski zginął, gdy miał dwadzieścia trzy lata…

– Rachunek zysków i strat uważam za korzystny. O ujawnieniu dowiedziałem się z radia. Do dziś nie rozumiem aresztowań ludzi, którzy uczestniczyli w grze. Podejrzewam, że była to decyzja z zewnątrz. Andrzejewski po zakończeniu gry załatwił mi pracę, skończyłem polonistykę. Za okres pracy dla MBP nie dostaję emerytury.

Ubecy manipulowali swoimi agentami, wynagradzając ich niekiedy w nietypowy sposób. Na przykład zamianą kary śmierci na dożywocie dla członka rodziny. Tak stało się z Jerzym Woźniakiem „Jackiem”.

– Wzywają mnie, oficer, może Różański, mówi: jak wam na tym Jerzym Woźniaku tak zależy, to tu jest papier, jedyne wyjście to pisać prośbę do prezydenta Bieruta – wspominał Sieńko. – Ja się ucieszyłem ogromnie. Plułem sobie w brodę, że mówiłem o nim Maciołkowi. To chłopak delikatny, subtelny. Uważałem, że siedzi przeze mnie. Napisałem. Oficer bierze ode mnie pismo, drze. Udaje, że jest zdenerwowany. „Jak to napisane?”, pokrzykuje. „Prezydenta trzeba prosić, błagać”. To było jedyne wtedy wytrząsanie się nade mną. Napisałem następną prośbę, już sympatyczniejszą, cieplejszą.

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych rozmawiałem z Sieńką, nie zwróciłem szczególnej uwagi na ten fragment jego wspomnień. To właśnie przykład tego, jak słuchając po latach nagranych taśm, nagle w pewnym sensie dowiadywałem się czegoś nowego. Bo tymczasem przeczytałem dokumentację ubecką i zrozumiałem, że ta sprawa to ważny element psychicznego uzależniania agenta Sieńki.

18 stycznia 1949 roku podpułkownik Jan Tataj, dyrektor Departamentu III MBP, napisał do Romana Romkowskiego, wiceministra bezpieczeństwa publicznego: „Wnoszę o zamianę Woźniakowi Jerzemu ps. »Jacek« kary śmierci na dożywotnie więzienie, motywując to tym, że w/w jest bratem ciotecznym naszego agenta »Macieja«, który oddał dużo usługi przy rozpracowaniu »Cezary« i z którego cennej pomocy będziemy jeszcze korzystać nadal”.

Wyrok rzeczywiście złagodzono, a Stefan Sieńko – agent „Maciej” – podczas spotkania z kurierem Adamem Boryczką stwierdził, że to zasługa V Komendy, która swoimi niejawnymi powiązaniami wpłynęła na Kancelarię Prezydenta. Ubecy więc za jednym razem załatwili dwie sprawy – wzmocnili oddanie swojego współpracownika i wizerunek V Komendy w Delegaturze.

– W postać „Kosa” wcielał się Henryk Wendrowski? – chciałem się jeszcze raz upewnić.

– Mógł nim być – przyznał Sieńko. – Każdy w zależności od sytuacji grał inną rolę. Ja kojarzę Wendrowskiego z rolą „Zygmunta”, towarzyszył mi przy spotkaniach z Boryczką.

– Kto w takim razie był dla pana „Kosem”? – zapytałem; choć już wiedziałem, że rolę „Kosa” najczęściej odgrywał Henryk Wendrowski, to słyszałem też, że wcielali się w nią inni ludzie.

– Starszy pan, liczył sobie już wtedy sześćdziesiąt parę lat, miał dużo pieprzyków na twarzy – odpowiedział Stefan Sieńko. – Sympatyczny. Duże oczy. Inteligentny człowiek. Dwukrotnie spotkałem się z „Kosem" jako podwładny, przypuszczałem, że jest autentycznym WiN-owcem. On mi wydawał zlecenia. Raz pokazano go Adamowi Boryczce. Odprawiał jednego z emisariuszy WiN, aby nadać wyjazdowi wyższej rangi. Potem słyszałem, że był to ktoś z dawnej komendy WiN albo emerytowany oficer MBP. Później często spotykałem go na warszawskim Nowym Świecie. Szedł, jakby mnie nie znał.

Opis nie pasował do Henryka Wendrowskiego. Czy Sieńko świadomie wprowadzał mnie w błąd? Czy rzeczywiście rolę „Kosa" wobec niego odgrywał ktoś inny niż Wendrowski?

Sieńko był rzekomo najbliższym podkomendnym „Kosa". Jego zastępcą. Zapytanie go o to, kto był „Kosem", wydawało się więc obowiązkowe.

Ale przecież Sieńko nie mógł wiedzieć wszystkiego o prowokacji. Był tylko agentem. Osobą, z którą oficerowie Urzędu Bezpieczeństwa nie dzielili się pełną wiedzą.

O tym, iż rzekomo podpisał akt ujawnienia WiN, Stefan Sieńko dowiedział się z radia. Nikt mu nigdy nie powiedział, dlaczego przerwano operację.

Lgnął do ludzi, których zdradził.

Kiedy w 1956 roku zwolniono z więzienia Danutę Ćwiklińską, skazaną za próbę ucieczki z Polski z księdzem Stanisławem Kluzem, pojechał do jej domu w Dynowie. Potem wiele razy wysyłał do niej listy. Usiłował ściągnąć do Polski jej męża Tomasza Gołąba, kuriera do Delegatury.

Podczas kolejnego spotkania z nią usiłował się usprawiedliwić. Mówił: „W miarę, jak pogarszały się warunki bezpieczeństwa i trudności konspiracyjne w Polsce, myślałem o ujawnieniu WiN jako o jedynym sposobie umożliwienia powrotu do normalnego życia szeregom ofiarnych i szlachetnych ludzi z WiN-u". Przekonywał, że jego decyzję przyspieszyła informacja o umowach pomiędzy Delegaturą a Ameryką. „Treścią ich było uzyskanie tej zawrotnej sumy na pracę w Polsce oraz na projektowane na styczeń zrzuty amerykańskich obserwatorów, jak w kraju będą te sumy rozdzielane i jak wygląda praca w terenie – wspominała to spotkanie Danuta Ćwiklińska. – Bał się, że oni z obserwatorów zmienią się w przywódców grup dywersyjnych. Żal było mu naszych ludzi, którzy przy tej okazji muszą wpaść w łapy UB, oraz obiektów, które byłyby przedmiotem dywersji, bo one przecież przy obecnym stanie wyniszczenia gospodarczego kraju stanowią przecież konkretny dorobek narodowy. Obojętne, czy kierują Polską komuniści czy inni. W grudniu, po

długim poszukiwaniu dróg wszedł w kontakt z najwyższymi czynnikami urzędowymi w Polsce, z którymi przeprowadził szereg rozmów na tematy ujawnienia. Uzyskał obietnicę niekaralności dla członków WiN. Przed ujawnieniem chciał mnie i ks. Kluza przerzucić za granicę. Tymczasem UB uprzedziło go i aresztowało wszystkich, co do których miało cień podejrzenia o kontakty z WiN-em. Przy tej okazji wpadłam ja i wszyscy aresztowani 17 XII. Przy następnym spotkaniu oddał archiwum, pieniądze oraz listy członków. Zapewniano mu stale bezkarność tych odgórnie ujawnionych ludzi. Niespodzianką straszną dla niego były aresztowania z dnia 27 XII ludzi z listy podanej przez niego".

Kłamał. W jego tłumaczeniu każde słowo mijało się z prawdą. Usiłował bowiem przekonać Danutę Ćwiklińską, że ujawnił WiN w czasie, który podawała oficjalna propaganda – w grudniu 1952 roku – i zrobił to w sposób, w jaki o tym pisano. Nie wspomniał, że współpracował z UB już od kilku lat.

Nie mógł tego powiedzieć. Ale mógł milczeć.

Danuta Ćwiklińska nie uwierzyła. Kiedy w więzieniu na warszawskim Mokotowie spotkała łączniczkę Wilhelminę Targowską, ta od razu powiedziała o Sieńce, używając jego kolejnego pseudonimu: „Andrzej konfident, prowokator, wszystkich wydał".

Dlaczego Stefan Sieńko jeździł do ludzi, których zdradził?

Kłamał, żeby uzyskać przebaczenie.

Zrozumiałem wreszcie, dlaczego Stefan Sieńko szybko przystał na rozmowę ze mną, z reporterem. Stało się tak ze względu na to, kim się czuł, kim chciałby być.

Tylko zdrajcy kryją się przed ludźmi. Bohaterowie nie odmawiają spotkań.

Trzy lata po pierwszych rozmowach odnalazłem w archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zaskakujące dokumenty. Były to dwa niepublikowane wcześniej materiały ukazujące niezwykłe dzieje osób, które wplątano w prowokację V Komendy. Kolejne szkatułki kryjące się w tej z nazwiskiem Stefana Sieńki.

Pierwszy dokument nosił datę 4 czerwca 1953 roku.

Sporządził go Stanisław Zarakowski, wówczas naczelny prokurator wojskowy. Dotyczył ostatnio aresztowanych i skazanych. Zarakowski zauważał: „Charakterystyczne jest dla wszystkich spraw, że przestępcza działalność oskarżonych zaczyna się w latach 1949–1952, gdy kontaktują się oni z osobami z kierownictwa WiN, występującymi pod pseudonimami, a nieujawnionymi w aktach, natomiast w aktach brak danych, aby oskarżeni dopuszczali się przestępstw w okresie od wyzwolenia, niektórzy od ujawnienia po wyzwoleniu,

inni wreszcie od momentu powrotu z ZSRR, gdzie w związku z działalnością w AK byli internowani”.

Upraszczając – prokurator Zarakowski pisze, że skazani w ogóle nie działali w powojennym podziemiu. Wymienia kilka nazwisk, między innymi: Franciszek Blok i Aleksander Gruba skazani na śmierć, Jan Kruk, Władysław Moykowski i Wilhelmina Targowska, którym wymierzono dożywocie.

Ich sprawy toczyły się osobno, ale w każdej przewijały się te same pseudonimy szefów WiN: „Tadeusz” i „Andrzej”. Pomiędzy marcem 1952 a styczniem 1953 roku prokuratura zaczęła badać związek między sprawami. Wtedy otrzymała informację z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, że skazanych wplątano w operację MBP. Jak ich karać? – pytał Zarakowski. Wykonywali przecież rozkazy „Tadeusza” i „Andrzeja”, a jak się okazało na podstawie śledztw, pod oboma pseudonimami ukrywał się agent Stefan Sieńko.

Drugi niepublikowany dokument z archiwum MSW to pojedyncza kartka.

Konstanty Rokossowski, wówczas marszałek Polski, wiceprezes Rady Ministrów i minister obrony narodowej, pisze do prezydenta Bolesława Bieruta. Przedstawia pismo Zarakowskiego i wyraża opinię: „Zdaniem moim zagadnienia poruszone w raporcie zasługują na uwagę i osobistego wglądu i dyrektyw Towarzysza Prezesa”.

Bolesław Bierut skreślił swoje uwagi na tej samej kartce czerwonym atramentem. Zaadresował je do wiceministrów bezpieczeństwa Konrada Świetlika i Romana Romkowskiego: „Sporządzona i zatwierdzona na areszt lista winna być utrzymana. Resztę aresztowanych ze śledztwa, a nie przewidzianych w liście – zwolnić”. Dalej nakazał dyrektorom Departamentów Śledczego i III MBP, aby zaproponowali „zgodnie z tą listą każdemu wyrok w granicach do 5 lat. Wyjątkowo, gdy uzasadnione jest, wyższy wyrok”. Na koniec polecił: „Wszystkie dotychczas wydane wyroki nie zgodne z wnioskami [tu nieczytelne słowo – P. L.] odpowiednio zmniejszyć”.

Kiedy czytałem te dokumenty, z osób, między którymi krążyła wówczas ta korespondencja, żyli już tylko dwaj: Stanisław Zarakowski i Konrad Świetlik. Zarakowski był już zbyt stary i chory, żeby stanąć przed sądem. Nie rozmawiał z dziennikarzami. Świetlik już wcześniej odmówił mi spotkania.

Wróciłem więc do Stefana Sieńki.

Kiedy trzy lata wcześniej rozmawiałem z nim, miałem wrażenie, że nie chce pamiętać nazwisk tych, których wsypał. Wówczas niewiele mogłem mu przypomnieć. Miałem tylko kopie wyroków Stefana Skrzyszowskiego i Dionizego Sosnowskiego.

Trzy lata po pierwszym spotkaniu chciałem pokazać mu dokument odnaleziony w archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i pomówić

o losach pięciu ludzi, które odtworzyłem na podstawie akt sądowych.

Południe Polski, miejscowość Błażowa. Tym razem spotkałem się z Sieńką w jego rodzinnej miejscowości.

Stefan Sieńko zmienił nazwisko, ale zostawił prawdziwe imiona rodziców. Jakby chciał zerwać tylko ze sobą.

Pokazał mi miejsce, w którym w tamtych latach spłonął jego dom.

– Stał frontem na północ – opowiadał. – Z tyłu rośnie stary orzech. Dom podpalono, pozostały ślady rozlanej ropy.

Sieńko pochylił się nad grządką buraków. Spytałem:

– Czy mówią coś panu pseudonimy „Andrzej”, „Tadeusz”?

Bez chwili wahania odpowiedział:

– Nie, nie znam ich…

– Pan ich nie używał?

– Nie, nigdy.

– Ale tak wynika z dokumentu, który znalazłem w MSW.

– Nie, nie nosiłem takich pseudonimów. „Tadeusz”… To mi się zaczyna z kimś kojarzyć. Był jakiś „Tadeusz” na południu kraju. Ktoś go widocznie podesłał na kontakt, żeby markować na Rzeszowszczyźnie istnienie WiN.

– To może zna pan nazwisko Jan Kruk?

– Gdzieś je słyszałem, ale nie kojarzę z osobą.

Akta mówią, że pseudonim „Tadeusz” oprócz Sieńki nosił również Jan Kruk. Działał na Rzeszowszczyźnie. Pisał raporty szpiegowskie.

Jan Kruk walczył w wojnie roku 1920. Potem dostał dwanaście hektarów ziemi, które puścił w dzierżawę, a sam został urzędnikiem pocztowym. W czasie II wojny – Armia Krajowa. Później – rosyjski łagier do 1948 roku.

„W jesieni 1949 r. Kruk zawerbowany został przez Bloka Franciszka do WiN i przekazany na kontakt »Tadeuszowi«. Od tej chwili rozpoczyna działalność organizacyjną i szpiegowską, za co od »Tadeusza« otrzymuje stałą gażę” – napisał prokurator Zarakowski.

Krukowi przedstawiono wiele dowodów jego działalności szpiegowskiej. Na przykład prostokąt składający się ze stu pól, których położenie – jak figur na szachownicy – opisywały litery po bokach. Sześć i trzy oznaczało literę „t”, siedem i pięć – „ż”. To miał być konspiracyjny szyfr.

Kruk raportował na przykład, że w porcie lądowym w Żurawicy przeładowują pszenicę, żyto, ryż i sprzęt wojskowy. Meldował: „Jeden z gospodarzy przy koszeniu zbóż znalazł w swoim polu w zbożu karabin (nie członek spółdzielni produkcyjnej), ponieważ karabin był jak wskazywały ślady

niedawno podrzucony, co wskazywało na prowokację, więc karabin odniósł do sołtysa”.

Informacje przekazywał człowiekowi noszącemu ten sam pseudonim co on. Ten drugi „Tadeusz” polecił „Tadeuszowi” Krukowi zorganizowanie siatki szpiegowskiej.

Wyrok sądowy wypomniał Krukowi udział w wojnie roku 1920 i walkę w Armii Krajowej: „Przyjmując tę okoliczność jako szczególnie obciążającą, sąd, mając na uwadze podeszły wiek oskarżonego, doszedł do przekonania, że należytą i słuszną represją karną będzie w stosunku do niego kara bezterminowego więzienia”.

Oprócz dożywocia zasądzono przepadek mienia.

W 1953 roku więzienni lekarze alarmowali, że rozedma płuc, miażdżyca naczyń krwionośnych, przewlekły nieżyt oskrzeli, zwyrodnienia mięśnia sercowego mogą wkrótce doprowadzić do śmierci Kruka. Mieczysław Widaj, szef Wojskowego Sądu Rejonowego, odrzucił 12 listopada 1953 roku wniosek lekarzy o zwolnienie.

Kolejne pismo w sprawie Kruka, z 12 stycznia 1954 roku, to zawiadomienie o jego śmierci w więzieniu.

Ostatni dokument w aktach sądowych. Z Wojskowego Sądu Rejonowego do Wydziału Finansowego. Siedem miesięcy po śmierci napisano: „Komunikuję, że w sprawie należy bezwzględnie wykonać przepadek mienia”.

Chciałem zapytać Sieńkę po kolei o osoby wymienione w dokumencie prokuratora Zarakowskiego. Dociekałem więc:

– Pamięta pan Franciszka Bloka?

– Nic mi nie mówi to nazwisko – odpowiedział.

– To był według Zarakowskiego człowiek zwerbowany dopiero w czterdziestym dziewiątym. Wcześniej nie działał w WiN.

– Niemożliwe, nie znam przypadków, żeby w roku czterdziestym dziewiątym wciągać do roboty ludzi, którzy nie mieli garbu przeszłości.

– Jakiej przeszłości?

– Musieli na przykład wcześniej być w AK.

– Skoro pan mówi, że byli w AK, a nie w WiN, to znaczy, że działali jeszcze w czasie wojny przeciw Niemcom, a nie w powojennej konspiracji przeciw komunistom?

– Tak, właśnie taka wojenna wisiała nad nimi przeszłość.

Prokurator Zarakowski stwierdził: „Blok otrzymuje od »Tadeusza« polecenia werbowania członków do WiN, zbierania materiałów szpiegowskich, co wykonuje i za co otrzymuje stałą pensję”. Ale w tej sprawie stalinowski śledczy

się mylił, bo Franciszek Blok rzeczywiście wcześniej działał w powojennym podziemiu.

Franciszka Bloka, skazanego na śmierć przez porucznika Stefana Michnika, uratowały świerszcze. Coraz wyraźniej brzęczały w jego głowie. Coraz głośniej dudniły dzwony. Nasilało się uczucie kłucia i łaskotania mózgu. Lekarz więzienny 9 grudnia 1954 roku orzekł: „Wnoszę o przerwę w karze, względnie umieszczenie w zakładzie psychiatrycznym. Obawa samobójstwa. Pilne!”.

Kiedy Blokowi udzielono urlopu zdrowotnego, jego żona 9 stycznia 1956 roku napisała do Aleksandra Zawadzkiego, przewodniczącego Rady Państwa. Informowała: „Mój 11-letni syn tak bardzo kocha ojca, tak wierzy w Ciebie, Ob. Przewodniczący, że już kilkakrotnie chodził do Pałacu Kultury, słysząc, że Ciebie, Dostojny Obywatelu, tam spotkać można na choince dla dzieci, aby Cię prosić o przebaczenie dla ojca”.

Antoni Blok, syn Franciszka, nie pamiętał, by chodził do Pałacu Kultury, do przewodniczącego Zawadzkiego, prosić o łaskę dla ojca. Z Pałacu pamiętał pływalnię i przedstawienia kukiełkowe.

– Ojca zatrzymano w Wigilię – opowiadał mi. – Niósł nam prezenty: dla mamy miał chustkę na głowę, a dla synów zabawkę i dziecięcy pistolet. Kiedy go wypuszczali z więzienia, pistoletu nie oddali, „żeby się twoje dzieci nie chowały na takich jak ty skurwysynów”.

Znajdujący się w aktach sądowych protokół rewizji zatrzymanego z 24 grudnia 1953 roku nie wspomina o prezentach. Wymienia inne przedmioty odebrane Blokowi: dwa wieczne pióra, zegarek niklowy, przedwojenne piętnaście złotych, trzy kluczyki, pięć lichtarzyków choinkowych.

Czy więc pistolet dziecięcy to wytwór późniejszej fantazji?

Antoni Blok pamiętał, że po aresztowaniu matka chodziła dowiadywać się o los ojca.

– Mówili, że zabrali go amerykańscy skoczkowie.

Kiedy sąd wymierzał Blokowi karę śmierci, uzasadnił: „Oskarżony jako oficer sanacyjnego wojska, a następnie jako działacz Armii Krajowej na kierowniczym stanowisku, dopuszczając się do wymienionych wyżej zbrodni, działał pod wpływem nienawiści do swej ojczyzny”.

Rok po aresztowaniu Bloka rodzina dostała zgodę na widzenie.

– Najpierw była metalowa barierka, a za nią krata z drobnymi oczkami – zapamiętał syn. – Ojciec chciał być jak najbliżej nas, wsuwał palce między kraty. Klawisz, kiedy przechodził, uderzał ojca po rękach zwiniętą gazetą. Tatuś zabierał dłonie. Dopiero później, już na wolności, powiedział nam, że klawisz miał ukrytą w papierze ołowianą pałkę.

Ojciec pisał do Rady Państwa prośby o ułaskawienie. 1 sierpnia 1954 roku przekonywał: „Najradykalniejszym środkiem uzdrowienia ludzi chorych politycznie jest droga przez więzienie”. Informował, że czuje się wyleczony, można go więc zwolnić.

Wkrótce pojawiły się wspomniane bóle, duszności oraz świerszcze i dzwony, dzięki którym odzyskał wolność.

W aktach zanotowano: „»Tadeusz«, werbując oskarżonego…”.

Syn jednak nie wie, kto zwerbował ojca.

– Może to był ten człowiek, na którego ojciec po wyjściu z więzienia natknął się w Alejach Jerozolimskich. Uciekał przed ojcem, aż zgubił buty. Co bym zrobił, gdybym wiedział, że on żyje? Jeśli działał świadomie, to wiadomo, poszedłbym i dał w gębę. Co więcej mógłbym zrobić?

Rozmowa z Sieńką.

– Pamięta pan Aleksandra Grubę?

– Oczywiście, że go znam – pierwszy raz przyznał bez wahania. I dodał: – Przy każdym naszym spotkaniu później rzucał mi się na szyję, że uratowałem mu życie.

– Nie rozumiem. Za co był panu wdzięczny? Przecież w 1952 roku nie ratował mu pan życia, ale wciągał do fikcyjnej organizacji.

– Nie wiem, kto go przyjmował. Wcześniej już miał kontakt. Później prosiłem pułkownika Andrzejewskiego, który w MBP kierował akcją, żeby ratował Grubę.

– Gruba najpierw dostał karę śmierci.

– No tak, ale ja prosiłem Andrzejewskiego.

Andrzej Gruba, tak jak Antoni Blok, zapamiętał, że ojca aresztowano w Wigilię. Obaj, Gruba i Blok, trafili do więzienia w 1953 roku.

– Tata opowiadał, że Sieńko wtedy wyznaczył mu spotkanie na dworcu – wspominał syn. – Ojciec jechał do domu na święta, a Sieńko dawał mu jakąś paczkę.

Sieńko nie pamiętał, żeby umawiał się na takie spotkanie. Wspomniał tylko:

– Ale z paczkami to coś mogło być. Może chciałem się odwdzięczyć, Gruba kiedyś dał mi sweter dla córki.

Rosjanie wywieźli Aleksandra Grubę do łagru w sierpniu 1944 roku. Wrócił po trzech latach chory na gruźlicę.

W sądzie zeznał, że z „Tadeuszem”, czyli Sieńką – swoim bardzo dobrym znajomym jeszcze z wojennej konspiracji – spotkał się w warszawskiej kawiarni w czerwcu 1952 roku. Wówczas Sieńko wciągnął go do WiN.

„W lutym 1952 r. zawerbowany został przez »Tadeusza« do WiN – od tego czasu wykonuje cały szereg działań organizacyjnych i szpiegowskich, m.in. utrzymuje stały kontakt z »Huzarem« (miał za zadanie ściągnąć »Huzara« do Warszawy) – otrzymuje stałą pensję od »Tadeusza«” – zanotował prokurator Zarakowski.

Grubę skazano na śmierć. Jak inni starał się o łaskę.

Kiedy Najwyższy Sąd Wojskowy zmniejszył mu karę do dziesięciu lat, Gruba komunikował: „Z zadowoleniem przyjąłem wiadomość o decyzji Sądu Najwyższego, który ze zrozumieniem i sercem podszedł do mojej sprawy. To wyraźnie przychylne stanowisko Sądu Najwyższego i humanitarne traktowanie podczas śledztwa i przez cały okres pobytu w więzieniu, utwierdziło moje zaufanie do Władzy Wymiaru Sprawiedliwości, które w ten sposób pozostawiło mi możność powrotu po odbyciu kary do normalnego życia. Wiem, że władze nie chcą mej zguby”.

Po zwolnieniu z więzienia Gruba wstępował kolejno do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Ligii Obrony Kraju, Komitetu Budowy Szkoły, Komitetu Budowy Pomnika ku Czci Poległych Partyzantów.

W 1993 roku, już po jego śmierci, sąd na wniosek syna unieważnił wyrok. W uzasadnieniu nie napisał, że Gruba działał w fikcyjnej organizacji. Wtedy jeszcze historycy niewiele wiedzieli o V Komendzie. Sąd orzekł: „Przypisana panu Aleksandrowi Grubie działalność była czysto organizacyjna w ramach WiN i na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego”.

– Ojciec później wiele razy spotykał się z Sieńką – wspominał Andrzej Gruba. – Wybaczył mu. Nie było w nim chęci odwetu. Był ufny, Sieńko bez trudu go przekonał. Ja sam spotykałem Sieńkę wiele razy – dodał. – Nigdy o nic nie pytałem. Nie ma we mnie agresji, ale nie znoszę go, on to chyba wyczuwa. Raz miałem do niego szacunek za odwagę. Przyszedł na pogrzeb ojca, a to był wielki pogrzeb, ze sztandarami. Stał sam, w samym końcu kaplicy. Później jeszcze mamie przysłał porzeczki. Pewnie z dobrego serca, bo przecież nie w ramach rekompensaty.

Już po wszystkim – po końcu V Komendy, po opuszczeniu więzienia – Aleksander Gruba został agentem Służby Bezpieczeństwa. 15 grudnia 1958 roku przyjął pseudonim „Zgodny”.

Rozmowa z Sieńką.

– Czy godząc się na współpracę, pomyślał pan, że kiedyś, po latach, ktoś nazwie pana prowokatorem?

– Przecież nie było żadnej prowokacji, sam byłem najbardziej zainteresowany, żeby jej nie było. Ludzie nawet mało co robili, tyle żeby powstawało złudzenie podziemnej organizacji.

– Pamięta pan Wilhelminę Targowską?

– Nie.

– Nosiła pseudonim „Hanna”. Według akt była pana łączniczką.

– „Hanna”? Chyba rzeczywiście była taka łączniczka. Ale nic więcej nie pamiętam.

Skazani już nie żyją, lecz ich akta nadal krążą. Między sądami wojskowym i cywilnym, między archiwum stołecznym, państwowym i sądowym.

Franciszek Blok odnalazł się w warszawskim Sądzie Wojewódzkim. Czekał na unieważnienie wyroku; sprawę wniósł syn. Aleksander Gruba i Jan Kruk znaleźli się w archiwum Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Kruk leżał tu już nieruszany od kilkudziesięciu lat, ale Grubę właśnie zwrócił sąd wojskowy, który unieważnił jego wyrok.

W tej pośmiertnej wędrówce zaginęła Wilhelmina Targowska. To ona powiedziała w więzieniu Danucie Ćwiklińskiej, że Sieńko to zdrajca. Początkowo jednak wiedziałem o niej bardzo mało. Przewijała się tylko w aktach innych jako krótkie, kilkuzdaniowe zeznanie.

Z czasem dowiedziałem się o niej więcej.

Pochodzenie: robotnicze. Wykształcenie: siedem klas. Już w 1945 roku skazano ją na pięć lat więzienia. Po wyjściu na wolność w 1950 roku nawiązała kontakt z WiN.

„Zostaje w 1950 r. – przez niejaką Janinę Oszast skontaktowana z »Tadeuszem« – od tego czasu jest aktywną łączniczką »Tadeusza«, »Feliksa« i »Józefa« oraz zbiera materiały szpiegowskie; za prace w ramach WiN otrzymuje stałą pensję” – wyjaśniał prokurator Zarakowski.

Z zawodu była krawcową. Przyszła na świat 22 grudnia 1916 roku w Krakowie. Podczas wojny w AK nosiła pseudonimy „Filut”, „Lilka”, „Hanka”. W okolicach Szczawy w podziemnym inspektoracie Nowy Sącz była łączniczką konspiracyjnej radiostacji „Jutrzenka” i majora Adama Mackusa „Prostego”. Jako członkinię WiN aresztowano ją 27 grudnia 1952 roku.

Z akt wynika też, że po wyroku wożono ją do wielu miejsc w Polsce, aby zeznawała na rozprawach sądowych. Dlatego jej akta sądowe dziś mogą być wszędzie. Jej życie splotło się z losami tylu ludzi, że teczki Wilhelminy Targowskiej mogą tkwić gdziekolwiek, doczepione do cudzej sprawy.

W latach dziewięćdziesiątych, kiedy jej szukałem, bez wątpienia mogła jeszcze żyć – wskazywał na to jej rok urodzenia. W protokołach zeznań

zanotowano adres sprzed aresztowania: Warszawa, ulica Grójecka. Jednak w budynku o podanym numerze nie było żadnych mieszkań, a tylko biura: notariat, gospodarka komunalna. Starszy pracownik pamiętał, że ostatni lokatorzy wyprowadzili się co najmniej trzydzieści lat wcześniej.

W warszawskiej książce telefonicznej – w latach dziewięćdziesiątych odchodziła już w przeszłość – nazwisko Targowscy występowało osiemnaście razy. Przez telefon nikt nie przyznawał się do pokrewieństwa z Wilhelminą. Poszukiwania należało zacząć w warszawskim biurze adresowym, ale długotrwała awaria komputerów uniemożliwiała odnalezienie kogokolwiek. Wreszcie komputery ruszyły.

Wilhelmina Targowska zmarła w 1963 roku.

Czy miała dzieci? – tego biuro nie wiedziało.

Rozmowa z Sieńką.

– Po ujawnieniu śledził pan losy swoich podkomendnych z WiN?

– Tyle co do mnie napływało prywatnymi kanałami. Początkowo nie wiedziałem, czy kogoś aresztowano. Na początku operacji zapewniano mnie, że nikt nie trafi do więzienia.

– I pan im ufał? Siedmiu pana kolegów z IV Komendy WiN zabito jednego dnia na Mokotowie.

– Dowiedziałem się o tym później, stracono ich w 1951 roku. Byłem bezbronny, jakie ja miałem możliwości?

– Znał pan Władysława Moykowskiego?

– Nie pamiętam.

– On miał opracowywać plany dywersyjne.

– A, zaraz, to mi się przypomina, bo coś takiego powinien robić oficer. Był taki.

– Zeznawał, że pan go zawiózł pod Jelenią Górę i znalazł mu nocleg w Perle Zachodu.

– Rzeczywiście, chyba gdzieś z nim byłem.

– Mówił w sądzie, że przed wyjazdem na Zachód jako rekompensatę za pomoc finansową zostawił panu kufer z odzieżą. Co się stało z tym kufrem?

– Nie widziałem się z Moykowskim przed odjazdem – zaprzeczył Sieńko.

Rodzina Moykowskich nie mieszkała już w domu, który w aktach sądowych podano jako adres Władysława. Syn Moykowskiego, skazanego wówczas na dożywocie, wyprowadził się pod Warszawę.

Kiedy aresztowano jego ojca, był już dorosłym mężczyzną, po doktoracie. Chętnie opowiadał mi o ojcu. I o sobie. Bo też znał Stefana Sieńkę. I też został

wówczas aresztowany oraz skazany po tym, jak Sieńko przekazał mu rozkaz wyjazdu za granicę.

Najpierw jednak Janusz Moykowski położył na stół zdjęcia swego ojca.

Pierwsze z legionów. Władysław na koniu, z szablą, w czapce ułańskiej. Był wówczas w 1 Pułku Ułanów Legionów Polskich, zwanych od dowódcy Beliniakami, miał piętnaście lat.

Na następnym zdjęciu ojciec razem z synem idą wileńską ulicą. Ojciec w mundurze Korpusu Ochrony Pogranicza, syn w mundurku ucznia gimnazjum jezuitów. Syn ledwie o pół głowy niższy od ojca. Lekko uśmiechnięci. Kroczą noga w nogę, na wyblakłym zdjęciu wyglądają, jakby wychodzili z przeszłości i wkraczali do dzisiejszego świata, w którym żyją oglądający to zdjęcie.

Władysław Moykowski, herbu Jastrzębiec, oprócz Virtuti Militari, został siedmiokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych: trzy razy w roku 1920, raz we wrześniu 1939, trzykrotnie w czasie wojennej konspiracji.

– Ja nie wiedziałem, że ojciec należy do WiN, a on, że ja – opowiadał Janusz Moykowski. – Sieńko, którego znałem pod pseudonimem „Andrzej”, przekazał mi rozkaz kierownictwa WiN: wyjeżdżaj za granicę. Miałem zostać przeszkolony w ośrodku dywersji, ale gdybym nie chciał wracać do Polski, obiecano mi studia. Sieńko, pewnie żeby wzmocnić moją wolę ucieczki, powiedział, że poszukuje mnie UB. Ukrywałem się pół roku. Jak się później okazało, mój ojciec w tym czasie również przygotowywał się do ucieczki; dekował się już rok. Miał być delegatem WiN na Zachodzie. Opiniował plany dywersyjne. Znał dobrze Sieńkę jeszcze z czasów okupacji. I Wilhelminę Targowską, jego łączniczkę.

Janusz Moykowski pamiętał dalsze losy Targowskiej: po wyjściu z więzienia do końca życia pracowała w Zjednoczonych Zespołach Gospodarczych PAX. Zachorowała na raka. Popełniła samobójstwo. Nie miała męża. Umarła bezdzietnie.

– Po wojnie działałem do czasów III Komendy WiN – wspominał. – Później dopiero w pięćdziesiątym albo w pięćdziesiątym pierwszym zgłosiła się do mnie Targowska, skontaktowała mnie z Sieńką. Moja trasa przerzutu prowadziła przez Zgorzelec. Tam na dworcu spotkałem się z kobietą, która czekała z „Przekrojem” albo „Życiem Warszawy”, nie pamiętam. Zaprowadziła mnie do kawiarni. Pamiętam, że zjadłem jajecznicę. Wieczorem podjechała ciężarówka z plandeką. Pojechaliśmy nad Nysę, tam załadowano mnie do pontonu i przeprawiono na drugą stronę. Na brzegu czekało auto i dwie łączniczki. Kiedy odeszły, otoczyli mnie mężczyźni i skuli w kajdanki. Zawieźli mnie na most graniczny, żeby wydać polskim ubekom. Wtedy zobaczyłem też skutego

ojca. Musiał być przerzucany tą samą drogą kilka dni wcześniej. Trzymali nas jednak osobno.

Z akt sądowych można wyczytać, że ojca Janusza, Władysława Moykowskiego, aresztowano w NRD w nocy z 11 na 12 marca 1952 roku. Przekraczał zieloną granicę zaopatrzony w niemiecki paszport na nazwisko Paul Heinrich Schmidt oraz fiolkę z cyjankiem potasu.

Stefan Sieńko, kontaktując się z Władysławem Moykowskim, używał pseudonimu „Andrzej". Prokurator Zarakowski stwierdził: „»Andrzej« dostarczył Moykowskiemu pieniędzy, fałszywych dokumentów i zorganizował ucieczkę Moykowskiego, jego żony i syna".

Janusz Moykowski wspominał:

– W śledztwie obchodzili się z nami delikatnie, w białych rękawiczkach, ja dostałem dożywocie, które zaraz zamienili na dziesięć lat. Nie bili. Uważam, że to dzięki Sieńce. Wszystko im powiedział, to po co mieliby nas bić?

Później z więzienia Władysław Moykowski wysyłał jak inni prośby o ułaskawienie. Tłumaczył swoją przeszłość legionową: „Służyłem, lubiąc fach wojskowy, uznawałem jedynie wartość człowieka, nie łącząc się z partią rządzącą, do której jako legionista mógłbym mieć łatwy dostęp".

Pisał: „Po wojnie zerwałem całkowicie (i odseparowałem się nawet towarzysko) ze środowiskiem ludzi z b. AK i wzywałem b. AK-owców do ujawnienia się i do przystąpienia do lojalnej pracy dla Państwa".

Potem przewodniczył komisji ujawniającej AK-owców.

„W tym czasie (styczeń 1946) jakaś banda napadła w Krakowie moje mieszkanie, pobiła sekretarkę, ograbiła z pieniędzy i akt. Herszt bandy oświadczył, że to »za współpracę z obecnymi władzami«. Przez parę miesięcy Urząd Wojewódzki Bezpieczeństwa dał mi ochronę do czasu zlikwidowania bandy i zastrzelenia jej herszta".

Kiedy Moykowskiemu udzielono przerwy w odbywaniu kary ze względu na gruźlicę, komunikował, że mimo choroby podjął pracę jako referent: „Że praca moja spotkała się z uznaniem dowodzi fakt, iż szybko awansowałem z grupy VII do VI oraz otrzymałem dyplom uznania i nagrodę pieniężną".

Janusz Moykowski, syn Władysława wspominał Sieńkę:

– To był sympatyczny człowiek. Lubił wypić, ja wówczas też lubiłem. Jakbym go teraz spotkał, tobym powiedział: „Co, »Andrzejku«, wrobiłeś nas?". A on by przedstawił jakieś wytłumaczenie, na przykład: „Szantażowano mnie". Pan popatrzy – dodał – mój ojciec, konspirator przez całą wojnę, a na Sieńce nie poznał się. To była koronkowa robota. Wszystkich potrafił zwieść.

Prokurator Zarakowski zanotował uwagę ministra bezpieczeństwa publicznego zalecającego, by w szczegóły sprawy nie wtajemniczać sędziów i prokuratorów. Ale unikać wydawania wyroków śmierci i dożywocia. Uwzględniać okoliczności łagodzące, w ostateczności korzystać z prawa łaski. Dyrektor Departamentu Śledczego Józef Różański uważał, że wyroki nie powinny przekraczać pięciu lat.

Prokurator Zarakowski podsumowywał: „zachodzi spieszna konieczność, by Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego wskazało dokumentalnie organom wojskowej prokuratury i sądu, jakie osoby ścigane karnie działały pod kontrolą MBP i jaki był zakres tej kontroli", bo powinno to mieć znaczenie przy określaniu winy oskarżonych i wymierzaniu im kary.

Pokazałem Sieńce kserokopię dokumentu z archiwum MSW. Byłem ciekaw, czy po lekturze przypomni sobie ludzi, którym według dokumentu wydawał rozkazy.

Przeczytał i orzekł:

– To pismo jest moim sojusznikiem. Proszę przeczytać: nawet Różański optuje, żeby dawano im najwyżej do pięciu lat więzienia. To potwierdza, że były wcześniej ustalenia, że mi obiecano, że ludzie nie pójdą do więzień.

W pochodzącym z kwietnia 1954 roku opracowaniu podsumowującym operację „Cezary" napisano: „materiał kompromitujący stanowi cenny warunek dobrej pracy agenta, ale warunek daleko niewystarczający, a w toku dalszej pracy – daleko nie najważniejszy. Ten warunek nie zawsze daje gwarancje pełnej lojalności, już prawie w żadnym stopniu nie daje gwarancji ofiarnej pracy, wymagającej ustawicznego napięcia, nieraz dużego ryzyka, poświęcenia, oddania, a więc cech, których na dłuższą metę żaden materiał kompromitujący nie jest w stanie wydobyć z agenta znajdującego się wyłącznie pod naciskiem strachu, takich czy innych konsekwencji fizycznych. Takie cechy może wydobyć z agenta przede wszystkim właściwa, oparta na podstawach politycznych i ideowych praca z agenturą. Doświadczenia rozpracowania »Cezary« raz jeszcze potwierdzają, że najlepsze rezultaty uzyskuje się dzięki wychowaniu agentury w poczuciu wykonywania przez nią trudnej, ale zaszczytnej pracy dla ojczyzny ludowej. Tylko upolitycznienie pracy z agentami takim jak »Wiktor«», »Karol« czy »Kos« mogło przynieść tak pomyślne rezultaty".

Stefan Sieńko nigdy już nie znalazł się w centrum wydarzeń. Niedługo po zakończeniu operacji z V Komendą został dziennikarzem gazety rolniczej.

Kiedy w marcu 1968 roku jego czasopismo informowało, że z Uniwersytetu Warszawskiego usunięto profesora Leszka Kołakowskiego, Stefan Sieńko

w tym samym numerze pisał: „Po wielu dyskusjach zrodziła się myśl, że opryskiwacze i opylacze baz i kółek mogą być wykorzystane znacznie skuteczniej”.

W grudniu 1970 roku, kiedy na Wybrzeżu protestowali i ginęli robotnicy, pisał o małej retencji. Wyjaśniał: „Jest to »magazynowanie« wód powierzchniowych oraz zwiększanie zasobów wód gruntowych dla produkcji rolnej”.

Później małą retencję zastąpiła Korea. W czerwcu 1976 roku, w czasie rozruchów w Radomiu, pisał: „Nasz kraj od 1952 r. występował aktywnie i konsekwentnie w obronie słusznych praw narodu koreańskiego”.

W pierwszych miesiącach stanu wojennego w Polsce przypominał o prawach człowieka: „Na posiedzeniu Komisji Praw Człowieka w Genewie przedstawiciel Pakistanu oskarża Indie o pozbawianie swobód politycznych muzułmanów indyjskich w Kaszmirze”.

Po rozmowach ze mną, po wyjaśnieniach, jakie pisał do IPN, ostatni raz wystąpił publicznie w 2017 roku w filmie dokumentalnym *Operacja Cezary*. Wtedy już wierzył bez reszty w jedno: został agentem po to, aby ostrzec Józefa Maciołka i Delegaturę.

W swoich okolicach Stefan Sieńko zawsze uchodził za bohatera podziemia.

13

Kilka tygodni po tym, jak w „Gazecie Wyborczej” przedstawiłem swoje pierwsze ustalenia dotyczące V Komendy, napisał do mnie nieznajomy człowiek, Jan Szymański. Informował, że jego ojciec Zdzisław był prowokatorem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Jan Szymański w latach dziewięćdziesiątych zakładał w Łodzi szkolne koła EarthAction Network, międzynarodowej organizacji zajmującej się ekologią, prawami człowieka i wyższą technologią.

„Jak Pan się może domyślić – pisał – interesuje mnie przyszłość i z wielką niechęcią wracam do przeszłości. Musiałem pokonać wewnętrzny opór, aby napisać ten list dla spokoju sumienia”.

Jan Szymański powiadomił mnie, że jego ojciec WiN-owiec także zgodził się na współpracę z bezpieką. Miał odegrać podobną rolę jak Stefan Sieńko. Jednak – w przeciwieństwie do niego – od razu zaczął ostrzegać swoich kolegów, że jest konfidentem.

Ojciec Jana, czyli Zdzisław Szymański, zmarł miesiąc przed podpisaniem porozumień sierpniowych w 1980 roku. Cenzura wykreśliła wtedy z nekrologu informacje o jego funkcjach w Armii Krajowej i pobycie w więzieniu.

Ród Szymańskich od początku otaczała tajemnica. Do dziś nie wiedzą, jakie są ich korzenie.

Po powstaniu listopadowym ich przodek uciekł z zaboru rosyjskiego do Galicji. Zmienił nazwisko, a dawnego nigdy dzieciom nie zdradził. Przed śmiercią przepowiedział: Polska odzyska niepodległość w piątym pokoleniu Szymańskich, gdy na Wschodzie zabłyśnie czarny piołun, na Zachodzie zapanuje zaraza, której nikt nie opanuje, a z Krakowa wyjdzie król, któremu pokłoni się cały świat.

Janowi, który jest piątym pokoleniem, wszystko się zgadzało. Z Krakowa wyszedł papież, na Zachodzie panowało AIDS, a na Ukrainie nastąpił wybuchł w Czarnobylu, którego nazwa wywodzi się od czarnego piołunu, trawy rosnącej w tamtej okolicy.

Ale jego ojcu Zdzisławowi, urodzonemu dwadzieścia jeden lat przed odzyskaniem niepodległości – choć był dopiero czwartym pokoleniem – też wszystko się zgadzało: już w 1918 roku z Krakowa wyszedł Piłsudski, którego

szanował świat, w Rosji wybuchła czerwona rewolucja, a na Zachodzie zapanowała epidemia hiszpanki.

Zdzisław w wieku szesnastu lat zaciągnął się do II Brygady Legionów Polskich. Potem, w międzywojennej Polsce, został prawnikiem. Jako wicedyrektor Państwowego Urzędu Kontroli Ubezpieczeń nadzorował prywatne firmy ubezpieczeniowe. Pewnego dnia przyszli do niego koledzy z Legionów i powiedzieli, że trzeba pomóc ojczyźnie. Ojciec zaczął służyć: dostarczał informacje „Dwójce", przedwojennemu kontrwywiadowi wojskowemu. Meldował o niewielkich prywatnych firmach ubezpieczeniowych, z których wiele było przykrywkami dla niemieckiego albo komunistycznego wywiadu.

Z powodu współpracy z „Dwójką" zaraz po wybuchu II wojny światowej zaczęli go szukać Niemcy. Ukrył się na Rzeszowszczyźnie, udawał rolnika. Trafił do Armii Krajowej, która załatwiła mu jako przykrywkę pracę inspektora ubezpieczeniowego w Rzeszowie. Codziennie z Tyczyna, w którym mieszkał, chodził dziesięć kilometrów do Rzeszowa. Po południu wracał tą samą drogą.

Tymczasem syn Jan rwał się do walki z Niemcami. Z kolegami urządzał ćwiczenia wojskowe. Zdobyli nawet pistolet, ale bez amunicji. Gdy ojciec się dowiedział, dla bezpieczeństwa zaprzysiągł trzynastoletniego Jana jako AK-owca.

Ojciec prowadził niebezpieczną robotę. Zajmował się kontrwywiadem i przeciwko niemieckiemu okupantowi, i przeciwko polskim komunistom. Spotykał się ze swym zwierzchnikiem, zakonspirowanym jako folksdojcz. Kiedy powstała komunistyczna podziemna Polska Partia Robotnicza, znalazł w niej informatora, sekretarza komitetu okręgowego. Ani wtedy, ani później Zdzisław nie chciał jednak mówić o szczegółach.

Syn pamiętał:

– Przychodzili do ojca różni ludzie z organizacji, siadali w pokoju. Dla pewności, że nikt nie podsłucha, rozmawiali przez metalową rurę. Jeden koniec przykładali do ust, drugi do ucha.

Po wojnie Zdzisław Szymański, doktor praw, wykładał na UJ i Uniwersytecie Łódzkim. Opublikował pionierską pracę *Ubezpieczenie od kradzieży z włamaniem oraz ubezpieczenie szyb*.

I nadal konspirował. W WiN zajął się wywiadem gospodarczym. Zbierał informacje o wywożeniu przez Rosjan polskich fabryk, torów kolejowych, przewodów elektrycznych. Miał swoje wtyczki w Komitecie Centralnym PPR.

Wyjechał do Szwajcarii na konferencję prawniczą. Wywiad brytyjski zaproponował mu współpracę, ale odmówił. Wrócił w marcu 1948 roku, a dwa miesiące później zniknął z domu na całą noc.

– Wrócił rano zmięty, jakby go tramwaj przejechał – wspominał syn.

Okazało się, że poprzedniego dnia, gdy ojciec wracał do domu po egzaminowaniu studentów, zaczepiło go na ulicy dwóch cywilów. Byli funkcjonariuszami Wydziału II Departamentu III MBP. Wsadzili go do samochodu bez numerów rejestracyjnych i zawieźli do jakiejś willi. Tam posadzili za biurkiem i dali do przejrzenia grubą teczkę.

Ojciec czytał. Materiały dotyczyły WiN. Informacje go przeraziły. Wyglądało na to, że WiN jest dokładnie rozpracowany.

Zdzisław pamiętał, jak kiedyś nie wszedł na spotkanie do mieszkania kontaktowego w Krakowie, bo naprzeciwko siedział żebrak, który wzbudził jego podejrzenia. O przebiegu tego spotkania dowiedział się teraz z materiałów UB. Przeczytał, że żebrak rzeczywiście obserwował wszystkich, którzy wchodzili.

– Rozpracowanie było możliwe przez niechlujstwo konspiratorów – twierdził Jan. – Ojciec już w Armii Krajowej nie cierpiał podporuczników, czyli rezerwistów po maturze, którzy stali się trzonem AK. Było w nich mnóstwo niepotrzebnej buty: chodzenie w oficerkach, akcje na własną rękę, wygadywanie się przed kobietami. Ubecy mamili ojca: „Pomoże pan, ułatwimy karierę uniwersytecką. Zrobimy pana rektorem, potem ministrem oświaty może”.

Zdzisław zgodził się na współpracę. Ubecy ostrzegli, że inaczej zabiją jego i syna.

Opowiedział wszystko żonie. Powiedziała, że skoro Rosjanie rozgrabili ich majątek, dzieciom mogą pozostawić w spadku jedynie nazwisko. Takie, którego nie okryła niesława.

Ojciec ruszył w Polskę. Ostrzegał kolegów z WiN, że jest konfidentem.

Ubecy kazali mu kontynuować działalność WiN-owską. Liczyli, że zgłosi się do niego ktoś ważny z organizacji.

Pewnego dnia zjawił się u niego Stefan Sieńko. Zdzisław nie wytrzymał i ostrzegł go. Byli w AK i WiN na tym samym terenie, na Rzeszowszczyźnie. Sieńkę znano z brawury. Ojciec nie chciał, by wpadł w ręce bezpieki. Tymczasem on już od kilku miesięcy meldował o wszystkim Urzędowi Bezpieczeństwa. Po spotkaniu ze Zdzisławem Szymańskim doniósł też na niego.

Na usprawiedliwienie Sieńki: mógł podejrzewać Szymańskiego, że ten jest prowokatorem, który sprawdza prowokatora.

Zdzisław Szymański zniknął znowu w październiku 1948 roku w Łodzi, gdy wracał z uniwersytetu po egzaminach. Kilka dni później jego zwierzchnik,

profesor Tadeusz Kotarbiński, wystosował pismo do UB: „Wobec tego, że dr Zdzisław Szymański nie powrócił do domu, zapytuję, czy władzom Wojewódzkim Bezpieczeństwa nie jest wiadome, co się z nim stać mogło”.

Sąd wojskowy „bez udziału obrońcy i prokuratora na rozprawie bez udziału publiczności” skazał w styczniu 1949 roku Zdzisława Szymańskiego na dwukrotną karę śmierci.

Punkt 4 wyroku uznał go za winnego tego, że „w pierwszej połowie czerwca 1948 r., będąc zobowiązany do współpracy z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego i zachowania tajemnicy oraz meldowania o wszelkich działaniach i osobach nielegalnej organizacji WiN, po skontaktowaniu się z członkiem nielegalnej organizacji WiN »Stefanem« [zapewne chodziło o Sieńkę – P. L.], nie zameldował o powyższym organom MBP, a tylko ostrzegł »Stefana«, że jest na usługach MBP, przez co wprowadził w błąd powyższe władze, wyrządzając szkodę interesom Państwa Polskiego”.

– Kiedy ojciec zaczął wszystkich zawiadamiać, że jest konfidentem, ubecy musieli oszaleć – opowiadał mi syn. – Żeby taki neurasteniczny, zamyślony intelektualista, gubiący przez roztargnienie parasole i kapelusze, zepsuł robotę asom kontrwywiadu!

Ubecy obiecali ojcu karę śmierci i sąd rzeczywiście ją orzekł. Pozostawały starania o ułaskawienie. Rodzina znała radzieckie przysłowie „*Błat silnieje Sownarkoma*” (znajomości, łapówka ważniejsze od władzy). W Warszawie znaleźli adwokata, dawnego sędziego wojskowego, który wiedział, kogo trzeba przekupić.

– Skierował matkę do warszawskiej piekarni, w której zaopatrywała się sekretarka i kochanka Bieruta – opowiadał syn Jan. – Sekretarka powiedziała matce, ile kosztuje dożywocie. Wyrok piętnastu lat kosztował dwa razy więcej. Rodzinnych oszczędności starczyło akurat na piętnaście lat.

To wydaje się naciągane – ale przecież w historii po latach często dzieje się znacznie więcej, niż zdarzyło się w rzeczywistości. Najbliższe otoczenie Bieruta nie potrzebowało łapówek, aby żyć lepiej niż reszta społeczeństwa. Choć oczywiście władza była tak scentralizowana, że właśnie ludzie z tego kręgu mogliby za pieniądze oferować dowolne usługi.

Zdzisław siedział osiem lat. Przeważnie w pojedynczej celi, bez prawa czytania gazet, posiadania ołówka i papieru. Zaczął układać wiersze. Uczył się ich na pamięć. Powtarzał:

Jak ma róść to, co nie żyje,
w głuszy śmierci dni tu bieżą.

Rośnie tylko to, co gnije,
w inne wzrosty tu nie wierzą.

Albo:

Wkoło ściana biała.
Kroków siedem do końca.
To ma przestrzeń cała,
przestrzeń snu bez słońca.

Syn Jan po latach opracował wiersze. Wyszło tego sto pięćdziesiąt stron. Ojciec nosił więc w pamięci cztery i pół tysiąca wersów. Albo inaczej: około dwudziestu siedmiu tysięcy słów.

Gdy Zdzisław po kilku latach, około 1952 roku, dostał papier i przybory piśmienne, zaczął spisywać swoje utwory. Ze strażnikami też rozmawiał wierszem.

Władze więzienne odpowiadały mu prozą: „Odmowa zezwolenia na doręczenie witamin", „Odmowa zezwolenia na pracę naukową", „Odmowa zezwolenia na doręczenie flanelowego ocieplacza", „Zezwolenie na doręczenie skarpet".

Ponieważ pisał wiersze, wysłano go na badania psychiatryczne. Lekarze jednak nie dopatrzyli się nieprawidłowości. Diagnoza brzmiała: symuluje chorobę psychiczną.

Jan Szymański też zniknął z domu. Od końca wojny należał do WiN. Pewnego dnia spotkał kolegę, który był w wojsku. Zamówił u niego materiały wybuchowe. Kolegę złapano, gdy je zabierał z jednostki.

Kiedy pewnego dnia Jan dostrzegł przed domem samochód bez numerów rejestracyjnych, uciekł. Zaczął się ukrywać. Chował się u chłopów, mieszkał w stajni, na strychu, w bunkrze.

Wspomniana zgoda na używanie materiałów piśmiennych oznaczała, że Zdzisław mógł wysyłać listy. Do domu pisał zawsze wierszem:

Rok za rokiem ulata, rok za rokiem ginie.
Zapominam o świecie, wrastam w mą pustynię.

Niebogata, jak wiecie, przestrzeń ma życiowa.
Mała izdebka jak klatka, w górze okno chowa.

Tymczasem prasa opublikowała oświadczenie z podpisem Stefana Sieńki, wedle którego WiN postanowił się ujawnić. Sieńko odbywał podróże na

Rzeszowszczyznę, do rodzinnej wsi, by opowiadać ludziom, jak imperialiści chcieli bombardować polskie wioski. Przyjeżdżał w towarzystwie ubeków.

Jan Szymański wciąż się ukrywał. W stajniach, szopach, na strychach myślał o zmianach globalnych.

– Interesowały mnie przemiany w społeczeństwie i w przyrodzie na całej planecie – opowiadał mi. – To był ciekawy okres, myślałem o przyszłości. Przedwojenny świat już się kończył.

Przemyślał prawdopodobnie bardzo wiele: ukrywał się pięć lat. Ujawnił w 1955 roku, przesiedział rok w areszcie UB, uwolniła go polityczna odwilż rok później.

Jan zastanawiał się nawet, czy zabić Sieńkę. Człowieka, przez którego ojciec spędził w więzieniu osiem lat. Ustalił jego nowe nazwisko i adres pisma, w którym został dziennikarzem. Zrezygnował jednak. Został radcą prawnym, a w wolnych chwilach oddawał się rozmyślaniom o przyszłości.

– Należę do dwóch związków kombatanckich, ale chodzę tylko raz w roku zapłacić składki i uciekam, bo tam mówią tylko o przeszłości – powiedział mi Jan.

Założył fundację służącą przeżyciu ludzkości i jej odrodzeniu. Pisał na komputerze tłumaczenia angielskich raportów organizacji EarthAction. Potem powielał je i rozdawał.

– O proszę – pokazał. – Niech pan zajrzy do raportów. Amerykańscy uczeni twierdzą, że w ciągu sześciuset milionów lat ginęło rocznie nie więcej niż dziesięć gatunków biologicznych, a od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku ginie codziennie jeden gatunek. To okropne!

Przeczytałem. Raporty kończył apel: „Młodzi przyjaciele! Nie oglądajcie się na starsze pokolenie! Przyszłość należy do was”.

14

Marian Strużyński „Artur” porzucił szpiegowski fach, ale wciąż tworzył legendy. Teraz już nie na potrzeby wywiadu. Już nie po to, aby wywodzić na manowce ludzi z Delegatury, którzy pili razem z nim whisky albo snuli marzenia o Andersie wracającym na białym koniu.

Na rencie – którą uzyskał w 1964 roku – Strużyński stał się Reniakiem. Marianem Reniakiem. To pisarskie wcielenie agenta „7”. Pod tym pseudonimem pisał sensacyjne książki, służące propagandzie komunistycznych tajnych służb. Wydał między innymi *Niebezpieczne ścieżki*, *Człowieka stamtąd* i *Drogę z Monachium*, które potem znalazły się w tomie *Sam wśród obcych*. Dostawał literackie nagrody Ministra Obrony Narodowej i Ministra Spraw Wewnętrznych.

Na początku stanu wojennego opublikował paszkwil na konspiracyjną Konfederację Polski Niepodległej – *KPN. Kulisy, fakty, dokumenty*.

Oplatając przeszłość romantycznymi słowami, tkał na nowo swoje życie. Jakby – chciałoby się wierzyć – to prawdziwe raniło go co rano, gdy patrzył na swoją twarz w lustrze. A że faktyczne odbicie często skrywa się pod rozmazanymi plamami codzienności, tym łatwiej było uciec w literaturę.

Już podczas pierwszego spotkania Marian Strużyński podarował mi swoją powieść *Mitra*. Napisał dedykację: „Z nadzieją na trochę wyrozumiałości”.

Czytałem inną. Kiedy Strużyński wydał jedną ze swych książek, ofiarował egzemplarz swojemu oficerowi prowadzącemu – właśnie z czasów V Komendy – Franciszkowi Szlachcicowi ze słowami: „Nie potrafię wyrazić wzruszenia, jakie przeżywam, przedstawiając Wam, Towarzyszu Generale, te wspomnienia. Praca pod Waszym kierownictwem w tamtym okresie zadecydowała o wyborze mojej drogi życia, drogi do Partii”.

W książkach opisał między innymi swoją misję przeciw Delegaturze – choć nie ujawnił, że V Komenda była mistyfikacją.

W Berlinie Zachodnim przejęli go najpierw agenci CIA. Już pierwszy wspólny posiłek skłonił Strużyńskiego do refleksji: „Amerykanie popijali mięso mlekiem. Też gust. Poprosiłem o butelkę coca-coli. Tego jeszcze w życiu nie próbowałem. Żadna rewelacja, a tyle reklam wymalowanych co kilkanaście kilometrów przy autostradzie”. Komunistycznemu szpiegowi nie powinien przecież smakować imperialistyczny napój. Czy sam w to wierzył?

„W dobre ręce oddałeś, najmito – napisał o Józefie Maciołku, szefie Delegatury – wasz plan »Wulkan«. Chcielibyście cudzymi rękami wysadzać polskie mosty, niszczyć obiekty kolejowe. Nie znajdziecie w Polsce tych rąk, wasz »Wulkan« nie wybuchnie”.

Podczas pierwszej rozmowy „Artur” powiedział mi o tej książce:

– Oczywiście połowa to fikcja.

Połowa życia Mariana Strużyńskiego to też fikcja.

Wkrótce po zakończeniu operacji „Cezary” spisał swoje credo. Już wtedy uciekał w ułudę słów, które potem budowały jego nowy świat. Pisał na razie tylko dla niektórych, dla tych, którzy zwerbowali go jako agenta. Jeszcze w dokumencie wewnętrznym, jeszcze nie jako część książkowej legendy, 19 stycznia 1953 roku składał wyznanie nowej wiary:

„Do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w miejscu

Zwracam się z prośbą udzielenia mi rady lub też wyrażenia opinii w następującej sprawie dotyczącej bezpośrednio mojej osoby.

Jestem pochodzenia jaknajbardziej [sic!] obcego, z racji braku świadomości klasowej, mego pochodzenia oraz warunków i środowiska, w jakim się wychowałem, znalazłem się w obozie wrogim dla Polski Ludowej. Za czasów okupacji byłem w A.K., po wyzwoleniu nie zaprzestałem od razu wrogiej działalności dla rodzącej się w naszym kraju nowej rzeczywistości.

Wprawdzie od klasy, z której pochodzę, oderwałem się już przed wojną, jako kilkunastoletni chłopak, gdy matka moja rozwiodła się z ojcem (były okresy, że pracowała jako robotnica fizyczna). Oderwanie to jednak od dawnego środowiska zgniłej burżuazji było tylko pozorne, powierzchowne. W istocie rzeczy nadal tkwiłem w tym środowisku i byłem obciążony wszystkimi wynikającymi stąd naleciałościami klasowymi jakżeż obcymi klasie robotniczej i powstającemu nowemu życiu. Nie rozumiałem tego życia.

Najcięższe lata budownictwa socjalizmu w Polsce, 2 pierwsze lata po wyzwoleniu tkwiłem głęboko w obozie wszelkimi sposobami utrudniającym to budownictwo – wynika to zresztą z mojej przeszłości znanej Ministerstwu Bezp. Publicznego.

Proces pokonywania tych oporów i przezwyciężania obciążeń klasowych narastał u mnie powoli. Na tej drodze napotykałem na większą ilość trudności, które musiałem przełamywać. Dociekliwe studiowanie marksizmu-leninizmu i samo życie dopomogło mi w przebudzeniu się mojej świadomości zarówno na bazie praktycznej, jak i teoretycznej. Przyszedł moment, że mogłem z pełną świadomością stwierdzić jak bardzo była błędna droga, którą szedłem; mogłem odnaleźć swoje miejsce w społeczeństwie.

Oderwałem się od swego środowiska, zerwałem ze swoją przeszłością, postanowiłem oddać swoje siły na naprawianie moich błędów poprzez jak najbardziej aktywną pracę dla Polski Ludowej. Uważałem, że najbardziej widomym i konkretnym naprawianiem mojego politycznego zaślepienia i zacofania będzie praca właśnie polityczna, że ten teren dostarczy mi najwięcej możliwości zerwania z moją przeszłością i walki z tym złem, w którym do niedawna tkwiłem".

Pisał to wszystko, bo pragnął, aby przyjęto go do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Już raz odrzucono jego kandydaturę. Po wstępnej akceptacji przez Podstawową Organizację Partyjną (POP) przy Akademii Handlowej Komitet Wojewódzki nakazał ponowne rozpatrzenie jego kandydatury. Gdy POP ją znowu przyjęła, decyzji nie zatwierdził Komitet Miejski PZPR.

„Zrozumiałem wtedy, że moja droga do partii byłaby zbyt łatwa, że ciążyło na mnie pochodzenie klasowe i przeszłość, którą można przekreślić długotrwałą pracą dla klasy robotniczej i jej Partii" – stwierdzał.

Zatrudnił się w Nowej Hucie. Jesienią 1951 roku zakładowy pierwszy sekretarz partii pozwolił mu ponownie starać się o przyjęcie. Ale Strużyński już nie mógł przedstawić swojej sprawy przed egzekutywą, bo na polecenie MBP porzucił pracę, aby udać się w swoją misję do Delegatury.

Marian Strużyński pisał:

„Wysunięty odcinek walki klasowej, w jakim uczestnictwo poczytuję sobie za zaszczyt, związał mnie jeszcze mocniej z klasą robotniczą i Partią, nauczył mnie nienawidzić wrogów naszej sprawy i podbudował mnie jeszcze silniej ideologicznie. Zdaję sobie sprawę z tego, że w okresie tym uwidoczniły się u mnie dość jaskrawe resztki naleciałości klasowej, które jeszcze u mnie pokutowały, przejawiając się w obcych socjalistycznej moralności przejawach codziennego życia. Wynikało to jednak czasami ze zgnilizny środowiska, z którym musiałem obcować.

Wszelkie te objawy przezwyciężę u siebie bezwzględnie. Przepaść, która wyrosła między mną z przed [sic!] 6-ciu lat, a tym którym jestem dzisiaj, to nie tylko dziesiątki bandytów i wrogów Ludowej Ojczyzny, do których unieszkodliwienia przez władze bezpieczeństwa bezpośrednio się przyczyniłem, ale to również głęboka przepaść, jaka mnie dzieli od wszystkiego, co wrogie sprawie socjalizmu – to głęboka świadomość słuszności tej sprawy.

Zdaję sobie sprawę z tego, że pracą swą realizuję linię Partii, że bronię interesów klasy robotniczej i aktywnie uczestniczę w budownictwie socjalizmu w Polsce, zdaje sobie też sprawę, że może pracuje dla Partii bardziej aktywnie niż wielu aktywistów partyjnych. Rozumiem, że tego wymaga ode mnie przekreślenie mej przeszłości i jej naprawienie – to, że poprzednio działałem na

szkodę Partii, wymaga tym aktywniejszego odrobienia swych błędów. Moja droga do Partii wymaga jeszcze większego wysiłku.

Równocześnie jednak marzeniem mojego życia, najgłębszym i najszczerszym jest abym w mej pracy mógł iść dalej jako członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej".

Marzenie wreszcie się spełniło.

Żona Danuta znowu trafiła do akt Mariana Strużyńskiego.

31 grudnia 1953 roku otworzyła drzwi nieznajomemu mężczyźnie z pokaźną paczką. Jej mąż Marian w tym czasie przebywał w sanatorium. Na jego płucach wykryto ranę. Stwierdzono odmę. Mężczyzna w progu przedstawił się jako kolega z pracy Mariana. Powiedział, że nazywa się Leon Kwaśniewski – taką informację powinna Danuta przekazać mężowi. Przyniósł dla niego podarunki.

Personalia były bardzo ważne. Marian Strużyński, kiedy dzwonił do ubeków, anonsował się jako Kwaśniewski i prosił do telefonu Leona.

Jak potem, 2 stycznia 1954 roku, zaraportował posłaniec, żona otrzymała do przekazania mężowi noworoczną paczkę. A w niej: cztery opakowania herbaty, dwa pudełka sardynek, jedną puszkę kompotu, jedną puszkę kakao w proszku, jedną puszkę czekolady w proszku i dwie pary nylonowych pończoch. To ostatnie to już pewnie dla żony agenta. Luksus w tamtych czasach wyglądał skromnie.

Choć został członkiem partii, to prawdopodobnie coś jeszcze mu doskwierało. Cierpiał na kompleks agenta. Funkcjonariusze, nawet jeśli nie pogardzali swoimi donosicielami, to traktowali ich jako gorszy sort.

W napisanej później książce o wyjeździe do Delegatury co chwilę wspominał, że był kadrowym pracownikiem wywiadu. To nieprawda. Był wówczas tylko współpracownikiem UB. Funkcjonariuszem tajnych służb został dopiero kilka lat po operacji „Cezary".

Po ujawnieniu V Komendy Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego wypłacało Strużyńskiemu pensję, a potem znalazło mu etat inspektora w Centralnym Zarządzie Radiofonizacji Kraju. W jego oficjalnym *curriculum vitae* pozostały jednak wstydliwe epizody – choćby porzucenie pracy w Nowej Hucie, gdy trafił do zachodnich Niemiec. Nikt postronny na razie nie mógł się dowiedzieć, że odbywał wówczas misję szpiegowską w Delegaturze, ale ten chlubny – z punktu widzenia PRL – okres oficjalnie wyglądał jak plama na jego zawodowym życiorysie. W lutym 1957 roku wciągnięto go więc na etat w Służbie Bezpieczeństwa.

Może też następcom ubeków zależało na zachowaniu tajemnicy. Już wcześniej zauważyli, że Strużyński za dużo pije. To groziło ujawnieniem prawdy o V Komendzie. A ukrywano ją przez trzydzieści lat.

W maju 1960 roku Mariana Strużyńskiego zwolniono ze służby. Potem znowu do niej przyjęto. W grudniu 1962 roku – kiedy był inspektorem Departamentu IV MSW – przydzielono go do sprawy „Zaginiony", związanej z zabójstwem Bohdana Piaseckiego, syna Bolesława.

Ale w resorcie nie wszyscy mu ufali. Jeden z milicjantów, który go kiedyś aresztował w Krakowie, doniósł, że może być sprawcą krwawego napadu na bank przy ulicy Jasnej w Warszawie w 1957 roku. Podejrzenia nie sprawdziły się w najmniejszym stopniu.

W co rzeczywiście wierzył?

Możliwe, że już dawno prawda pomieszała mu się z kłamstwem. Tyle razy uczył się kolejnych szpiegowskich legend, że pogubił się co do tego, kim jest gdzieś tam w głębi duszy. Agent to ktoś więcej niż aktor – nie tylko odgrywa rolę, ale też w nią wierzy.

Zamiast więc dociekać motywacji Strużyńskiego, bezpieczniej opisywać fakty.

Trudno być szpiegiem, kiedy bolą zęby. W podziękowaniu za ofiarną służbę Mariana Strużyńskiego odznaczono Srebrnym Krzyżem Zasługi i sfinansowano mu sztuczną szczękę.

Kiedy był agentem MBP, użalał się, że nie jest w stanie ponosić kosztów zaopatrzenia na takim poziomie, jaki przysługuje pracującym. Ponieważ w stalinowskiej Polsce oficjalnie nigdzie nie był zatrudniony, przepłacał za mięso, wędliny, smalec, masło. Dotknął go ten sam problem, co kierującego operacją Henryka Wendrowskiego, gdy dla konspiracji pozbawiono go jawnego etatu w MBP. Polacy bez zatrudnienia nie zasługiwali na kartki zaopatrzeniowe.

Marian Strużyński cierpiał też finansowo z powodu wyjazdów, bo wynajął pomoc domową do opieki nad dzieckiem. Brakowało więc pieniędzy na studia żony.

Honorowo jednak prosił nie o wzrost poborów, tylko o przyznanie kartek.

Innym razem zwracał się do MBP o zgodę na kupno radioaparatu, bo te również przysługiwały tylko ludziom pracy.

Złożył podanie o pomoc przy zakupie ubrania na zimę.

Ale największym problemem okazały się właśnie zęby.

Lekarze rozpoznali, że zapalenie wsierdzia, na które cierpi, wymaga usunięcia zębów i oczyszczenia komór zębowych z ropy. Pisał podania do szefów w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, wyliczając koszty wizyt

u prywatnych dentystów. Potrzebował też środków na zakup penicyliny. Dopiero z nią mógł się zgłosić na umówiony zabieg. Przyznano mu trzy razy po czterysta złotych. Starczyło na wyrwanie agentowi szesnastu zębów.

15

Siedzieliśmy na schodach nieopodal krakowskiego Rynku. Sam już dobrze nie pamiętam, gdzie to było, najpewniej przed wejściem do jakiegoś instytutu zajmującego się historią średniowiecza. Dlaczego nie weszliśmy do środka? Czy towarzyszący mi mężczyzna czuł się niepewnie wśród mediewistów ze swoją pasją badacza powojennego WiN? Bo rozmawialiśmy właśnie o antykomunistycznym podziemiu.

Byliśmy obaj młodzi i całkowicie zanurzeni w wydarzeniach sprzed półwiecza. Obok przetaczał się postpeerelowski świat, jedni krzyczeli o dekomunizacji, drudzy rozstawiali łóżka ze swoim towarem na ulicach – a my wymienialiśmy kolejne pseudonimy, które już niemal wszyscy pozapominali. Dostałem wtedy od mojego rozmówcy długą listę rozszyfrowanych przez niego kryptonimów, którymi posługiwała się Delegatura w kontaktach z WiN. Przekazał mi ją bezinteresownie, choć poświęcił sporo czasu na zgłębienie tematu.

Tym moim rozmówcą z krakowskich schodów był Janusz Kurtyka. Późniejszy prezes Instytutu Pamięci Narodowej, jedna z ofiar katastrofy lotniczej w Smoleńsku.

Publikował często, jak już wcześniej wspomniałem, w „Zeszytach Historycznych WiN-u", w których po raz pierwszy ukazały się dokumenty Delegatury. To one uczciwie przypominały powojenne WiN-owskie podziemie. Wciąż pokryte sadzą komunistycznej propagandy, która przez ostatnie kilkadziesiąt lat uznawała jego żołnierzy za bandytów.

Wtedy pierwszy raz opisywałem dla „Gazety Wyborczej" dzieje V Komendy. Szukałem więc tych, których w latach pięćdziesiątych dotknęła ta sprawa, i tych, którzy w latach dziewięćdziesiątych zaczynali ją badać. Bo wciąż wiadomo o niej było bardzo mało. Chociaż w gazetach ukazywało się już mnóstwo publikacji potępiających komunizm, to z rzetelnymi opisami faktów było znacznie gorzej. Wyróżniały się właśnie „Zeszyty Historyczne WiN-u", niskonakładowe wydawnictwo zajmujące się największym powojennym antykomunistycznym podziemiem. To w nim pojawiały się pierwsze po 1989 roku wiadomości o ubeckiej prowokacji.

Potem Janusz Kurtyka przysłał mi rozszyfrowane przez siebie pseudonimy i kryptonimy używane w korespondencji między WiN a Delegaturą. Opowiadał

mi również o tych spośród WiN-owców, którzy przeżyli – bardzo dobrze znał to środowisko – i z którymi warto porozmawiać. I o tych, którzy na nowo przeżywają swój dramat, bo zostali niesłusznie oskarżeni o pomaganie Urzędowi Bezpieczeństwa. Przez błędną interpretację faktów jednemu z żyjących WiN-owców zarzucono, że to on wymyślił całą prowokację związaną z V Komendą. Ów starszy człowiek, choć dysponował wielką wiedzą, zamknął się w sobie – ze mną również nie chciał rozmawiać.

Archiwum Delegatury, po jej rozwiązaniu, tułało się po świecie. Na początku 1953 roku część materiałów wypożyczyło CIA na potrzeby własnego śledztwa. To, co zostało, przechowywał Józef Maciołek. Dokumentacji nie prowadzono jednak według ścisłych rygorów nawet w czasie rzekomej świetności Delegatury, trudno więc zorientować się, co zaginęło, a co zagarnęli Amerykanie.

Józef Maciołek zmarł w 1973 roku. Wówczas archiwum zaopiekował się ksiądz Stanisław Kluz. Ten odszedł w roku 1982. (Przypomnę: było dwóch księży noszących to samo imię i nazwisko – drugi zmarł w 2011 roku). Wykonawcy jego testamentu rozproszyli dokumenty w kilku miejscach. Zgromadzono je na nowo w połowie lat osiemdziesiątych – wówczas trafiły do londyńskiego Studium Polski Podziemnej.

Najważniejsze akta V Komendy spoczywają jednak w Instytucie Pamięci Narodowej, który przejął je z archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. To pieczołowicie spisywane przez ubeków szczegóły operacji. Dziesiątki tysięcy stron.

Są wśród nich zaszyfrowane listy przesyłane pomiędzy V Komendą a Delegaturą. Na niektórych kartkach są tylko cyfry, skrywające jakieś tajemnice: 1253 9110 1139 3215 3162 3955 2651.

Po zakończeniu operacji „Cezary” korespondencję z Delegatury zapakowano do zalakowanych kopert i zabroniono udostępniać komukolwiek bez zgody dyrektora Departamentu III. Dlatego przez kilkadziesiąt lat niemal nikt nie wiedział, jaki był rzeczywisty koniec największego polskiego powojennego podziemia.

W jednej z tych teczek, które jeszcze kilkanaście lat temu były niedostępne dla ludzi spoza tajnych służb (a i nie dla wszystkich funkcjonariuszy), znajduje się sądowe podsumowanie operacji „Cezary”:

Wykonano wyroków śmierci – 11.

Dożywocie – 10.

Od 10 do 15 lat – 45.

Od 5 do 10 lat – 16.

Do 5 lat – 15.

W śledztwie – 3.
Zwolnionych – 41.
Razem – 141.

W kolejnych rubrykach pojawiają się nadal nieznane mi nazwiska, a za każdym kryje się tragiczny los, który powinien zostać opisany. To szkatułki V Komendy – czekają, bym do nich zajrzał.

Kryński Tadeusz, skazany na karę śmierci, zmieniono na dożywocie.
Mościcki Józef, kara śmierci, wykonano.
Kostro Józef, kara śmierci, zamieniono na dożywocie.
Radziszewski Kazimierz, kara śmierci, wykonano.
Zalewski Wacław, kara śmierci, wykonano.
Grodzki Mieczysław, kara śmierci, wykonano.
Wszystkich wplątano w prowokację.

Na koniec ubecy oszukali samych siebie. A właściwie swoich następców, czyli funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. I znowu zapewne do mistyfikacji przydał się Marian Strużyński. Sporządzona prawdopodobnie przez niego pierwsza wersja opracowania „Cezary", służącego do szkolenia przyszłych pokoleń komunistycznych tajnych służb, zawierała przekłamania. Właściwie nie wiadomo po co i dlaczego.

Jedno z nich dotyczy kuriera Delegatury Mieczysława Klempki „Mietka". W opracowaniu napisano: „Nie mogliśmy dać ujść bezkarnie temu kurierowi »delegatury«, po ustaleniu, że jest to Klempka Mieczysław, z-ca krwawego herszta bandyckiego »Ognia«. »Mietek« sam miał na swoim koncie liczne morderstwa i ciężkie przestępstwa". Mieczysław Klempka nie był jednak zastępcą „Ognia". Podczas śledztwa nie przedstawiono mu oskarżeń o mordy dokonane przez oddział.

Historia Klempki jest pełna tak zaskakujących wydarzeń, że każdy może go uznać i za bohatera, i za wroga.

Rodzina Klempków mieszkała w Rabce. Podczas wojny prowadziła najlepszą w mieście restaurację, chętnie odwiedzaną przez Niemców. Jednocześnie znajdował się w niej tajny lokal konspiracyjny. W budynku magazynowano broń, na piętrze szkolono podchorążych AK.

Klempka, urodzony w Rabce, jako szesnastolatek został żołnierzem Armii Krajowej. Uczestniczył w akcjach zbrojnych, między innymi w likwidacji niemieckiego podoficera w lipcu 1944 roku. Został ranny podczas walk w Gorcach pod koniec tego samego roku. Bił się z Niemcami, którzy wycofując się, próbowali wysadzić dworzec i sanatoria w Rabce. Odznaczono go Krzyżem Walecznych i Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Po wojnie Mieczysław Klempka nadal uczył się w gimnazjum i działał w harcerskiej konspiracji. Jako żołnierz AK ujawnił się w październiku 1945 roku. Ubecy natychmiast wykorzystali zdobyte informacje – przyszli do gimnazjum z listą uczniów do aresztowania. Klempka uciekł – on i dwaj jego koledzy, uzbrojeni, ukrywali się kilka miesięcy. Działali prawdopodobnie na własną rękę. Klempka twierdził, że dokonali trzech rozbrojeń.

Klempka od dłuższego czasu toczył swoją krucjatę przeciwko żydowskim dzieciom. Uratowane z Holokaustu, sprowadzono do sierocińca w Rabce. W roku 1945 było ich 116. Mieszkały w willach Stasin, Juras i Niemen przy ulicy Słonecznej. Dwunastolatek, który po ucieczce z getta handlował papierosami i spał w zajezdniach tramwajowych. Dziesięciolatka, która straciła rodziców, a uratowali ją folksdojcze. Ośmiolatek, przygarnięty przed dwoje Polaków, przeżył śmierć swojej mamy, gdy ukrywali się w przemyskich piwnicach…

Kurowane żydowskie dzieci irytowały wielu mieszkańców – podczas wojny niemal połowa rabczan podpisała listę Goralenvolk, polskich górali, którym okupant przypisywał pochodzenie niemieckie. Pod wpływem księdza Józefa Hojoła – potem aresztowanego i okrutnie torturowanego przez ubeków – Mieczysław Klempka podrzucał listy z pogróżkami do sierocińca. Klempka chwalił się, że strzelił w jego okno, a do środka wrzucił granat. Bez wątpienia ten atak się wydarzył, relacjonowały go pracownice sierocińca. Tydzień później został on ostrzelany i znowu wrzucono do środka granaty. W trzecim napadzie uczestniczyły trzydzieści dwie osoby, uzbrojone w dwa rkm-y, granatnik przeciwpancerny, piętnaście karabinów. Mieczysław Klempka, dowodzący akcją, dał sygnał do ataku, strzelając z pancerfausta.

Przeciw żydowskim dzieciom występowała jedna z lokalnych konspiracyjnych grup Ruchu Oporu Armii Krajowej, która powstała w lutym 1945 roku, czyli miesiąc po formalnym rozwiązaniu AK. Należeli do niej harcerze z Prywatnego Gimnazjum Sanatoryjnego Męskiego dr. Jana Wieczorkowskiego. Wszyscy wpatrzeni w księdza Józefa Hojoła, który uważał, że Żydów należy wypędzić z Polski, zagrażają bowiem państwu i religii.

Kiedy rozpoczęły się ataki, żydowskie dzieci nocowały na korytarzach. Przed kulami chowały się, wchodząc pod łóżka. Przypuszczały, że napadają na nie Niemcy. Później stalinowski tak zwany wymiar sprawiedliwości zakwalifikował te ataki jako zamachy nie na dzieci, ale na ochraniających je ubeków i milicjantów.

Być może próbowano zamieszać Mieczysława Klempkę we współpracę z „Ogniem”, który również przeprowadzał akcje przeciw Żydom, choć nieporównywalnie bardziej krwawe. Z „Ogniem” Klempka tyle jednak miał

wspólnego, że uniemożliwił jego żołnierzom wykonanie wyroku śmierci na komunistycznym burmistrzu Rabki, przedwojennym szewcu, nazywającym się jak przywódca Związku Radzieckiego Józef Stalin. Mieczysław Klempka i Stanisław Skowroński ostrzegli go przed niebezpieczeństwem, bo uważali, że był uczciwym człowiekiem, choć zaślepionym utopijnymi ideami. Obezwładnili też żołnierzy „Ognia", którzy przyszli do mieszkania Stalina wykonać wyrok.

Mieczysław Klempka – być może z obawy przed zemstą „Ognia" – wyjechał z Rabki, ukrywał się, po czym uciekł z Polski w transporcie udającym francuskich repatriantów.

Dalsze losy to praca dla Delegatury, kurierowanie do kraju, a po aresztowaniu w Polsce trzy i pół roku tajnego aresztu w bunkrze pozbawionym okna, w podziemiach gmachu MBP na Koszykowej w Warszawie. Pomieszczenie miało wymiary sześćdziesiąt na sto siedemdziesiąt na sto osiemdziesiąt centymetrów. Spał na betonie, dopiero po jakimś czasie – stracił poczucie dnia i nocy – otrzymał siennik. Ciągle go bito. Ponieważ o jego uwięzieniu nie zadecydował formalnie prokurator – stało się to dopiero po śmierci Stalina – w każdej chwili groziła mu egzekucja. Później trzymano go w pojedynczej celi na warszawskim Mokotowie i w więziennych szpitalach psychiatrycznych. Ale – inaczej niż kurier Adam Boryczka – odzyskał wolność w 1955 roku. Ważył czterdzieści osiem kilogramów.

Po uwolnieniu Mieczysław Klempka pracował w Dziecięcym Ośrodku Sanatoryjnym i Prewencyjnym w Rabce.

Właściwie nie wiadomo, dlaczego w opracowaniu o operacji „Cezary" postanowiono zafałszować jego losy. Może uznano, że areszt był przedwczesny i historią o związkach z „Ogniem" usiłowano zagmatwać sprawę? Albo ukryć fakt, że Mieczysława Klempki nie udało się zwerbować jako agenta? Albo coś jeszcze innego, czego nigdy się nie dowiemy? Albo jak czasami bywa, doszukujemy się sensu w czymś, co było zwykłą pomyłką.

Dlaczego przerwano operację „Cezary"? Przecież V Komenda rozwijała się znakomicie.

W wewnętrznych materiałach napisano, że zadecydowały racje polityczne. Bo polityka powinna mieć prymat ponad celami operacyjnymi.

Henryk Wendrowski, najważniejsza postać tej prowokacji, w książce Henryka Piecucha *Akcje specjalne. Od Bieruta do Ochaba* wspominał:

„Oficjalnych przyczyn zakończenia gry nigdy mi nie podano. Pod koniec 1952 r. wezwał mnie L. Andrzejewski i powiedział, że kierownictwo resortu podjęło decyzję o zakończeniu gry. Było z tym dużo roboty. Musiałem zadbać o agentów tkwiących w terenie. Należało ich wyciągnąć z zagrożonego

środowiska, zmienić im tożsamość, wyrobić nowe dokumenty, pomóc wystartować w nowym otoczeniu. Przecież oni mogli się jeszcze kiedyś przydać. O samym zakończeniu gry dowiedziałem się z opublikowanego oświadczenia podpisanego: J. J. KOWALSKI »KOS«, S. SIEŃKO »WIKTOR«.

Co o tym myślę? Na pewno nie zachodziła obawa dekonspiracji czy odwrócenia gry. Nie było żadnych racjonalnych przesłanek operacyjnych nakazujących zaprzestanie dobrze się rozwijającej gry, rokującej duże nadzieje na przyszłość. Przecież można było mieć swojego człowieka na Zachodzie, w dodatku na wysokim stanowisku. Dobijała się o to Delegatura. Tym człowiekiem mogłem być ja. A tu decyzja polityczna zaprzepaszcza taką szansę.

Wiem jedno. To była robota Moskwy. Świadczą o tym fakty. Nakazano ujawnić sprawy Bergu i Delegatury. Gra z Ukraińcami [siatka agentów UB, udających konspirację UPA, którzy utrzymywali kontakt z Zachodem – P. L.], mimo że praktycznie również zakończona, utrzymana została w tajemnicy. A przecież w grę z Ukraińcami Moskwa była zaangażowana w stopniu o wiele większym niż w Berg czy w Delegaturę. Zakończenie gier było decyzją polityczną i resort nie miał tu nic do gadania".

W tym samym czasie toczyły się trzy ubeckie prowokacje: V Komenda, gra z Ukraińcami i ta, o której również wspomniał Henryk Wendrowski – sprawa Bergu. To druga afera szpiegowsko-polityczna, która wybuchła wśród polskiej emigracji.

Na przełomie 1952 i 1953 roku krajowa prasa komunistyczna rozpisywała się nie tylko o rzekomym ujawnieniu się WiN. Podawała też informację, że 23 grudnia 1952 roku do konsulatu PRL w Berlinie Wschodnim zgłosili się Wanda Weber i Paweł Choma, pracownicy Komisji Krajowej Rady Politycznej, rezydującej w okolicach Monachium. Poinformowali, że w rzeczywistości działali jako amerykańscy szpiedzy. Dla wywiadu USA Krajowa Rada Polityczna zbierała informacje z Polski i przygotowywała dywersantów. Zorganizowała dwa kursy wywiadowcze. Pierwszy pomiędzy listopadem 1951 roku a majem 1952 roku w amerykańskim obozie wojskowym w okolicach Frankfurtu. Drugi zaczął się w styczniu 1952 roku w Ingolstadt nad Dunajem, potem przeniesiono go pod Frankfurt.

Wanda Weber i Paweł Choma postanowili ujawnić niebezpieczną działalność polskiej emigracji. Choma był instruktorem w bazie Południe w Bergu, a Weber łączniczką. Doskonale znali kulisy szpiegowskiej działalności, szlaki kurierskie, zadania dywersyjne. Stronnictwo Narodowe wydało komunikat, że zostali porwani.

W rzeczywistości oboje byli agentami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Wanda Weber to Wanda Macińska, a Paweł Choma to Jan Maciński.

Radę Polityczną zawiązały wspólnie w 1949 roku trzy partie polityczne skonfliktowane z prezydentem Zaleskim: Stronnictwo Narodowe, PPS i NiD. Kierownikiem Działu Krajowego został Edward Sojka z SN, wiceszefami Franciszek Białas z PPS oraz Tadeusz Żenczykowski z NiD.

„Rok 1950 przyniósł wydarzenia, które zapowiadały prawdopodobieństwo rychłego wybuchu wojny między Zachodem i Wschodem" – opisywał ówczesną atmosferę Andrzej Friszke w „Więzi". „Do wojny szykował się Stalin, w Korei gen. MacArthur brał pod uwagę możliwość użycia bomby atomowej przeciwko nacierającym z północy Chińczykom Mao i Koreańczykom Kim Ir Sena. Generał Anders rozważał problem odtworzenia armii polskiej na Zachodzie".

Dział Krajowy Rady Politycznej po kilku miesiącach negocjacji podpisał z amerykańskim wywiadem umowę o współpracy. Rada zobowiązała się do „współdziałania z akcją zimnej wojny Stanów Zjednoczonych", „podtrzymywania w Kraju ducha oporu", „dostarczania wiadomości z Kraju". Amerykanie mieli finansować „utrzymanie aparatu łączności z Krajem", „rozbudowę i utrzymanie grup informacyjnych w Kraju", „utrzymanie centrali w Londynie".

Utworzono w Niemczech dwie bazy: Północ w strefie brytyjskiej i Południe w Bawarii, w miejscowości Berg – od niej współpracę polskich stronnictw politycznych z amerykańskim wywiadem nazwano „sprawą Bergu".

Przypominało to umowę Delegatury Zagranicznej WiN. Różnica była taka, że WiN był podziemną organizacją o źródłach wojskowych – choć według założeń cywilną. Jej współpracę z amerykańskim wywiadem łatwiej wytłumaczyć niż porozumienie, które podpisują reprezentanci partii politycznych.

Kiedy „sprawa Bergu" stała się znana emigracji, Stanisław Cat-Mackiewicz – od dawna polityczny przeciwnik Tadeusza Żenczykowskiego – napisał w paryskiej „Kulturze" (w 1954 roku): „Berg to system polityczny, przy którym pewne stronnictwa polityczne uważały za możliwe i stosowne wydzierżawić swoje firmy polityczne pewnym wywiadom obcym. System ten nie tylko naraża kraj na wielkie niebezpieczeństwa, ale uniemożliwia rządowi, który by był oparty na współpracy z tymi stronnictwami, jakiekolwiek poważne zabieranie głosu wobec mocarstw zachodnich imieniem kraju. Nie można przecież być jednocześnie łapsem używanym do posług szpiegostwa wojennego i reprezentantem interesów kraju i swego narodu".

– Z powodu Bergu, przez Żenczykowskiego, wystąpiłem z NiD – opowiadał mi historyk Józef Garliński, jeden z polskich emigrantów mieszkających po wojnie w Wielkiej Brytanii. – Żenczykowski był politykiem, chciał manipulować ludźmi. Na centralnym kongresie wykonawczym NiD przekonywał, że kontakty między emigracją a krajem finansowane były przez amerykańskie związki zawodowe. Nie było wówczas mowy o zbieraniu materiałów szpiegowskich, o bazach Północ i Południe. Po czym okazało się, że pieniądze dawał amerykański wywiad. A ja nie zgadzam się, żeby ktoś mnie oszukiwał. Możemy się umówić, że włamujemy się do banku, ale ja to muszę wiedzieć wcześniej, zanim nagle znajdę się w skarbcu.

– Czy Żenczykowski mógł nie wiedzieć, że to wywiad finansuje kontakty z Polską? – zapytałem.

– Nie wierzę – odpowiedział Garliński. – Był zbyt doświadczonym politykiem. Dla mnie nie byłoby nic zdrożnego we współpracy z amerykańskim wywiadem, ale musiałbym o tym wcześniej wiedzieć.

– Dlaczego miałby ukrywać prawdę o współpracy z wywiadem? – dociekałem.

– Bo w przedwojennej Polsce jak się o kimś powiedziało „dwójkarz”, to znaczyło łotr, łaps – odpowiedział Garliński. – Polacy uważają, że dżentelmen nie pracuje dla wywiadu. To błędne pojęcie. Tutaj, w Wielkiej Brytanii, wiadomo, że jak Brytyjczyk mieszka za granicą, to pewnie wspomaga wywiad. Graham Greene pracował dla wywiadu i nikt mu tu nie ma tego za złe. A niech pan sobie wyobrazi, co by ludzie powiedzieli, gdyby okazało się, że Sienkiewicz pracował dla wywiadu, nawet polskiego?!

– Berg był dla Żenczykowskiego ciężkim przeżyciem – opowiadał mi z kolei Eugeniusz Smolar, współzałożyciel „Aneksu”. – Jeszcze po latach, kiedy w czasie jakiejś kolacji żona albo ja pytaliśmy o szczegóły związane z tą sprawą, zapadał chłodny mur milczenia. Dla emigracji było to bardzo ważne doświadczenie. Poprzednia wizja opierała się na przekonaniu, że Polskę zdradził Churchill. Po Bergu londyńska emigracja nabrała dystansu wobec Amerykanów.

Kiedy ujawniła się V Komenda, straszakiem komunistycznej propagandy stał się plan „Wulkan”, zakładający działania WiN-owskich dywersantów po wybuchu III wojny światowej. Na jego przykładzie demonstrowano, jak WiN stał się agenturą amerykańskiego wywiadu. Jednak krajowe publikacje prasowe dotyczące planu to nie tylko kolejny przykład demagogii. Plan „Wulkan” rzeczywiście zawierał kontrowersyjne założenia, nawet dla ludzi, którzy nie godzili się na komunistyczną władzę w Polsce.

Po ujawnieniu związków Delegatury Zagranicznej WiN z amerykańskim CIA wśród polskich emigrantów wybuchła burza. Bulwersowano się i potępiano organizację. Surowo wytykano, że podziemie stało się w praktyce ekspozyturą zagranicznego wywiadu. W tej kwestii krytycy V Komendy i sprawy Bergu używali podobnych argumentów. Ale zdecydowanie więcej mówiono o Bergu – prawdziwej politycznej awanturze – bo w tę sprawę zamieszani byli (inaczej niż w Delegaturze) znani emigracyjni politycy. Z Rady Politycznej na znak protestu wystąpił w marcu 1953 roku generał Tadeusz Bór-Komorowski.

Pierwsze zarzuty postawił ktoś, kogo dziś nazwalibyśmy „sygnalistą". To Kazimierz Tychota, szef placówki Północ, która razem z drugim ośrodkiem Południe współtworzyła sieć kierującą wywiadem w Polsce. Tychota oskarżył członków Działu Krajowego Rady Politycznej o to, że „powodowani chęcią zdobycia środków materialnych na polityczne działania emigracyjne Rady Politycznej i zgrupowanych w niej stronnictw, zawarli lekkomyślnie umowę z czynnikami amerykańskimi i brytyjskimi dotyczącą akcji na Kraj. Jej wykonanie musiało doprowadzić do podporządkowania całości prac obcemu wywiadowi, stosowania lekkomyślnych metod pracy, których następstwem były masowe a zupełnie niepotrzebne ofiary, a też kompromitacja emigracyjnych ośrodków polskich w opinii politycznej Zachodu". Na dokładkę część pieniędzy otrzymywanych od zachodnich wywiadów stawała się „oszczędnościami" Stronnictwa Narodowego.

W marcu 1953 roku wewnętrzny sąd organizacyjny SN rozpatrywał sprawę oskarżeń Kazimierza Tychoty, które wniósł przeciwko swojemu partyjnemu szefowi Edwardowi Sojce odpowiedzialnemu za sprawę Bergu. Ten ostatni zresztą wystąpił z kontroskarżeniem przeciw Tychocie. To wówczas ukazała się pierwsza „bergowa" broszura Stanisława Cata-Mackiewicza, wiceprezesa Stronnictwa Narodowego.

Oskarżycielski głos Cata-Mackiewicza brzmiał coraz silniej. Współpracy z zachodnimi wywiadami poświęcił w kwietniu 1953 roku tekst *O handel śmiercią*. Zastrzegł, że choć komuniści zarzucają szpiegostwo działającemu w Polsce WiN-owi, to tym się nie będzie zajmował, bo to organizacja orientująca się raczej na Mikołajczyka, a jego Cat-Mackiewicz – podobnie jak komunistów – nie uważał za przedstawicieli polityki polskiej. Co innego jednak Dział Krajowy emigracyjnej Rady Politycznej, złożony z Sojki, Żenczykowskiego i Białasa. Cat-Mackiewicz, który uważał, że Polacy w kraju stali się więźniami obozu koncentracyjnego, otoczonego karabinami maszynowymi, pytał retorycznie: „Czy mamy takim więźniom doradzać, aby zaczynali coś bezsilnie i beznadziejnie krzyczeć, aby skierować na siebie ogień z tych karabinów maszynowych?". Stwierdzał, że można być do piątej wieczór

robotnikiem w fabryce, a od piątej wieczór reprezentować swój kraj. Nie można jednak być do piątej wieczorem urzędnikiem obcej propagandy w sprawach polskich, a później wyrazicielem samodzielnych interesów polskich.

W kolejnej publikacji, w maju 1954 roku, po przeczytaniu dokumentacji związanej ze szpiegostwem Działu Krajowego Rady Politycznej, Stanisław Cat-Mackiewicz domagał się obywatelskiego sądu „nad handlarzami śmiercią".

W czerwcu 1954 roku został premierem emigracyjnego rządu. Pełnił tę funkcje do czerwca 1955 roku.

Niedługo przed objęciem przez Mackiewicza teki premiera emigracyjny minister sprawiedliwości Kazimierz Okulicz złożył wniosek „O wszczęcie sprawy Bergu przed sądem obywatelskim". Zarzucał dziewięciu wymienionym z nazwiska polskim emigrantom odpowiedzialność za angażowanie ludzi w kraju do działalności na rzecz obcych wywiadów, co pociągnęło za sobą krwawe ofiary.

Potem, w latach 1954–1956, na emigracji działała komisja do rozpatrywania spraw łączności z krajem. Nie miała żadnych uprawnień sądowych, jej zadaniem było „ustalenie faktów w dziedzinie łączności z krajem oraz ich ocena w oparciu o kryteria wynikające z zadań i celów emigracji".

W niewielkim stopniu zajęła się sprawą Delegatury WiN. W końcowym sprawozdaniu stwierdziła, że kontakty z WiN w Polsce nie układały się pomyślnie. Głównie za sprawą jego przedstawicieli, przebywających na emigracji, którzy zatajali wszelkie szczegóły organizacyjne. Jako przykład podano fakt z 1948 roku, kiedy na pytanie o komendanta organizacji przedstawiciel WiN powiedział jedynie, że jest nim jeden z profesorów uniwersytetu. Ponadto delegat WiN przekazywał do kraju poufne wiadomości z konferencji w Londynie. WiN żądał dużych sum pieniędzy, a kiedy dotacje z polskich źródeł wygasły, na początku lat pięćdziesiątych zawarł umowę „z czynnikami zainteresowanymi jego działalnością", jak napisano w sprawozdaniu.

Komisja skupiła się na sprawie Bergu. Podkreśliła, że większość związanych z nią zarzutów postawił Kazimierz Tychota. Ten wyliczył ponad dwieście osób aresztowanych w Polsce w rezultacie działalności Bergu. Pisał, że w jego placówkach znalazł się i sowiecki szpieg, i bandyta nożowiec, i przestępca skazany przez sądy brytyjskie oraz niemieckie, i oczywiście dwoje prowokatorów nasłanych przez UB, czyli Wanda Weber i Paweł Choma.

To z informacji Kazimierza Tychoty czerpał inspirację do swoich krytycznych artykułów Stanisław Cat-Mackiewicz. Tychota jednak odmówił stawienia się przed osobami badającymi wydarzenia, uznając komisję za

niezgodną z konstytucyjnym porządkiem państwowym. Ta więc w znacznej mierze skupiła się na oskarżaniu samego Tychoty.

Komisja stwierdziła: „Zarzuty wysunięte przeciw Działowi Krajowemu przez Tychotę i jego protektorów są bądź bezpodstawne, bądź tendencyjne". Oraz: „Komisja nie uważa, aby fakt dekonspiracji działalności usprawiedliwiał oskarżycieli. Władze komunistyczne w Polsce korzystają chętnie z każdego źródła wiadomości mogących kompromitować emigrację". Komisja w gruncie rzeczy rozgrzeszyła osoby odpowiedzialne za sprawę Bergu, a potępiła te, które ujawniły współpracę polskich polityków z zachodnim wywiadem.

Trafnie jednak oceniła propagandową wagę oskarżeń. Druk swoich potępiających sprawę Bergu broszur Cat-Mackiewicz pokrywał w znacznym stopniu ze swoich pieniędzy. A częściowo z przekazanych przez komunistyczną bezpiekę. Dla spokoju sumienia Mackiewicz pobierał je jako rzekome zaliczki na wydanie książek w Polsce.

PRL-owskie władze – również tajne służby – próbowały nakłonić Cata-Mackiewicza, aby przyjechał do Polski. Powrócił z emigracji w czerwcu 1956 roku. W kraju cieszył się sporą popularnością. Wydawano jego książki, przeprowadzano z nim wywiady. Wciąż utrzymywał kontakty ze Służbą Bezpieczeństwa. Rozmawiał z zajmującym się wywiadem naczelnikiem Wydziału III Departamentu I MSW pułkownikiem Henrykiem Wendrowskim.

Skąd funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa – działającego zaledwie kilka lat – wiedzieli, jak przeprowadzić tak wielkie operacje jak „Cezary" czy sprawa Bergu? To oczywiste. Ubecy uczyli się od NKWD-zistów. Do sowieckich doradców trafiały dokumenty związane z operacją „Cezary". Ponoć nadali jej kryptonim „Arsenał 2".

Pierwszą słynną prowokacją przeprowadzoną przez sowieckie tajne służby był tak zwany spisek Lockharta w 1918 roku. Określenie wzięło się od nazwiska niezbyt znaczącego brytyjskiego dyplomaty Roberta Hamiltona Bruce'a Lockharta, który próbował zorganizować powstanie przeciwko komunistycznej władzy. Wraz z francuskim konsulem generalnym w Moskwie Fernandem Grenardem, przekazał milion dwieście tysięcy rubli kontrrewolucyjnemu Centrum Krajowemu.

Wśród spiskowców znalazł się brytyjski agent Secret Intelligence Service Sidney Reilly. Kiedy tylko przybył do Moskwy 7 maja 1918 roku, pomaszerował wprost pod bramy Kremla i zażądał spotkania z Leninem, podając się za wysłannika brytyjskiego premiera Davida Lloyda George'a. Wymyślił sobie, że przywódca bolszewików przyjmie go z najwyższymi

honorami, godnymi ambasadora. Szpiega przegoniono, a jego kolejne osiągnięcia były równie groteskowe.

Do zachodnich dyplomatów Czeka wysłała swoich dwóch agentów pochodzenia łotewskiego, którzy przedstawili się jako członkowie antybolszewickiego podziemia szukający wsparcia Zachodu. Jeden z nich, Jan Buikis, udający spiskowca Szmidchena, zapewnił Lockharta, Reilly'ego oraz francuskiego konsula, że dowódca łotewskiego pułku na Kremlu, Eduard Berzin, stoi na czele spisku przeciw bolszewikom. Tyle że ów rzekomy konspirator również był agentem sowieckich tajnych służb.

Brytyjski szpieg Reilly tworzył kolejne plany przewrotu. W jednym zakładał, że łotewscy żołnierze aresztują Lenina, Trockiego oraz innych bolszewików podczas szturmu na Teatr Bolszoj, kiedy będą się w nim toczyć obrady kierownictwa partii. Niezwłocznie potem przywódcy zostaną rozstrzelani. Według innego planu Lenin i Trocki mieli zostać tylko ośmieszeni – przemaszerować ulicami Moskwy bez spodni, w samej bieliźnie.

Plan rzekomego puczu oddziałów łotewskich, na który nabrali się zachodni dyplomaci, powstał w całości w Czeka.

Tymczasem udały się dwa zamachy, przygotowane przez autentyczną opozycję. W Piotrogrodzie 30 sierpnia zastrzelono miejscowego szefa Czeka Mojsieja Sołomonowicza Urickiego. Zabił go Leonid Kannegiser. W tym samym dniu Fanny Kapłan postrzeliła Lenina.

Feliks Dzierżyński zakończył prowokację wymierzoną w Lockharta oraz jego współpracowników i 2 września obwieścił, że tajne służby zlikwidowały spisek brytyjskich i francuskich dyplomatów. Najwyraźniej korzyści polityczne wynikające z publicznego napiętnowania zachodnich spiskowców wzięły górę nad operacyjnym pożytkiem z cichego nadzorowania ich konspiracji.

Kolejną operację o kryptonimie „Sindikat" prowadzono przeciwko białogwardzistom, z których najbardziej znanym był Boris Sawinkow – wiceminister wojny w obalonym przez bolszewików Rządzie Tymczasowym.

Podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku Sawinkow organizował Rosyjską Armię Ludową walczącą po polskiej stronie. W następnym roku założył w Warszawie Ludowy Związek Obrony Ojczyzny i Wolności, zarządzający siatką współpracowników w Rosji. Jej członków, dzięki ulokowanemu w siatce agentowi, aresztowały sowieckie tajne służby. Czterdziestu czterech z nich posadzono na ławie oskarżonych. To rezultat operacji „Sindikat-1". Ale była też następna – „Sindikat-2". Jej cel stanowiło między innymi zwabienie Sawinkowa do Rosji. Posłużono się prowokatorami, którzy stworzyli fikcyjną organizację kontrrewolucyjną w Rosji. Wysłannik owej sieci dotarł w lipcu 1923 roku do Sawinkowa, mieszkającego już we

Francji. Zaproszono go do pokierowania jej działaniami. Na wezwanie Liberalnych Demokratów potajemnie przedarł się do Rosji w sierpniu 1924 roku.

Andrzej Stanisław Kowalczyk opisywał: „Sawinkow nie nadawał się ani na emigranta, ani na polityka emigracyjnego. Jego stosunek do Rosji był przede wszystkim uczuciowy". Moment aresztowania, już po przekroczeniu granicy, przedstawił tak:

„W powietrzu cuchnie zdradą. Siadają do posiłku, nagle otwierają się drzwi do sąsiedniego pokoju i tłoczą się uzbrojone draby: »Jesteście aresztowani!«. Na chwilę zalega cisza, którą przerywa Sawinkow:

– Dobra robota. Panowie pozwolą, że dokończymy śniadanie?

Czekiści się odprężają. Jeden z nich głośno się śmieje.

– Robota bez zarzutu. Pracowaliśmy nad tym półtora roku…

– Szkoda, że nie zdążyłem się ogolić – mówi Borys Wiktorowicz.

Następuje rewizja. Samochody odwożą ich na dworzec. Nad ranem 17 sierpnia są w Moskwie, ale na wspomnienie i sentymenty nie ma czasu. Zamykają się za nimi wrota Łubianki".

Sawinkowa skazano na śmierć, po czym wyrok zamieniono na dziesięć lat więzienia. Podczas procesu właściwie opowiedział się po stronie bolszewików. W 1925 roku rzekomo popełnił samobójstwo. Według innej wersji wypchnięto go przez okno. Prawdopodobnie nigdy nie dowiedział się, że padł ofiarą prowokacji. Jeszcze w więzieniu w jednej celi z nim osadzono oficera, który podstępem wydobywał z niego informacje.

Kolejna operacja, nazwana „Triest", trwała od 1921 do 1926 roku. Wmanipulowano w nią tajne służby Wielkiej Brytanii, Francji, Polski, Finlandii i państw bałtyckich.

Zaczęła się od namierzania konspiracyjnej organizacji Zjednoczenie Monarchiczne Rosji Centralnej inaczej nazywanej Monarchiczną Organizacją Centralnej Rosji (MOCR). Ta utrzymywała kontakty z emigracją w Paryżu. Przypominało to nieco WiN i jego zagraniczną Delegaturę. MOCR słała na Zachód materiały wywiadowcze, preparowane przez utworzone w Czeka biuro Krzywe Zwierciadło.

Sowieci oszukiwali między innymi polski wywiad, który w 1921 roku wysłał Władysława Michniewicza jako oficera łącznikowego przy centrali MOCR w Moskwie. On sam w rozmiarze manipulacji „Triest" zorientował się po latach i przedstawił ją w książce *Wielki bluff sowiecki*. Zaczęło się od tego, że estońska ekspozytura polskiego Oddziału II dała się sprowokować dzięki olbrzymim rozmiarom i niezwykłej wadze materiałów przesyłanych przez rzekome rosyjskie „białe" podziemie – a naprawdę przez agentów „Triestu". Władysław

Michniewicz – pod fałszywym nazwiskiem Władysław Michałowski – trafił do Moskwy jako urzędnik konsulatu. Po latach opisywał wstępny kontakt z członkiem rzekomego MOCR: „Moje pierwsze konspiracyjne spotkanie z MOCR odbyło się na terenie konsulatu. Nie była to nierozważność z mojej strony, ani prowokacja z tamtej. Konsulat bowiem był stale oblężony przez tłumy rodaków, pragnących załatwić formalności wyjazdowe i czym prędzej opuścić Sowiety. W zwartym tłoku łatwo było zgubić najbardziej zawziętego prześladowcę. Delegat MOCR stanął przed moim biurkiem w roli przeciętnego petenta, podał hasło i przedstawił się jako Aleksander Antonowicz Kasałkin, zastępca przewodniczącego Rady Politycznej MOCR, a więc nie byle jaki dygnitarz podziemny! Niedbale ubrany, w sile wieku, rumiany rudzielec, miał oczy rozbiegane i żywą gestykulację, rude wąsiki i rudawą, skąpą bródkę. Mówił z wyraźnym akcentem niemieckim, robiąc wrażenie początkującego kupczyka, któremu dopiero z napływem regularnych zarobków rośnie wielka broda i przybywa na wadze”.

Rosjanin więc doskonale wpisał się w przekonanie Polaków o własnej wyższości cywilizacyjnej. Usypiał czujność.

Kasałkin okazał się tak zręcznym manipulatorem, że polski wywiad zgodził się nawet na jego pomysł, aby w poczcie dyplomatycznej przesłać słoje z kokainą, której sprzedaż miała dostarczyć środków na działalność konspiracyjną.

Władysław Michniewicz zauważył, co pomagało Sowietom prowadzić operację: „Całą ich prowokacyjną grę, ułatwiał wyjątkowy mętlik, panujący wśród rosyjskiej emigracji skłóconej ze sobą, ziejącej wzajemną zawiścią i rozdrobnionej jak ziarenka piasku. Żarli się wygnańcy nawet o symbole, o byle obsadę zawieszonego w obłokach tronu carskiego”. Podobnie głównie sporami zajmowali się polscy politycy na emigracji, gdy ubecy montowali V Komendę.

Operację „Triest” wymierzono w tak zwaną białą emigrację. Przeciwników udało się nabrać, że MOCR dysponuje spiskowcami w administracji, armii, a nawet sowieckich tajnych służbach. Przeprowadzono ją tylko siłami agentury, bez żadnego wsparcia technicznego. Całą mistyfikację zbudowano tylko ze słów.

Sowieci postanowili też zwabić w swoje sidła brytyjskiego agenta Sidenya Reilly’ego, znanego jeszcze z czasów spisku Lockharta. Sowieci traktowali go jako poważnego przeciwnika, choć ten już przekonywał swoje otoczenie, że jest Chrystusem. Ściągnięto go do Rosji na spotkanie z MOCR i aresztowano 26 września 1925 roku. Zastrzelono w lesie pod Moskwą. Prawdopodobnie

wśród egzekutorów znalazł się Grigorij Syrojeżkin, którego podejrzewano też o zamordowanie Sawinkowa.

Z największym rozmachem przygotowano przyjazd rosyjskiego emigranta Wasilija Szulgina, którego Lenin uważał za szczególnego wroga rewolucji i antysemitę wśród białej emigracji. Szulgin wyruszył na poszukiwanie swojego syna Wieniamina, zaginionego podczas walk z bolszewikami. Rosyjska jasnowidzka mieszkająca w Paryżu przekonała go, że syn żyje w szpitalu psychiatrycznym w Rosji. Wsparcia udzielał mu MOCR, a w rzeczywistości cały czas w podróży towarzyszyli mu agenci udający konspiratorów. Wozili go po Związku Radzieckim, a Szulgin jeszcze przez wiele lat nie zorientował się, że wmanipulowano go w mistyfikację.

W Rosji spotkał się z dziewiętnastoma rzekomymi członkami antybolszewickiej konspiracji, którzy – a byli to wszystko agenci – budzili w nim coraz większe zaufanie. Podając się za oficerów carskiej armii, zasypywali go szczegółami dotyczącymi bitew i personaliów dowódców. Na podstawie publicystyki Szulgina wykorzystali jego słaby punkt – przekonanie, że za rewolucję odpowiedzialni są Żydzi. Dlatego potęgując zagrożenie, wśród demonstracyjnie śledzących go agentów pojawiali się Żydzi.

Do roli udawanych konspiratorów nadawali się wyłącznie ludzie, którzy wcześniej mieli związki z carską administracją. Był wśród nich prokurator carski z Kijowa, był pułkownik carskiej żandarmerii. Agent wywodzący się spośród robotników nie zdołałby posługiwać się odpowiednim dla wyższych sfer językiem i obyczajami. Mógłby zdradzić się drobnymi nawet gestami.

Pod Moskwą Szulgina zakwaterowano u rodziny, która paliła świece pod ikonami w kącie pokoju, czytała tylko książki ze znakami obowiązującymi przed reformą ortografii i snuła opowieści o Żydach panoszących się na Kremlu.

Wywoływano z jednej strony poczucie zagrożenia – gdy Szulgina pozostawiano samego i posyłano za nim ludzi, którzy niemal afiszowali się jako obserwatorzy. A z drugiej – budzono dobre wspomnienia z carskiej Rosji, wykorzystując na przykład kelnera we fraku, niczym z przedrewolucyjnych czasów, który towarzyszył „konspiratorom” podczas kolacji w Leningradzie.

Wobec Szulgina stosowano taktykę nazywaną przez zachodnie służby *fight or flight syndrome*, czyli zespół walki lub ucieczki. Opisywał ją Marek Świerczek w „Przeglądzie Bezpieczeństwa Wewnętrznego”. Według tego schematu najpierw wobec ofiary zagęszcza się atmosferę poprzez sugerowanie niebezpieczeństw, choćby inwigilacji, z którymi ofiara może podjąć walkę albo przed którymi może uciec. Potem pojawia się podstawiony agent zapewniający ofierze bezpieczeństwo. To powoduje powstanie więzi emocjonalnej. Podobne

techniki stosowali polscy ubecy wobec kuriera Adama Boryczki, wokół którego wytwarzano atmosferę zagrożenia ze strony komunistycznej milicji, a potem opieki rzekomych członków WiN-owskiej konspiracji, a w rzeczywistości agentów UB.

Tak jak później w operacji „Cezary", podczas „Triestu" niektórych wykorzystywano „w ciemno". Goszczące Szulgina małżeństwo wcześniej przyjechało do Rosji w roli wysłanników emigracji i pod wpływem podstawionych agentów nabrało przekonania, że działa na rzecz prawdziwej antybolszewickiej organizacji.

Po II wojnie światowej na terenach zajętych przez armię radziecką stalinowskie tajne służby zaczęły tworzyć niewielkie, kilkuosobowe oddziały udające antykomunistyczną partyzantkę. Szukały one innych, autentycznych grup oporu, łączyły się z nimi i doprowadzały do ich likwidacji.

Rozpoczęły się też ciągnące się niekiedy całymi latami operacje, w których dezinformowano zachodnich sojuszników rzekomych antykomunistycznych organizacji. Prowadzono je w republikach nadbałtyckich („Duel", „Wenta", „Lursen-S") i na Ukrainie („Trassa", „Kometa", „Zwieno").

Jak to się stało, że CIA uległa mistyfikacji polskich ubeków? Przecież już na pierwszy rzut oka powinno wydać się dziwne, że cztery komendy WiN wpadły w dwa lata, a piąta działała przez pięć. W dodatku każda kolejna była słabsza, a dopiero ta ostatnia, która wyrosła na zgliszczach, wydała rzekomo wspaniałe owoce. Kto był tak naiwny, by uwierzyć w konspiracyjnego Feniksa odradzającego się z popiołów?

1 września 1948 roku szefem operacji specjalnych CIA został Frank Wisner, syn właścicieli ziemskich z Missisipi, z wykształcenia prawnik. Podczas wojny od września 1944 roku kierował amerykańską rezydenturą Biura Służb Strategicznych (czyli wywiadu) w rumuńskiej stolicy. Spiskował z królem Michałem, organizował ratowanie zestrzelonych alianckich lotników i w skonfiskowanej baronowi piwnemu trzydziestopokojowej rezydencji popijał szampana z rosyjskimi oficerami.

Ale od 1945 roku amerykański wywiad musiał zmierzyć się z wielkim wyzwaniem – szpiegowaniem potężnego nowego wroga, jakim z końcem wojny stał się dotychczasowy sojusznik Związek Radziecki. Berliński rezydent wywiadu USA po latach wspominał, że początkowo jego pracownicy o intencjach i możliwościach przeciwnika nie wiedzieli prawie nic istotnego. Cieszyli się, gdy zdobyli jakąś sowiecką książkę telefoniczną albo plany lotniska. Jedni nastawili się na zbieranie informacji przez mozolną działalność szpiegowską, drudzy uważali, że najlepiej walce z wrogiem służą tajne

operacje. Do tej drugiej grupy należał Frank Wisner. Interesowało go zmienianie, a nie poznawanie świata.

W 1945 roku powrócił do prawniczej praktyki. Zaledwie jednak na rok.

W Rumunii pozostawił siatkę agentów działających dla Amerykanów. Ale też w znacznym stopniu rozpoznaną przez Sowietów. W ręce komunistów wpadali kolejni szpiedzy pracujący dla USA. W listopadzie 1946 roku przeczytał w „New York Timesie", że jeden z jego rumuńskich współpracowników został skazany na dożywocie. W ciągu kolejnych miesięcy zginęli albo trafili do więzienia wszyscy jego ludzie. Wisner zamknął kancelarię prawną. Wrócił do Waszyngtonu, w którym wysokie stanowiska państwowe objęli jego znajomi z czasów wojny. Zaczął pracę w Departamencie Stanu. W 1947 roku w jego domu co niedzielę gromadzili się twórcy nowej amerykańskiej polityki obronnej. Wierzyli, że na Sowietów działa tylko jeden argument: demonstracja siły. Rozpoczęła się zimna wojna. Jednym z najważniejszych amerykańskich oręży stała się powołana przez prezydenta Harry'ego Trumana Centralna Agencja Wywiadowcza. Była spadkobierczynią wcześniejszych tajnych służb: Grupy Centrali Wywiadu (Central Intelligence Group) i jej poprzednika, Biura Służb Strategicznych (Office of Strategic Services).

Jednym z ważnych pracowników CIA został Frank Wisner. W 1948 roku wyznaczył sobie ambitny cel: zepchnąć komunistów w granice Związku Radzieckiego. Wkrótce kierowane przez niego Biuro Koordynacji Politycznej (Office of Policy Coordination) – departament CIA, za który odpowiedzialny był Departament Stanu – stał się większy niż cała reszta agencji. Zajmował się operacjami specjalnymi. Frank Wisner zasłynął zdumiewającymi pomysłami. Planował wojnę ekonomiczną za pomocą fałszowania pieniędzy. Do zbrojnego ruchu oporu zamierzał werbować emigrantów ze Związku Radzieckiego, Albańczyków, Ukraińców, Węgrów, Rumunów i wreszcie Polaków. Po wybuchu III wojny światowej mieli przebić się przez żelazną kurtynę. Wyliczył, że w zachodnich Niemczech mieszka co najmniej siedemset tysięcy Rosjan, którzy poprą jego działania. Planował zwerbować przynajmniej tysiąc do oddziałów szturmowych. Udało mu się pozyskać siedemnastu.

W 1950 roku, po serii informacji o nasilających się nastrojach antykomunistycznych w Albanii, przerzucono do niej wyszkolonych przez Amerykanów dywersantów – była to operacja „Valuable". Mieli wywołać powstanie. Przygotowania zaczęły się rok wcześniej.

„W październiku 1949 r. – opisywał Tim Weiner w *Dziedzictwie popiołów. Historii CIA* – [Frank Wisner] połączył siły z Brytyjczykami, aby pokierować buntem w komunistycznej Albanii, najuboższym i najbardziej odizolowanym

państwie Europy. [Wisner] Uznał ten jałowy kraj na Bałkanach za żyzny grunt dla armii partyzanckiej utworzonej z wygnanych rojalistów i rozwydrzonych lojalistów z Rzymu i Aten. Z Malty na pierwszą akcję komandoską wypłynął statek z dziewięcioma Albańczykami. Trzech z nich zabito od razu, a resztę wytropiła tajna policja. Wisner nie miał ani czasu, ani skłonności do introspekcji. Wysłał kolejnych albańskich rekrutów do Monachium na szkolenie spadochronowe, potem skierował ich do rezydentury w Atenach, która dysponowała własnym lotniskiem, flotą samolotów i kilkoma polskimi pilotami.

Skoczyli nad Albanią i wpadli prosto w ramiona tajnej policji. Z kolejnymi nieudanymi misjami plany stawały się coraz bardziej szalone, szkolenia niechlujniejsze, Albańczycy bardziej zdesperowani, a ich przechwycenie coraz pewniejsze. Agenci, którzy przeżyli, trafiali do więzienia i wysyłali do ateńskiej rezydentury wiadomości pisane przez wrogów".

Przez cztery lata w Albanii zginęło dwustu agentów CIA. Radzieckie tajne służby doskonale znały szczegóły operacji. Infiltrowały obozy w Niemczech, w których szkolono Albańczyków. Korzystały z agentów działających wśród emigrantów. A blisko samego szczytu zachodnich tajnych służb, jako londyńskiego łącznika z CIA, umieścili jednego z najbardziej znanych radzieckich szpiegów w historii – Kima Philby'ego.

Wisner wspierał emigracyjne ugrupowanie rosyjskich solidarystów. Wysyłali ulotki do radzieckich koszar na terenie wschodnich Niemiec, a potem balony z antysowieckimi broszurami. Wreszcie do Związku Radzieckiego wyekspediowano czteroosobowe zespoły spadochroniarzy zrzucane na przedmieściach Moskwy. Kolejni ludzie wpadali w ręce sowieckich tajnych służb i albo ginęli, albo byli przewerbowywani. Podobny los spotkał desant Ukraińców pod Lwowem.

„Wisner i jego ludzie zrzucili do Polski warte około 5 milionów dolarów sztaby złota, pistolety maszynowe, karabiny, amunicję i radiostacje" – opisywał Tim Weiner. „Nawiązali poufne kontakty ze zwolennikami WiN-u za granicą, garstką emigrantów w Niemczech i Londynie. Uważali oni, że WiN w kraju to potężna siła – pięć setek żołnierzy w Polsce, 20 tysięcy uzbrojonych partyzantów i 100 tysięcy sympatyków – wszyscy gotowi do walki z Armią Czerwoną.

Była to iluzja".

Weiner dodawał: „Emigranci skontaktowali się z ludźmi Wisnera, którzy uchwycili się szansy zbudowania grupy oporu za linią wroga i zrzucili do Polski tylu patriotów, ilu się dało. W centrali kierownictwo CIA uznało, że agencja wreszcie pokonała komunistów ich własną bronią".

Rok przed ujawnieniem się V Komendy szef CIA Walter Bedell Smith na spotkaniu ze swoimi zastępcami powiedział: „Polska to jeden z najbardziej obiecujących obszarów dla rozwoju podziemnego ruchu oporu”. Wtórował mu Wisner, przekonując: „WiN idzie teraz w górę”.

Frank Wisner cierpiał na nawracającą chorobę psychiczną, objawiającą się zwidami.

„Wśród najściślej strzeżonych tajemnic CIA była i ta, że jeden z jej ojców założycieli przez lata leczył się w szpitalu psychiatrycznym – napisał Tim Weiner. – Wisner został zdjęty ze stanowiska szefa rezydentury w Londynie i zmuszony do przejścia na emeryturę po tym, jak w 1962 roku miał kolejny nawrót choroby psychicznej. Wściekał się na Hitlera, miał zwidy i omamy słuchowe. Wiedział, że nigdy nie wyzdrowieje”.

W 1965 roku popełnił samobójstwo.

Dokumenty związane z V Komendą leżą pewnie też gdzieś w zakurzonych teczkach, upchniętych w odległym kącie archiwów amerykańskiego i radzieckiego wywiadu. Z punktu widzenia międzynarodowej polityki operacja „Cezary” miała pewnie podobną wagę jak w ogóle Polska – nieznaczną.

W tak zwanym archiwum Mitrochina, które ten sowiecki agent wywiózł na Zachód, znajdują się zaledwie dwa dokumenty związane z Polską. Nie ma w nich słowa o V Komendzie.

Może jednak gdzieś w zaciszu gabinetów ktoś spisał listę pytań:

– Kto kogo ostatecznie wykiwał?

– Czy oni wiedzieli, że my oszukujemy?

– Czy odwrócili naszą grę?

Być może było tych gabinetów więcej niż jeden, i to po obu stronach oceanu.

Jedni przypuszczali, że Sowieci wiedzieli, iż Amerykanie rozpoznali grę. Drudzy, że Sowieci byli naiwni.

Prawdy nikt w pełni nie poznał. I nigdy nie pozna.

Albo inaczej: prawdy nie było.

Po 1956 roku część ubeków straciła pracę. Podobno pułkownik Leon Andrzejewski, jeden z dowodzących prowokacją, prowadził później kiosk „Ruchu” przy warszawskim placu Zbawiciela. Ale może to kolejna legenda.

Bibliografia

Archiwalia

IPN Bi 011/112/1–2, *Sprawa obiektowa krypt. „Zdrajcy”*

IPN Bi 622/1, *Warpechowski Jan ps. „Wojak”, Oświadczam zdradę Kamieńskiego Kazimierza „Huzara” – relacja dot. okoliczności aresztowania Kazimierza Kamieńskiego ps. „Huzar”*

IPN BU 00170/275/1, *Strużyński-Jarecki Marian Zbigniew*

IPN BU 0174/187, *Strużyński Marian*

IPN BU 0192/590/1–3, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”*

IPN BU 0192/590/4–5, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Lilka”*

IPN BU 0192/590/6, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”*

IPN BU 0192/590/7, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Lilka”*

IPN BU 0192/590/8, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Leśnik”*

IPN BU 0192/590/9–10, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”*

IPN BU 0192/590/11–12, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Górki”*

IPN BU 0192/590/13, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Górki”, „Martwy”*

IPN BU 0192/590/14, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Sępy”*

IPN BU 0192/590/15, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Zakład”*

IPN BU 0192/590/16–17, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Soplica”*

IPN BU 0192/590/19, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Obszar”*

IPN BU 0192/590/20, *Kryptonim „Cezary”*

IPN BU 0192/590/21–31, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Obszar”*

IPN BU 0192/590/32, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”*

IPN BU 0192/590/33, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Wilniak”*

IPN BU 0192/590/34, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Wróg”*

IPN BU 0192/590/35, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary” – „Starcy”*

IPN BU 0192/590/36, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Działacze”*

IPN BU 0192/590/37, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Stara”*

IPN BU 0192/590/38–39, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Ziemianin”*

IPN BU 0192/590/40, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Zora”*

IPN BU 0192/590/41, *Korespondencja dotycząca sprawy agenturalnej kryptonim „Cezary”*

IPN BU 0192/590/42, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Zora”*

IPN BU 0192/590/43, *Akta sprawy agenturalnej kryptonim „Zora”, „Cezary” dot. Ignacy Bęben vel Bogucki, imię ojca: Jakub, ur. 30-07-1898 r., wyżej wymieniony był członkiem organizacji AK i WiN*

IPN BU 0192/590/44, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/45, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Pułkownicy”*

IPN BU 0192/590/46, *Korespondencja dotycząca sprawy agenturalnej „Cezary”*

IPN BU 0192/590/47, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/48, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni” – dot. Adama Boryczko*

IPN BU 0192/590/49, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Jerzy Sowa, imię ojca: Karol, ur. 17-08-1909 r., wyżej wymieniony utrzymywał kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/50, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”*

IPN BU 0192/590/51, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Jan Stuliński, imię ojca: Antoni, ur. 05-03-1917 r. w Nowym Jorku, wyżej wymieniony utrzymywał kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/52, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Stefania Boberska, imię ojca: Władysław, ur. 07-11-1884 r. w Tarnopolu, wyżej wymieniona byłą kontaktem korespondencyjnym Janiny Tobiarz*

IPN BU 0192/590/53, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Władysława Frank, imię ojca: Władysław, ur. 26-06-1905 r. w Wilnie, wyżej wymieniona utrzymywała kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/54–56, *„Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/57, *Kryptonim „Cezary”*

IPN BU 0192/590/58, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Franciszek Zając, imię ojca: Wincenty, ur. 14-09-1906 w Biszanów, wyżej wymieniony utrzymywała kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/59, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, Spaleni”*

IPN BU 0192/590/60, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Mieczysław Stach, imię ojca: Józef, ur. 13-01-1914 w Tarnopolu, wyżej wymieniony jako były członek AK utrzymywała kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/61, *Kryptonim „Cezary”*

IPN BU 0192/590/62–65, *„Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/66, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/67, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/68–71, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/72, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Władysława Goneta, wyżej wymieniony utrzymywał kontakt z Adamem Boryczko, członkiem*

organizacji WiN.

IPN BU 0192/590/73–74, *„Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/75–77, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/78, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Tadeusza Leszczaka, imię ojca: Teodor, ur. 16-05-1907 w Żywcu, wyżej wymieniony utrzymywał kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/79, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Henryka Sokołowskiego, imię ojca: Wincenty, ur. 23-03-1929 r. w m. Dąbrowa Tarnowska, wyżej wymieniony utrzymywał kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/80, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Mariana Solskiego, imię ojca: Henryk, ur. 02-10-1905 r. w Bochni, wyżej wymieniony utrzymywał kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/81, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Władysława Malita, imię ojca: Michał, ur. 03-11-1895 w Pstrągowie, wyżej wymieniony utrzymywał kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/82, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/83, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” dot. Stefania Dobulewicz, imię ojca: Józef, ur. 10-02-1874, wyżej wymieniona utrzymywała kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/84–85, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/86, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”. Tobiasz Janina*

IPN BU 0192/590/87, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”. Kujawa Wacław Mariusz*

IPN BU 0192/590/88, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”. Podgórnik Stanisław*

IPN BU 0192/590/89, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/90, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/91–94, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni” kontakt z Adamem Boryczko, członkiem organizacji WiN*

IPN BU 0192/590/95–96, *Sprawa wstępno-agencyjna kryptonim „Spaleni”*

IPN BU 0192/590/97–102, *Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Podhale”*

IPN BU 0192/590/103, *Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Odwet-Górski”*

IPN BU 0192/590/104–105, *Kryptonim „Cezary”*

IPN BU 0192/590/106–107, *Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Cezary”*

IPN BU 0192/590/108–115, *Kryptonim „Cezary”*

IPN BU 0192/590/116, *Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Cezary”*

IPN BU 0192/590/117–122, *Kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/123–131, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”*
IPN BU 0192/590/132, *Materiały do sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/133–137, *Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/138–139, *Kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/140, *Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Cezary”*
IPN BU 0192/590/141–143, *Kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/144–145, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”*
IPN BU 0192/590/146, *Dokumenty dotyczące nielegalnej organizacji „Kraj”. Dokumenty dołączone do sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/147, *Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/148, *Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Cezary”, „KM”.*
IPN BU 0192/590/149, *Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/150–151, *Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Cezary”, „KM”*
IPN BU 0192/590/152–154, *Kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/155, *Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Cezary”*
IPN BU 0192/590/156–167, *Kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/168, *Odpisy sprawozdań przesłuchanych przez Delegaturę WiN*
IPN BU 0192/590/169–178, *Kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/179, *Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Wroniarz”*
IPN BU 0192/590/180, *Sprawa operacyjnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „Potęga”*
IPN BU 0192/590/181–201, *Kryptonim „Cezary”*
IPN BU 0192/590/202, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „15”*
IPN BU 0192/590/203, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „17”*
IPN BU 0192/590/204, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „18”*
IPN BU 0192/590/205, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „19”*
IPN BU 0192/590/206, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”*
IPN BU 0192/590/207, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”, „22”*
IPN BU 0192/590/208–212, *Sprawa agenturalnego rozpracowania krypt. „Cezary”*
IPN BU 0193/9092, *Akta personalne funkcjonariusz SB: Strużyński Marian, imię ojca: Witold, data urodzenia: 26-04-1922*
IPN BU 0330/197, *Sosnowski – Gałecki Dionizy, Skrzyszowski – Kruk – Patera Stefan – Jan – Janusz*
IPN BU 0330/258/1–9, *Boryczka Adam*
IPN BU 0397/510, *Plan „Wulkan”. Początek i koniec WiN*
IPN BU 0397/875 *Fr. Szlachcic Wspomnienia z okresu pracy w Organach Bezpieczeństwa i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych lata 1945–1972*
IPN BU 0423/7102, *Kwestionariusze osobowe członka nielegalnej organizacji. Lit „A”–„K”*

IPN BU 630/437 *Akta Aleksander Gruba*

IPN BU 630/438 *Akta Aleksander Gruba*

IPN BU 765/593 *Akta nadzoru w sprawie Aleksander Gruba*

IPN BU 943/1–6, *Akta śledztwa w sprawie Adama Boryczki pracownika Delegatury WiN i „Zbiornicy" podejrzanego o szpiegostwo, próbę obalenia siłą ustroju PRL. Podejrzany z art. 86 KKWP, art. 7 MKK*

IPN BU 943/7, *Akta śledztwa i procesu Adama Boryczki pracownika Delegatury WiN i „Zbiornicy" oskarżonego o szpiegostwo, współpracę z Niemcami, próbę obalenia siłą ustroju PRL. Skazany z art. 86 KKWP par. 2 KKWP, art. 4, 6, 7, 7 MKK, art. 1 Dekretu z dn. 31-08-1944*

IPN BU 944/306, *Skrzyszowski Stefan i inni skazani 18 lutego 1953 r. za działalność w amerykańskiej sieci szpiegowskiej na terenie Niemiec, która przerzuciła ich do Polski w celu zbierania informacji stanowiących tajemnicę państwową i wojskową*

IPN BU 00945/2401/Jacket, *Strużyński-Jarecki Marian Zbigniew*

IPN BU 1005/28033, *Akta paszportowe o sygnaturze EAGM: Strużyński Marian, imię ojca: Witold, data urodzenia: 26-04-1922*

IPN BU 1069/77, *Kluz Stanisław-ksiądz, skazany 05.061953 r. z art. 86 § 2 KKWP, art. 6 Dekretu z dn. 13.06.1946 r. za współpracę z członkami WiN na terenie Wrocławia, Krakowa i Warszawy, przyjmowanie korzyści od ww. organizacji.*

IPN BU 1169/144, *Plan „Wulkan"*

IPN BU 001176/130/Jacket *Fragmenty teczek osobowych źródeł informacji starej sieci agenturalnej MSW o przedziałach starych sygnatur archiwalnych: 2492/I–2565/I*

IPN BU 01178/591/Jacket, *Sprawa ewidencyjno-obserwacyjna dot. Marylski Antoni*

IPN BU 01224/1819, *Sprawa agenturalnego rozpracowania o kryptonimie „Cezary"*

IPN BU 01236/954/D, *Sieńko Stefan*

IPN BU 01251/42/Jacket *Skrzyszowski Kruk Patera Stefan Jan Janusz*

IPN BU 1386/526223, *Akta paszportowe o sygnaturze EAPP: Strużyński Marian Józef, imię ojca: Witold, data urodzenia: 26-04-1922*

IPN BU 1510/6238, *Jan Ptasiński WiN na szlaku AK czy bezdrożach? Plan „Wulkan" końcem WiN*

IPN BU 001519/1, *Dziennik archiwalny MSW Sygnatura I „Stara sieć" nr 1–4630*

IPN BU 001519/8, *Dziennik archiwalny MSW Sygnatura I nr 40164–44143*

IPN BU 1532/7424, *Sprawa Sosnowski Dionizy 10.10.1907*

IPN BU 1568/13, t. 1–2, *IV Zarząd Główny Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość Wydział Informacji i Propagandy. Oświadczenie Stefana Sieńko ps. „Wiktor" dla prasy w sprawie działalności Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość oraz jego zagranicznej centrali z 1953 r.*

IPN BU 1572/489, *WiN – działalność, ujawnianie się członków, przewidywane obiekty do dywersji. Uwagi, notatki…*

IPN BU 1645/118, *Akta w sprawie o odszkodowanie Skrzyszowski Stefan*

IPN BU 02160/25, *Album zawierający zdjęcia, fotokopie dokumentów oraz ich opisy dot. sprawy Janusza Skrzyszowskiego vel Patera oraz Dionizego Sosnowskiego, zatrzymanych w 1952 roku i podejrzanych o szpiegostwo*

IPN Gd 0046/635, t. 3

IPN GK 919/1697, *Akta personalne osadzonego: Skrzyszowski Stefan, imię ojca: Stanisław, data urodzenia: 27-12-1911 (Więzienie Warszawa I)*

IPN GK 919/1699, *Akta personalne osadzonego: Sosnowski Dionizy, imię ojca: Józef, data urodzenia: 15-08-1029 (Więzienie Warszawa I)*

IPN Kr 009/2661, *Śledź Elżbieta*

IPN Kr 009/3655, t. 1, *Strużyński Marian*

IPN Kr 009/3655, t. 2, *Strużyński Marian*

IPN Kr 009/3655, t. 3, *Strużyński Marian*

IPN Kr 110/2374, t. 1–2, *Akta Sikory Jana i innych*

IPN Kr 595/70, *Opracowanie sprawy agencyjnej krypt. „Cezary" dot. rozpracowania Delegatury WiN za granicą*

IPN Kr 595/80, *Dokumenty dotyczące sprawy przeciwko Adamowi Boryczce vel Ryszardowi Nogal*

IPN Rz 05/5, *Charakterystyka nr 3. Zrzeszenie WiN Okręg Rzeszów*

IPN Rz 05/41, *Charakterystyka nr 23 t. 1 Wysokoł – ugrupowanie (dowódca: Rząsa Tadeusz ps. Wysokoł, okres działalności 17.11.1944–22.08.1948, obszar działania: pow. Rzeszów, proweniencja: Armia Krajowa)*

IPN Rz 042/1138, *Akta operacyjne dot. Sieńko Stefan, imię ojca: Kazimierz*

IPN Rz 046/862, *Akta śledcze dotyczące: Pępek Tadeusz, imię ojca: Wojciech, ur.: 29.01.1922 r. i innych*

IPN Rz 0090/717 *Teczka personalna tajnego współpracownika pseudonim „Zgodny" dot. Aleksander Gruba, imię ojca: Aleksander, ur. 04-08-1909 r.*

IPN Rz 105/19, *Dokumenty dotyczące akcji zbrojnych Armii Krajowej*

IPN Rz 00138/1766/Jacket *Gruba Aleksander*

IPN Rz 00141/1131/J, *Akta operacyjne dot. Kazimierzowski-Sieńko Stanisław, imię ojca: Kazimierz*

IPN Rz 0198/59, *Wykaz zniszczonych akt operacyjnych SB, protokołem nr 58 z dnia 26.07.1983 r.*

IPN Rz 00250/151, J. Łabędzki, M. Strużyński, *Z doświadczeń pracownika operacyjnego SB. Sprawa kryptonim „Cezary", Departament Szkolenia i Doskonalenia Zawodowego MSW*, Warszawa 1972

IPN Rz 435/24, *Opracowania i materiały różne. Kolekcja: gen. Mieczysław Huchla*

IPN Wr 09/1277, *Faktologia, tom 2: nielegalna organizacja polityczna „Wolność i Niezawisłość" działająca na terenie woj. śląsko-dąbrowskiego od września 1945 do grudnia 1949 r., dowódca Żeglin Bronisław*

IPN Wr 0014/1215, t. 1, *Teczka personalna agenta pseudonim „Małachowski" / „Michał" / informatora / tajnego współpracownika pseudonim „Michał" dot. Białowąs Czesław, imię ojca: Karol, ur. 09-11-1932 r.*

IPN Wr 0014/1215, t. 2–4, *Teczka pracy agenta pseudonim „Małachowski" / „Michał" / dot. Białowąs Czesław, imię ojca: Karol, ur. 09-11-1932 r.*

IPN Wr 024/7028, *Teczka ewidencyjna/sprawa ewidencyjno-obserwacyjna kryptonim „Szwecja” dot. Zadarnowska Larysa, imię ojca: Piotr, ur. 07-11-1913 r.*
IPN Wr 059/1744, *Akta personalne funkcjonariusz UB: Ławecki Tadeusz, imię ojca: Stanisław, data urodzenia: 28-10-1926 r.*

Książki

Andrew Christopher, Mitrochin Wasilij, *Archiwum Mitrochina I. KGB w Europie i na Zachodzie*, przeł. Magdalena Maria Brzeska, Rafał Brzeski, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis, 2015

Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza, t. 1: *1944–1956*, red. Krzysztof Szwagrzyk, Warszawa: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2005

Białowąs Czesław, *Z codziennych polemik*, Warszawa: Iskry, 1955

Cat-Mackiewicz Stanisław, *Od małego Bergu do wielkiego Bergu. Broszury emigracyjne 1951–1956*, Kraków: Universitas, 2014

„Dardanele”. Delegatura WiN-u za granicą (1946–1949), red. Stanisław Jan Rostworowski, Wrocław: Zarząd Główny WiN-u, 1999

Dresler Aleksander, *Sańka z ulicy Sosnowej*, Białystok: nakładem autora, 1993

Fieldorf Maria, Zachuta Leszek, *Generał „Nil” – August Emil Fieldorf. Fakty, dokumenty, relacje*, Warszawa: Instytut Wydawniczy „Pax”, 1993

Frazik Wojciech, *Operacja „Cezary” – przegląd wątków krajowych* [w:] *„Zwyczajny” resort. Studia o aparacie bezpieczeństwa 1944–1956*, red. Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski, Warszawa: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2005

Hłasko Marek, *Piękni dwudziestoletni*, Warszawa: Da Capo, 1994.

Kluz Stanisław, *W potrzasku dziejowym. WiN na szlaku AK. Rozważania i dokumentacja*, Londyn: Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, 1978

Kowalczyk Andrzej Stanisław, *Sawinkow*, Warszawa: Biblioteka „Więzi”, 2018

Krajewski Kazimierz, *Działania operacyjne Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie przeciwko oddziałom kpt. Kazimierza Kamieńskiego „Huzara” w latach 1949–1952* [w:] *„Zwyczajny” resort. Studia o aparacie bezpieczeństwa 1944–1956*, red. Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski, Warszawa: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2005

Krajewski Kazimierz, Łabuszewski Tomasz, *Kazimierz Kamieński „Huzar”. Ostatni podlaski komendant 6 Brygady Wileńskiej AK i jego żołnierze 1939–1952*, Wysokie Mazowieckie: Fundacja Pamiętamy, 2007

——, *„Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”. Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)*, Warszawa: Oficyna Wydawnicza Volumen, 2002

Lipiński Piotr, *V Komenda*, ebook selfpublishing, 2011

——, *Ofiary Niejasnego*, Warszawa: Prószyński i S-ka, 2004

——, *Raport Rzepeckiego. Historia twórcy antykomunistycznego podziemia*, Warszawa: Prószyński i S-ka, 2005

Łabuszewski Tomasz, *Kryptonim „Obszar”-„Narew”. Rozgrywka Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie przeciwko oddziałom kpt. Kazimierza Kamieńskiego „Huzara” w latach 1949–1952* [w:] *„Zwyczajny” resort. Studia o aparacie bezpieczeństwa 1944–1956*, red. Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski, Warszawa: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2005

Łapiński Piotr, *Kazimierz Krasowski „Głuszec”* [w:] *Ostatni komendanci, ostatni żołnierze. 1951–1963*, Warszawa: Biuro Bezpieczeństwa Narodowego – Kancelaria Prezydenta RP, 2016

Michniewicz Władysław, *Wielki bluff sowiecki*, Chicago: Printing & Typesetting Publishing „Wici”, 1991

Nowak Maciej T., *Operacja „Lawina”. Dzieje przemilczanej zbrodni UB*, Opole: Wydawnictwo Nowik, 2012

Piecuch Henryk, *Akcje specjalne: Od Bieruta do Ochaba*, Warszawa: Wydawnictwo „69” – Agencja Wydawnicza CB, 1996

——, *Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu*, Warszawa: Czytelnik, 1987

Pożegnanie. Oficer dywersji Obwodu ZWZ – AK Rzeszów. Porucznik Aleksander Gruba ps. Sęp, Błażowa 1993 (brak autora i wydawnictwa)

Rostworowski Stanisław Jan, *Monografia rodziny Rostworowskich, lata 1386–2012. Tacy byli i są*, t. 1–2, Warszawa: Oficyna Wydawnicza Rytm, 2013

Służba Bezpieczeństwa w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w latach 1944–1978. Centrala, t. 1, Warszawa: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Biuro „C”, 1978 (wyd. niejawne na potrzeby wewnętrzne)

Testament Polski Walczącej. Ostatnie przesłanie Polskiego Państwa Podziemnego, wstępy Łukasz Kamiński, Marek Gałęzowski, Warszawa: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2015, pamiec.pl, bit.ly/2Kbiw5S, dostęp: 18.05.2020

Tochman Krzysztof A., *Adam Boryczka. Z dziejów WiN-u*, t. 1–2, Zwierzyniec – Rzeszów: Obywatelskie Stowarzyszenie „Ostoja”, 1999–2001

——, *Skok po niepodległość. Pułkownik Adam Boryczka (1913–1988)*, Rzeszów: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2016

Weiner Tim, *Dziedzictwo popiołów. Historia CIA*, przeł. Katarzyna Bażyńska-Chojnacka, Piotr Chojnacki, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis, 2016

Woźniczka Zygmunt, *Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” 1945–1952*, Warszawa: Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum” – „Semex”, 1992

Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” w dokumentach, t. 1–6, Wrocław: Zarząd Główny WiN, 1997–2000

Czasopisma

„V Komenda” WiN w relacji dwóch szeregowych żołnierzy, zebrał i oprac. Tomasz Nowicki, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 15

Archiwum Delegatury WiN 1946–1953: pseudonimy i kryptonimy, oprac. Janusz Kurtyka, „Zeszyty Historyczne WiN-u" 2001, nr 21
Balbus Tomasz, *„Jacek"*, „Zeszyty Historyczne WiN-u" 2004, nr 21
——, *Ofiary agentury UB (raport Zarakowskiego do Rokossowskiego i Bieruta z czerwca 1953 roku w sprawie „V Zarządu Głównego WiN")*, „Studia Rzeszowskie" 7: 2000
Białowąs Czesław, *Świadectwa chorej wyobraźni*, „Odra" 1981, nr 1
Broniarek Zygmunt, *Inspiratorzy i wykonawcy*, „Trybuna Ludu", 19.02.1953
Brutalne pogwałcenie granicy polskiej przez samolot USA. Z pokładu amerykańskiego samolotu zrzucono 2 szpiegów i dywersantów, „Trybuna Ludu", 27.12.1952
Cenckiewicz Sławomir, Gontarczyk Piotr, *Na granicy zdrady. Stanisława Mackiewicza powroty do Polski*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" 2006, nr 3–4
Ćwiklińska-Gołąb Danuta, *Wspomnienia konspiracyjne i więzienne z lat 1951–1956*, oprac. Janusz Kurtyka, „Zeszyty Historyczne WiN-u" 2003, nr 19–20
Frazik Wojciech, *Agent „Roman" – członek tzw. V Komendy WiN*, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989" 2011, nr 1 (8–9)
——, *Marian Strużyński vel Marian Reniak (1922–2004), „agent wszechstronnie sprawdzony", funkcjonariusz SB, literat*, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989" 2007, nr 1
Frazik Wojciech, *Operacja „Cezary". Prowokacyjna V Komenda WiN*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" 2008, nr 1–2
——, *Sprawa spadochroniarzy – przyczynek do dyskusji o wiarygodności akt sądowych*, „Zeszyty Historyczne WiN-u" 2005, nr 24
Friszke Andrzej, *Tadeusz Żenczykowski i jego książki*, „Więź" 1994, nr 8 (430)
Garlicki Roman, *WRN-owskie próby szpiegostwa i dywersji napiętnowane. List do redakcji „Trybuny Ludu"*, „Trybuna Ludu", 2.01.1953
Gołąb Tomasz, *Wspomnienia ze służby w AK i WiN w latach 1940–1953*, oprac. Janusz Kurtyka, „Zeszyty Historyczne WiN-u" 2003, nr 19–20
Hałagida Igor, *Między dezinformacją a rzeczywistością. Prowokacyjne działania służb komunistycznych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych (zarys zagadnienia)*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" 2008, nr 1–2
Jak uwiarygodnić agenta? Stefan Sieńko a więzienne losy Jerzego Woźniaka, oprac. Wojciech Frazik, „Zeszyty Historyczne WiN-u" 2004, nr 21
Kołodziejczyk Marcin, *Ksiądz Hołoj z Rabki: bohater czy antysemita?*, „Polityka" 2017, nr 25, bit.ly/3eojkSS, dostęp: 18.05.2020
Kowalski J. J. „Kos", S. Sieńko „Wiktor", *Zdemaskowanie zbrodniczych knowań wywiadu amerykańskiego*, „Trybuna Ludu", 28.12.1952
Kunert Andrzej Krzysztof, Poksiński Jerzy, *Ludzie Bieruta. Leon Andrzejewski*, „Życie Warszawy", 26.03.1993
Kuraś Bartłomiej, *„Skupiska żydowskie przepędzi się…". Napady w Rabce na dzieci ocalałe z Holokaustu*, „Gazeta Wyborcza", 9.06.2016
Lipiński Piotr, *Czekając na III wojnę światową*, „Newsweek" 2019, nr 1–2
——, *Jak bezpieka wykiwała CIA*, „Newsweek Historia" 2017, nr 7

——, *Kroków siedem do końca*, „Gazeta Wyborcza”, 6.07.1994
——, *Piąta Komenda*, „Gazeta Wyborcza”, 14–15.05.1994
——, *Spokojna jesień prowokatora*, „Magazyn” nr 46, dodatek do „Gazety Wyborczej”, 22.11.1996
——, *Zakochany kurier*, „Newsweek Historia” 2019, nr 6
——, *Zawołaj perełko krasego byka*, „Gazeta Wyborcza”, 18–19.07.1998
Listy kuriera „Mietka”, oprac. Maciej Korkuć, Janusz Kurtyka, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 15
Maciejewska Beata, *Wyskoczyłem ze szkoły, by zabić paru ludzi*, „Gazeta Wyborcza” (Wrocław), 29.01.2009
„Marek” i zdrajcy. Korespondencja ppłk. Józefa Maciołka z „Wiktorem” i „Kosem”, oprac. Wojciech Frazik, Janusz Kurtyka, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 16
Największa opozycja antykomunistyczna – o Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość”, z Wojciechem Frazikiem, Januszem Kurtyką i Tomaszem Łabuszewskim rozmawia Barbara Polak, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2008, nr 1–2
Nikczemne knowania imperializmu amerykańskiego przeciw niepodległości Polski. Szpiedzy i dywersanci skazani przez Sąd Wojskowy w Warszawie, „Trybuna Ludu”, 19.02.1953
Operacja „Cezary” – ubecka analiza „gry” z WiN-em, przypisy Wojciech Frazik, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 15
Operacja „Lawina” – raporty funkcjonariusza MBP Henryka Wendrowskiego, oprac. Tomasz Kurpierz, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2008, nr 28–29
Panz Karolina, *„Dlaczego oni, którzy tyle przecierpieli i przetrzymali, musieli zginąć”. Żydowskie ofiary zbrojnej przemocy na Podhalu w latach 1947–1947*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 11: 2015
Rajewski M., *WRN – szpiegowska agentura amerykańskich miliarderów*, „Trybuna Ludu”, 5.01.1953
Rostworowski Stanisław Jan, *Delegatura WiN za granicą (1946–1949)*, „Zeszyty Historyczne WiN” 1993, nr 3
Rostworowski Stefan Marian, *Podróż emisariuszy WiN-u za granicę*, oprac. Stanisław Jan Rostworowski, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2005, nr 23
Rząd Polski Ludowej domaga się położenia kresu zbrodniczej, szpiegowsko-dywersyjnej działalności rządu USA, wymierzonej przeciwko niepodległości naszej Ojczyzny. Nota rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej do rządu Stanów Zjednoczonych, „Trybuna Ludu”, 18.01.1953
Solecki Mariusz, *Poeta „chorej wyobraźni”*, „Odra” 2012, nr 4
Sprawa Bergu, „Zeszyty Historyczne” 1987, z. 79
Sprawozdanie Komisji do rozpatrzenia spraw łączności z krajem, „Zeszyty Historyczne” 1987, z. 79
Stab., *„Słonie”, „Żyrafy” i szpiegowska menażeria*, „Trybuna Ludu”, 31.12.1952
STAB, *Uwaga – trucizna!*, „Trybuna Ludu”, 30.12.1952
Szwagrzyk Krzysztof, *Żołnierze AK w strukturach komunistycznego sądownictwa wojskowego*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 16

Świder Marek, Urlińska Maria Marta, *Prywatne Gimnazjum Sanatoryjne Męskie dr. Jana Wieczorkowskiego w Rabce (1924–1939)*, „Studia Paedagogica Ignatiana” 19: 2016, nr 2

Świerczek Marek, *Modus operandi GPU na przykładzie operacji „Trust” opisanej w Trioch stolicach W.w Szulgina. Próba analizy*, „Przegląd Bezpieczeństwa Wewnętrznego” 2015, nr 12 (7)

Tarka Krzysztof, *„Polska jest Polską”. Powrót Stanisława Mackiewicza do kraju w czerwcu 1956 roku*, „Zeszyty Historyczne” 2004, z. 150

Trzy raporty emisariusza „Wacława” z lat 1951–1952, oprac. Janusz Kurtyka, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2003, nr 19–20

Turski Marian, *Dementi i potwierdzenia londyńskiego działacza*, „Polityka” 1988, nr 6

Wniosek ministra sprawiedliwości K. Okulicza o wszczęcie sprawy Bergu przed Sądem Obywatelskim, „Zeszyty Historyczne” 1987, z. 79

Wyjazd delegacji WiN na Zachód w 1946 roku – nowe dokumenty, oprac. Wojciech Frazik, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2005, nr 24

Wyrwa Tadeusz, *Delegatura Zagraniczna Zrzeszenia WiN*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 16

Ziętara Paweł, *Cat-Mackiewicz: zgorszył emigrację, a ucieszył bezpiekę*, „Rzeczpospolita”, dodatek „Plus Minus”, 11–12.06.2016

Złowrogie knowania zdemaskowane, „Trybuna Ludu”, 29.12.1952

Zrzuceni na spadochronach szpiedzy i dywersanci wywiadu USA stają przed sądem w Warszawie, „Trybuna Ludu”, 18.02.1953

Życiorys niezwyczajny… Spotkanie tygodnia… z Marianem Reniakiem, rozmawiał Dariusz Otto, „Żołnierz Polski”, 9.03.1986

Film

Gra z WiN-em, reż. Leszek Baron, Studio Filmowe „Logos” dla Programu I TVP SA 1996

Operacja Cezary, reż. Sławomir S. Górski, Film Open Group, Telewizja Polska SA 2017

Oto Ameryka, Polska Kronika Filmowa, 3/53, Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych

Sąd wymierzył sprawiedliwość, Polska Kronika Filmowa, 9/53, Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych

Przypisy

[1] Wykaz źródeł znajduje się na końcu książki. We wszystkich cytatach zachowano oryginalną pisownię i interpunkcję.

Polecamy także inne książki Piotra Lipińskiego:

Bicia nie trzeba było ich uczyć. Proces Humera i oficerów śledczych Urzędu Bezpieczeństwa

Cyrankiewicz. Wieczny premier

Bierut. Kiedy partia była bogiem

Niepowtarzalny urok likwidacji. Reportaże z Polski lat 90. (z Michałem Matysem)

Gomułka. Władzy nie oddamy

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel. +48 22 621 10 48

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2020
Wydanie I